

Pierwsze kroki



BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

Pierwsze kroki

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Mimo że *Pierwsze kroki* nie słyną jako jeden z najważniejszych utworów Balzaka, tyle jest w tym opowiadaniu mądrości życiowej, tyle humoru i werwy, iż z prawdziwą przyjemnością dają je jako interludium¹ między wielkimi członami *Komedii ludzkiej*.

Znowuż nastęrcza się tu uwaga co do techniki pisarskiej Balzaka. Ogarniając swoim dziełem całe światy, rzecz zrozumiała, że Balzac musi wyzyskiwać miejsce: czasem operuje, jak wszyscy mistrze², śmiałymi skrótami; często kilka lat życia, cała epoka, mieszczą się w kilkunastu wierszach, a jeżeli opis jednego dnia (np. w *Straconych złudzeniach* lub w *Ostatnim ucieleniu Vautrina*) zajmuje pół tomu, to dlatego, że w tym dniu skupia się to, co życie daje nieraz na przestrzeni lat. Ale jest okoliczność, w której Balzac zawsze „ma czas”, kiedy się nie spieszy: mianowicie gdy chodzi o żarty i pustoty³ młodości; wówczas lubuje się swoim przedmiotem, czuć, że się bawi sam, że korzysta z tej jak gdyby chwili wytchnienia w swej miażdżącej pracy. Tak i tutaj, pół tomu wypełniają gawędy w dylżansie lub pocieszne obrzędy palestrantów⁴. Daje również Balzac upust słabostce swej do kalamburów, które wkłada zazwyczaj w usta Mistigrisa lub Bixiou. Śmiano się, że z mało którego pięknego dzieła Balzac bywał tak dumny i uszczęśliwiony, jak z wynalezienia nowego kalamburu albo z przekręconego przysłowia, mimo że ten rodzaj dowcipu nie należał z pewnością do jego najsilniejszych stron. Co do mnie, przyznaję, że lubię Balzaka i w tych jego słabostkach, które przez jakiś czas poważni (ach, jak poważni!) krytycy sądzili tak surowo.

Bo co Balzaka czyni tak wielkim, to rzadka zdolność objęcia całości zjawisk. Zwykle zdolności te dzielą się; jeden pisarz widzi wielkie zagadnienia społeczne, inny czuje kobietę, inny umie podpatrzeć drobiazgi życia. Balzac widzi wszystko, i wszystko naraz; na wszystko patrzy okiem myśliciela, wszystko jest mu równie ważne i poważne. Mało jest twórców, u których element męski i kobiecy dzieła byłyby tak doskonale zrównoważone. Ten mędrzec, ogarniający najwyższe problemy, jakże ma doskonałe zrozumienie dzieciństwa⁵ młodości. Jest jednym z tych rzadkich, którzy w wieku dojrzałym nie zapomnieli własnej młodości; echa jej raz po raz wracają w jego dziele. Rozumie wszystkie jej głupstwa, wszystkie próżności, wszystkie palące żądze i zawiści, jej entuzjazm, jej okrucieństwo i cierpienia, rozumie drobne błędy, za które życie mści się na biednych dzieciakach jak na dorosłych.

A jednak mimo tych „rozwlekłości”, ileż rzeczy pomieścił Balzac w swym krótkim opowiadaniu. Znow kawał historii Francji z lotu ptaka, szkic owych przemian, które przeżyła od Rewolucji do Restauracji⁶, oddźwięki, jakie budzi historia w sercu dorastają-

¹interludium (muz.) — muzyczny przerywnik w ciągu utworu. [przypis edytorski]

²mistrze — dziś: mistrzowie. [przypis edytorski]

³pustota (daw.) — lekkomyślność, tu: lekkomyślne figle. [przypis edytorski]

⁴palestrant (daw.) — członek palestry, czyli prawnik. [przypis edytorski]

⁵dzieciństwo (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

⁶od Rewolucji do Restauracji — okres historii Francji od obalenia monarchii w wyniku Rewolucji Francuskiej (1789–1799), przez rządy Napoleona, aż do jego abdykacji (1814) i przywrócenia władzy dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

cego pokolenia. Są związki między katastrofą Oskara a epopeją napoleońską... Oto przykład tego wielostronnego spojrzenia Balzaka, pod którego piórem każda na pozór błaha anegdota otwiera się na perspektywy społeczne. Wnętrze dyliżansu w pierwszej podróży i w drugiej! Jak w tej pierwszej ostro jeszcze znaczą się przepaści społeczne. Postać staro-ministra urasta do jakiegoś półboga, przed jego zmarszczeniem brwi drży zarówno utalentowany malarz, jak dependent rejenta. Każdy tkwi tam w swojej kolei i wie, że bez pomocy potężnej ręki z niej się nie wydostanie. Jakże inna atmosfera w drugiej podróży. Między jedną a drugą, przewiała przez Francję rewolucja lipcowa, a z nią głęboka przemiana. Wszystko się wytasowało. Podejrzanej uczciwości rządca jest wielkim parlamentarzystą; żona jego, eks-pokojówka, teściową poety, ministra i para Francji; wieśniak Leger pojął córkę dumnego ze swego szlachectwa pana de Reybert, aby znów swoją córkę oddać głośnemu artyście. Jedni porobili majątki, drudzy je potracili. W każdym szczególe czuć owo przegrupowanie społeczne, które stało się kamieniem węgielnym nowoczesnego społeczeństwa, a które my przebyliśmy w o wiele słabszym stopniu. Gdy we Francji stan średni tworzył się z *ruchu wstępującego*, z dorabiającego się i rosnącego w siły ludu, u nas raczej rekrutował się on ze zmniejszonej⁷ szlachty.

W wyborze utworów, które dają kolejno, staram się uwydatnić owe związki, które stanowią główną cechę *Komedii Ludzkiej*. Brakiem ich grzeszyło dawne jej częściowe polskie wydanie z lat osiemdziesiątych: zawierało ono szereg celniejszych powieści Balzaka, ale brak im było właśnie owych punktów styczności. Tutaj np. znajdziemy klucz do życia państwa de Sérisy, których raz po raz spotykamy w innych utworach; poznamy się ze starowiną Cardot, który tylko nam mignął w łożu teatryku w *Straconych złudzeniach*. Kiedy później wrócimy do tamtych powieści, już każda postać nabierze innej plastyki, widzimy ją niejako stereoskopicznie⁸, w przestrzeni. I na tym polega jedyność tej *Komedii Ludzkiej*, jej nieporównana plastyka i żywość; występujące w niej postacie nie są opisane przez Balzaka, one istnieją. Nie dziw, że on mówił o nich jak o rzeczywistych.

Niedawno odbył się w Ameryce wielki plebiscyt na temat największych pisarzy świata. Balzac znalazł się na piątym miejscu, o kilka miejsc przed Moliérem. Charakterystycznym jest, że właśnie Ameryka tak samodzielnie odczuła wielkość tego pisarza. A że cały świat amerykanizuje się po trosze, godzina Balzaka dopiero nadchodzi. Najlepiej objawia się to w Niemczech, gdzie również w plebiscycie zajął on drugie miejsce poczytności, gdzie zbiorowe wydanie *Komedii Ludzkiej* bije się⁹ w 50 000 egzemplarzy i gdzie w ubiegłym roku ukazały się o Balzaku dwie wielkie monografie. Niedawno otrzymałem od czytelniczki z Poznania propozycję, aby założyć klub balzakistów. Są znaki na niebie i na ziemi...

Warszawa, listopad 1926 r.

Boy

PIERWSZE KROKI

Laurze.

Niechaj świetna a skromna inteligencja, która poddała mi temat tego opowiadania, ma jego chwałę!

Brat.

W niedalekiej przyszłości, koleje żelazne muszą zmieść pewne gałęzie przemysłu, zmienić inne, zwłaszcza te, które są związane z rozmaitymi sposobami lokomocji w okolicach Paryża. Toteż niebawem ludzie i rzeczy, tworzący przedmiot tego opowiadania, dadzą mu wartość pracy archeologicznej. Czyż nasi wnukowie nie będą radzi poznać materiał epoki, którą będą nazywali *dawnym czasem*? Tak na przykład, malownicze *kukulki*,

Podróż, Miasto, Obyczaj,
Przemiana

⁷zmniejszony — przemieniony przez życie miejskie, zgodnie z jego wymogami. [przypis edytorski]

⁸stereoskopicznie — dziś popr.: stereoskopowo, z dostrzeganiem głębi obrazu i trójwymiarowości przedmiotów. [przypis edytorski]

⁹bije się — tu: odbija się na maszynie drukarskiej, drukuje się. [przypis edytorski]

które wystawały na placu Zgody, barykadując *Cours-la-reine*, kukulki tak kwitnące przez cały wiek, tak liczne jeszcze w r. 1830, nie istnieją już; w roku 1842, w czas najludniejszej podmiejskiej uroczystości, zaledwie spostrzeże się jaką na gościńcu.

W roku 1820 miejscowości słynne swym położeniem i nazywane *okolicami Paryża* nie posiadały po części regularnej komunikacji pocztowej. Bądź co bądź, Touchard ojciec i syn nabyli monopol lokomocji do najludniejszych miast w promieniu piętnastu mil; przedsiębiorstwo ich mieściło się we wspaniałym zakładzie przy ulicy Faubourg-Saint-Denis. Mimo swej dawności, mimo wysiłków, kapitałów i wszystkich przewag potężnej centralizacji, dyliżanse Touchard znajdowały w kukulkach przedmieścia Saint-Denis groźną konkurencję, o ile chodziło o miejscowości położone w odległości siedmiu do ośmiu mil. Namiętność paryżanina do wsi jest taka, że przedsiębiorstwa lokalne również walczyły zwycięsko z *Petites-Messageries*: miano dawane przedsiębiorstwu Touchardów w przeciwieństwie do *Grandes-Messageries* z ulicy Montmartre. W tej epoce powodzenie Touchardów pobudziło spekulantów. Dla najmniejszych miejscowości w okolicach Paryża powstawały przedsiębiorstwa wehikulów pięknych, szybkich i wygodnych, kursujących o stałych godzinach, co, w promieniu dziesięciu mil, stworzyło na wszystkich punktach zajadłą konkurencję. Pobita w kursach od czterech do sześciu mil, kukulka czepiła się mniejszych odległości i wegetowała jeszcze kilka lat. Wreszcie uległa, z chwilą gdy omnibusy wykazały możliwość pomieszczenia osiemnastu osób w wehikule ciągnionym przez dwa konie. Dziś kukulka (jeżeli przypadkowo jeden z tych ptaków o tak ciężkim locie istnieje jeszcze w jakiej rupieciarni fabrykanta powozów) byłaby, dla swej budowy i swoich urządzeń, przedmiotem uczonych badań, podobnych do badań Cuviera nad zwierzętami znalezionymi w gipsie Montmartre.

Małe przedsiębiorstwa, zagrożone przez spekulantów walczących od r. 1822 przeciw Touchardom, znajdowały zazwyczaj punkt oparcia w sympatiach tubylców miejscowości, którą obsługiwały. Przedsiębiorca, równocześnie konduktor i właściciel wehikulu, był to zazwyczaj miejscowy oberżysta, znający na wylot kraj, ludzi i interesy. Załatwiał inteligentnie zlecenia, żądał za swoje drobne usługi mniej, a tym samym dostawał więcej, niż *Messageries-Touchard*. Umiał wywinąć się od akcyzy. W potrzebie przekraczał rozporządzenia co do liczby podróżnych. Posiadał wreszcie sympatie ludu. Toteż kiedy wyrósł konkurent i dawny miejscowy konduktor podzielił z nim dni tygodnia, wiele osób odkładało podróż, aby ją odbyć w towarzystwie starego woźnicy, mimo że stan jego wehikulu i koni niewiele mógł budzić zaufania.

Jedną z linii, którą Touchardowie usiłowali zmonopolizować, której im broniono najzajadlej, i o którą jeszcze toczy się walka z następcami ich, Tuluzami, to linia z Paryża do Beaumont-sur-Oise, linia nadzwyczaj zyskowna, skoro trzy przedsiębiorstwa wyciskały ją równocześnie w r. 1822. Na próżno *Messageries* obniżały ceny, na próżno mnożyły godziny odjazdu, na próżno budowały doskonałe wehikuly, konkurencja utrzymała się; tak bardzo wydajna jest linia, przy której znajdują się małe miasteczka jak Saint-Denis i Saint-Brice, wioski jak Pierrefitte, Groslay, Ecouen, Poncelles, Moisseles, Baillet, Monsoult, Maffliers, Franconville, Presles, Nointel, Nerville, etc. Touchardowie rozszerzyli w końcu kurs od Paryża aż do Chambly. Konkurencja poszła do Chambly. Dziś Tuluzowie jeżdżą do Beauvais.

Na tym trakcie, tzw. angielskim, istnieje droga, która zaczyna się w miejscowości dobrze nazwanej *Piunicq*, zważywszy jej topografię, a prowadzi do jednej z najrozkoszniejszych dolin kotliny Oise, do miasteczka Isle-Adam, podwójnie sławnego i jako kolebka wygasłego domu de l'Isle-Adam, i jako dawna rezydencja Bourbonów-Conti. Isle-Adam jest to prześliczne miasteczko, łączące się z dwiema wsiami, Nogent i Parmain, godnymi uwagi przez wzgląd na wspaniałe kamieniołomy, które dostarczyły materiałów do najpiękniejszych budowli w Paryżu i za granicą. Podstawa i kolumny teatru w Brukseli są z kamienia nogenckiego. Mimo iż zalecająca się cudownym położeniem, słynnymi zamkami zbudowanymi przez książąt, mnichów lub też głośnych rysowników, jak Casan, Stors, Le Val, Nointel, Persan, etc., w r. 1822 okolica ta nie знаła konkurencji: obsługiwało ją, w zgodnym porozumieniu dwóch woźniców. Wyjątek ten opierał się na zrozumiałych przyczynach. Od La Cave, punktu, w którym zaczyna się, na trakcie angielskim, brukowana droga, pamiątka hojności Contich, aż do Isle-Adam, odległość wynosi dwie mile; żadne przedsiębiorstwo nie mogło zrobić tak znacznego zboczenia, zwłaszcza

że w Isle-Adam droga kończyła się wówczas ślepo. Od kilku lat gościniec połączył dolinę Montmorency z doliną Isle-Adam. Od Saint-Denis przechodzi przez Saint-Leu — Taverny, Méru, Isle-Adam, i bieży wzdłuż Oizy aż do Beaumont. Ale w r. 1822 jedyna droga, która wiodła do Isle-Adam, była to droga książąt Conti. Pietrek i jego kolega władali tedy od Paryża do Isle-Adam, kochani przez całą okolicę. Pietrkowy powóz oraz wehikuł jego kolegi obsługiwały Stors, le Val, Parmain, Champagne, Mours, Prérolles, Nogent, Nerville i Maffliers. Pietrek był tak znany, że mieszkańcy Monsoult, Moisselles, Baillet i Saint-Brice, mimo iż mieszkający przy gościńcu, posługiwali się jego wehikułem, gdzie było łatwiej o miejsce niż w zawsze pełnych dyliżansach z Beaumont. Pietrek dobrze żył ze swoją konkurencją. Kiedy Pietrek wyjeżdżał z Isle-Adam, kolega jego wracał z Paryża, i odwrotnie. Zbytecznym jest mówić tu o konkurencie. Pietrek posiadał sympatie okolicy. Z dwóch konduktorów, on jest zresztą jedynym, który gra rolę w tej autentycznej historii. Niech wam wystarczy tedy wiedzieć, że dwaj woźnice żyli w dobrej harmonii, prowadząc uczciwą wojnę i walcząc o pasażerów godziwymi sposobami. Przez oszczędność, zajmowali w Paryżu ten sam dziedziniec, tę samą gospodę, tę samą stajnię, tę samą szopę, to samo biuro, mieli wspólnego urzędnika. Ten szczegół dostatecznie świadczy, że Pietrek i jego przeciwnik byli, wedle ludowego wyrażenia, poczciwe kmostry¹⁰. Gospoda ta, położona na samym rogu ulicy d'Enghien, istnieje jeszcze i nosi godło *pod Srebrnym Lwem*. Właściciel tego zakładu, przeznaczonego od niepamiętnych czasów na pomieszczenie dla dyliżansów, sam miał przedsiębiorstwo wehikułów do Dammartin, tak porządnie prowadzone, iż Touchardowie, jego sąsiedzi, których *Petites-Messageries* mieszczą się naprzeciwko, nie próbowali pchnąć swego dyliżansu na tę linię.

Mimo iż odjazd do Isle-Adam miał się odbywać o stałej godzinie, Pietrek i jego kolega uprawiali na tym punkcie pobłażliwość, która, o ile jednała im sympatie ludzi miejscowych, o tyle ściągala na nich gromy ze strony obcych, przywykłych do regularności wielkich linii publicznych; ale dwaj woźnice tego wehikułu — pół-dyliżansu, pół-kukułki — znajdowali zawsze obrońców w stałych klientach. Po południu odjazd o czwartej odwlekał się do wpół do piątej, rano zaś, mimo że naznaczony na ósmą, nigdy nie odbywał się przed dziewiątą. System ten był zresztą nader elastyczny. W lecie (złoty czas dla dyliżansów!) prawo odjazdu, surowe dla obcych, ugięło się jedynie dla miejscowych. Ta metoda pozwalała Pietrkowi sprzedać dwa razy jeden bilet, kiedy tubylec przyszedł wcześniej pytać o miejsce zajęte przez *przelotnego ptaka*, który, nieszczęściem, się spóźnił. Giętkość ta nie znalazłaby z pewnością łaski w oczach purystów, ale Pietrek i jego kolega usprawiedliwiali ją *ciężkimi czasami*, stratami, jakie ponosili w zimie, koniecznością obejrzenia się za lepszym wehikułem, wreszcie ścisłym przestrzeganiem prawa wypisanego na karteczkach, których bardzo skąpe egzemplarze wydawano jedynie przelotnym podróżnym na tyle upartym, aby się ich domagać.

Pietrek, mężczyzna czterdziestoletni, był już ojcem rodziny. Opuściwszy szeregi kawalerii w epoce zwalniań w r. 1815, dzielny chłopak objął te funkcje po ojcu, który powoził między Isle-Adam a Paryżem kukułką w sposób dość kapryśny. Ożeniwszy się z córką drobnego oberżysty, rozszerzył linię Isle-Adam, dał jej większą regularność, zwrócił na siebie uwagę inteligencją i wojskową akuracnością. Zręczny, rezolut, Pietrek (o nazwisko jego nikt się nie troszczył) miał ruchliwą fizjonomię, dzięki której twarz jego, czerwona i jakby wygarbowana, nabrała drwiącego wyrazu dającego wrażenie inteligencji. Nie zbywało mu zresztą na owej łatwości słowa, której nabywają ludzie, ocierając się o świat. Głos jego, nawykły mówić do koni i krzyżeć „*na bok*”, zrobił się szorstki, ale z klientami starał się go łagodzić. Na strój jego, jak u wszystkich woźniców tego typu, składały się ciężkie podkute buty z cholewami, zrobione w Isle-Adam, grube zielone pantalony i takiegoż koloru kamizelka, na którą w czasie spełniania swych funkcji wkładał niebieską bluzę, strojącą na kołnierzu, na ramionach i na rękawach kolorowymi wyszyciami. Na głowie kaszkiet z daszkiem. Służba wojskowa zostawiła Pietrkowi wielki szacunek dla wyżyn społecznych i nawyk posłuszeństwa wobec wyższych klas; ale poufał się chętnie z lyczkami i szanował zawsze kobiety, do jakiej bądź klasy należały. W rezultacie, przez tyle lat *tryndając pasażerów* — jedno z jego zwyczajnych wyrażen — nauczył się w końcu

¹⁰*kmostr* (daw.) — tu: kum, przyjaciel, kumpel. [przypis edytorski]

patrzeć na nich jak na paczki, które chodzą i które, tym samym, mniej wymagają starań od innych, stanowiących główny przedmiot przedsiębiorstwa.

Zaskoczony powszechnym ruchem, który od czasu pokoju przeobrażał jego gałąź przemysłu, Pietrek nie chciał się dać wyprzedzić w postępie. Toteż od wiosennego sezonu opowiadał szeroko o pięknym wehikule zamówionym w firmie Farry, Breilmann i C-ie, najlepszych fabrykantów dyliżansów, a koniecznym z powodu rosnącego napływu podróżnych. Inwentarz Pietrka składał się w owym czasie z dwóch wehikulów. Jeden, który służył mu w zimie i jedyny, który pokazywał urzędnikom skarbowym, odziedziczony był po ojcu i miał coś z *kukulki*. Wysklepione boki wehikułu pozwalały umieścić sześciu podróżnych na dwóch ławeczkach, twardych jak kamień, mimo że obitych żółtym aksamitem. Te dwie ławeczki dzieliła drewniana barierka, którą się do woli wyjmowało i wkładało z powrotem w dwa rowki zrobione na ścianach, na wysokości grzbietu. Bariera ta, podstępnie obita aksamitem, była rozpaczą podróżnych z przyczyny trudności, jaką sprawiało wyjąć ją i założyć na nowo. Oparcie to, tak trudne w manipulacji, było jeszcze uciążliwsze dla pleców, kiedy było na swoim miejscu; ale kiedy się je zostawiło w poprzek pojazdu, wówczas i wejście i wyjście stawało się jednako niebezpieczne, zwłaszcza dla kobiet. Mimo iż każda ławeczka w tym wehikule z łonem wysklepionym jak u ciężarnej kobiety mogła pomieścić tylko trzech pasażerów, widywało się ich czasami ośmiu, ściśniętych jak śledzie w beczce. Pietrek utrzymywał, że podróżni czują się tak o wiele lepiej, ponieważ tworzą wówczas zbitą, niewzruszoną masę; podczas gdy trzej pasażerowie objali się ustawicznie o siebie i często groziło im to, że zgniotą sobie kapelusze o sufit od gwałtownych wstrząśnień. Na przedzie znajdowała się drewniana ławeczka, siedziba Pietrka; tam mogło się zmieścić trzech pasażerów, którzy, usadowieni w tym miejscu, noszą, jak wiadomo, miano *królików*. Czasami Pietrek mieścił tam czterech królików, i sam siadał wówczas bokiem, na pudle mieszczącym się poniżej, aby dać oparcie nogom *królików*, zawsze pełnym słomy lub paczek niegrozących uszkodzeniem. Skrzynię tej kukulki, pomalowaną żółto, zdobiła u góry błękitna opaska, na której czytało się srebrzysto-białymi literami: *Isle-Adam — Paryż*, a z tyłu: *Linia Isle-Adam*. Nasze wnuki byłyby w błędzie, gdyby sądziły, że wehikul ten mógł zabrać tylko trzynastą osobę, licząc w to Pietrka: w ważnych wypadkach ładowano jeszcze trzech do kwadratowego przedziału pokrytego płachtą, gdzie tłoczyły się walizy, skrzynie i paczki; ale ostrożny Pietrek wpuszczał tam tylko znajomych klientów, i tylko o jakieś czterysta kroków za rogatką. Ci mieszkańcy *kojca* — miano dawane przez woźniców tej części wehikułu — musieli wysiadać przed każdą wsią przy drodze, gdzie znajdował się posterunek żandarmerii. Przepelnienie zabronione rozporządzeniami *tyczącymi bezpieczeństwa podróżujących*, było wówczas zbyt jaskrawe, aby żandarm, zasadniczo sympatyzujący z Pietrkiem, mógł poniechać spisania protokołu. Tak więc wehikul Pietrkowy *tryndał* w pewne soboty popołudniu lub poniedziałki rano po piętnastu pasażerów; ale wówczas swemu staremu, wielkiemu koniowi, zwanemu Kasztan, Pietrek przydawał towarzysza w osobie małego konika, dla którego nie miał dosyć słów pochwały. Konik ten, była to klacz imieniem *Sarenka*; jadła mało, żywa była jak iskra, niestrudzona, warta swojej wagi złota¹¹.

— Moja żona nie oddałaby jej za tego nieroba Kasztana! — wołał Pietrek, kiedy podróżny pozwolił sobie zażartować z tej miniatURY konia.

Różnica między tym a drugim powozem była taka, że drugi powóz był na czterech kołach. Powóz ów, dziwacznej budowy, zwany *powóz na czterech kołach*, brał po siedemnastu pasażerów, a miał ich mieścić tylko czternastu. Robił hałas tak straszny, że często w Isle-Adam mówiono: „O, jedzie Pietrek!”, kiedy wyjeżdżał z lasu porastającego zbocze. Podzielony był na dwie części, z których pierwsza, zwana *środek*, mieściła sześciu pasażerów na dwóch ławeczkach, a druga — rodzaj kabrioletu umieszczonego z przodu — nazywała się *przodkiem*. Przodek ten zamykał się niewygodną i dziwną szybą, której opis zajęłby zbyt wiele miejsca, aby można było o niej mówić. Powóz o czterech kołach uwieńczony był krytą imperiałką, w której Pietrek mieścił sześciu pasażerów, a którą zasłaniało się skórzanymi frankami. Pietrek sadowił się na siedzeniu prawie niewidzialnym, umieszczonym poniżej oszklenia *przodka*. Woźnica z Isle-Adam płacił podatki, jakim podlegają wehikuly publiczne, jedynie za swą kukulkę, rzekomo przewożącą sześciu pa-

Interes, Urzędnik

¹¹warta swojej wagi złota — tj. warta tyle złota, ile sama waży. [przypis edytorski]

sażerów, brał zaś przepustkę za każdym razem, kiedy się posługiwał pojazdem o czterech kołach. To może się wydać osobliwe dziś, ale w początkach podatek na wehikuly, wprowadzony z pewną nieśmiałością, pozwalał przedsiębiorcom na te drobne oszukaństwa, dające im przyjemność *wykiwania* urzędników, wedle ich słownika. Stopniowo wygłodiały Fiskus¹² zrobił się surowszy, zabronił wehikulom krążyć bez podwójnego stempla, który obecnie zwiastuje, że są wymierzone i że podatek za nie jest opłacony. Wszystko ma swój czas niewinności, nawet urząd podatkowy; ale z końcem roku 1822 czas ten trwał jeszcze. Często, w lecie, wehikuł o czterech kołach i kukułka jechały zgodnie drogą, wioząc trzydziestu dwóch pasażerów, a Pietrek płacił takse jedynie od sześciu. W owych szczęśliwych dniach konwój ruszał o wpół do piątej z przedmieścia Saint-Denis i przybywał dzielnie o dziesiątej wieczór do Isle-Adam. Toteż, dumny ze swej jazdy, która wymagała donajęcia nadliczbowych koni, Pietrek powiadał: „Ostrośmy jechali¹³!”. Aby móc zrobić dziewięć mil w pięć godzin w tej kawalkadzie, kasował wówczas postoje, jakie woźnice czynią zazwyczaj na tej drodze, w Saint-Brice, w Moisselles i w La Cave.

Hotel *pod Srebrnym Lwem* zajmuje plac bardzo głęboki. Fasada ma wprawdzie tylko trzy czy cztery okna na przedmieście Saint-Denis, ale za to w długim dziedzińcu, na którego końcu są stajnie, mieści się cały dom przylegający do muru sąsiedniej posiadłości. Wejście tworzyło rodzaj korytarza, w którym mogły stać dwa lub trzy powozy. W r. 1822, biura wszystkich przedsiębiorstw pomieszczonych pod *Srebrnym Lwem* prowadziła żona oberżysty, która miała tyle ksiąg, ile było linii, przyjmowała pieniądze, zapisywała nazwiska i składała pocztowie paczki w swej olbrzymiej kuchni. Podróżni zadowalali się tą patriarchalną swobodą. Skoro przybyli za wcześnie, siadali pod okapem obszernego komina lub też wystawali w bramie lub wreszcie udawali się do *Kawiarni trybunalskiej*, stanowiącej narożnik ulicy tej nazwy, równoległej do ulicy d'Enghien, od której dzieli ją tylko kilka domów.

W pierwszych dniach jesieni, w sobotę rano, Pietrek, z rękami wsadzonymi w kieszenie przez dziury w swojej bluzie, siedział pod bramą *Srebrnego Lwa*, skąd było widać w amfiladzie kuchnię, dalej zaś długi dziedziniec, na którego końcu rysowały się czarno stajnie. Dyliżans do Dammartin właśnie wyjechał i ruszył ciężko za dyliżansami Touchard. Było już po ósmej. Pod ogromną sienią, nad którą istnieje na długim szyldzie napis: *Hotel pod Srebrnym Lwem*, stajenni oraz parobkowie obsługujący dyliżanse spoglądali na powozy ruszające z miejsca w tempie, które tak myli podróżnych, budząc w nich nadzieję, że cały czas konie będą szły tym krokiem.

— Zaprzęgamy, panie starszy? — spytał Pietrka stajenny, kiedy już nie było widać nic.

— Kwadrans na dziewiątą, a nie widzę jeszcze ani źdźbła pasażera — odparł Pietrek. — Gdzie oni się zaszli? Ale możesz zaprzęgać. I pakunków też nie ma. Kroć diasków! *Tamten* nie będzie wiedział, gdzie wetkać swoich pasażerów dziś wieczór, śliczna pogoda, a ja mam całej parady zapisanych czterech. To mi ładna gratka na sobotę! Zawsze tak, kiedy człowiekowi potrzeba pieniędzy! Cóż za pieskie rzemiosło! Co za psie rzemiosło!

— Gdybyście ich mieli, gdziebyście ich pomieścili, skoro mamy dziś tylko kukułkę? — rzekł stajenny, starając się uspokoić Pietrka.

— A mój nowy powóz? — rzekł Pietrek.

— To on istnieje? — spytał gruby Owerniak¹⁴, pokazując w uśmiechu zęby białe i szerokie jak migdały.

— Stary niedojdo, potoczy się jutro, w niedzielę, i trzeba nam będzie osiemnastu pasażerów.

— A, ba! Ładny powóz to zagrzeje cały interes — rzekł stajenny.

— Powóz takuteńki jak ten, co jeździ do Beaumont! Ale! Nowusienieczki! Malowany czerwono i złoto, tak że Touchardów szlak trafi ze złości! Trza mi będzie trzy konie. Znalazłem konika do pary z kasztanem, a Sarenka pójdzie gracko na przyprzążkę. No,

¹²*Fiskus* (z łac. *fiscus*: koszyk na pieniądze) — Skarb Państwa a. organy administracyjne ściągające podatki; termin funkcjonujący już w staroż. Rzymie. [przypis edytorski]

¹³*ostrośmy jechali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ostro jechaliśmy. [przypis edytorski]

¹⁴*Owerniak* — mieszkaniec Owernii a. osoba pochodząca z Owernii (fr. *Auvergne*), górzystego, uzdrowiskowego regionu w centralnej Francji. [przypis edytorski]

dalej, zaprzęgaj — rzekł Pietrek, który spoglądał ku bramie Saint-Denis, ładując tytoń do krótkiej fajeczki. — Widzę tam jakąś paniusią i młodego pana z paczkami pod pachą, szukają *Srebrnego Lwa*, bo ani nie spojrzą na kukułki. Oho! Zdaje mi się, że ta paniusia to stara znajoma!

— Częstoście zajechali pełno, ruszywszy z domu pusto — rzekł stajenny.

— Ale pakunków nie ma! Kroćset kartaczy! Cóż za los!

I Pietrek usiadł na jednym z ogromnych słupów, chroniących mur od uderzeń osi, ale usiadł z miną niespokojną i zadumaną, która nie była mu zwyczajną. Ta rozmowa, niezna- cząca na pozór, poruszyła okrutne troski skryte w głębi Pietrkowego serca. A co mogło mącić serce Pietrkowe, jeśli nie piękny wehikul? Paradować na gościńcu, iść o lepsze z Touchardami, rozszerzyć swój interes, wozić pasażerów winszujących mu wygodę postępowej lokomocji, miast słuchać ich ustawicznych wymówek za jego pudło, taka była chwalebna ambicja Pietrkowa. Otóż woźnica z Isle-Adam, uwiedziony żądzą zakasowania swego kolegi, doprowadzenia go może do tego, aby mu kiedyś wyłącznie zostawił linię Isle-Adam, przeliczył się z siłami. Zamówił w istocie pojazd u Farry, Breilmann i C-ie, powoźników, którzy właśnie wprowadzili angielskie resory w miejsce dawnej mechaniki francuskiej, ale ci nieufni i twardzi fabrykanci nie chcieli wydać dyliżansu inaczej niż za gotowiznę. Niezbyt kwapiąc się do fabrykacji pojazdu trudnego do ulokowania, gdyby im został, roztropni kupcy przystąpili do niego dopiero po wpłacie dwóch tysięcy franków, uskutecznionej przez Pietrka. Aby uczynić zadość sprawiedliwym wymaganiom fabrykantów, ambitny woźnica wyczerpał wszystkie środki i wszelki kredyt. Żona jego, teść i przyjaciele upuścili sobie krwi. Oglądał właśnie ten wspaniały dyliżans wczoraj u malarza, tylko go zaprzęgać! Ale, aby go zaprząć, trzeba było spłacić resztę. Otóż, Pietrkowi brakowało tysiąca franków! Zalegając u oberżysty z komornym, nie śmiał go prosić o pożyczanie tej sumy. Z braku tysiąca franków, narażał się na stratę dwóch tysięcy zadatkowanych z góry, nie licząc pięciuset franków — cena nowego Kasztana — oraz trzystu franków za nową uprzęż, na którą uzyskał trzy miesiące kredytu. I oto, party wściekłością rozpaczy oraz szaleństwem próżności, upewniał przed chwilą, że jego nowy dyliżans ruszy w drogę jutro, w niedzielę. Dając tysiąc pięćset franków na dwa tysiące pięćset, miał nadzieję, że rozczuleni fabrykanci wydadzą mu powóz, ale po trzech minutach dumania, wykrzyknął głośno:

— Nie, to skończone psy, kutwy bez sumienia! A gdybym się zwrócił do pana Moreau, rządcy z Presles, to taki pocziwy człowiek? — rzekł do siebie uderzony nową myślą. — Wziąłby może ode mnie półroczny weksel.

W tej chwili lokaj bez liberii, niosący skórzaną walizkę, przybyły z biura Touchardów, gdzie nie znalazł miejsca do Chambly na pierwszą po południu, rzekł do woźnicy:

— To wy jesteście Pietrek?

— Wedle czego? — rzekł Pietrek.

— Jeżeli możecie zaczekać mały kwadransik, zabierzecie mojego pana: inaczej odniosę jego walizę i będzie musiał jechać dorożką.

— Zaczekam dwa, trzy kwadransy i oko, mój chłopcze — rzekł Pietrek zerkając na ładną, skórzaną walizkę, zamkniętą na mosiężny zamek z herbem na wierzchu.

— Dobra! Więc bierzcie — rzekł lokaj, zrzucając z ramienia walizkę, którą Pietrek uniósł, zważył, obejrzał.

— Masz — rzekł do stajennego — zawiń to dobrze w siano i załaduj do paki z tyłu. Nie ma nazwiska — dodał.

— Jest herb jego ekscelencji — odparł lokaj.

— Ekscelencji? Taka parada? Chodźcież na kieliszeczek — rzekł Pietrek, mrugając okiem i kierując się do *Kawiarni trybunalskiej*, dokąd pociągnął lokaja. — Chłopiec, dwa absynty! — zawołał wchodząc. — ...któż to jest wasz pan i dokąd się udaje? Nigdy go nie widziałem — spytał Pietrek, trącając się ze służącym.

— I nie dziwota — odparł lokaj. — Mój pan jeździ do was tylko raz na rok i to zawsze powozem. Woli dolinę Orge, gdzie ma najpiękniejszy park w okolicach Paryża, istny Wersal, dobra rodzinne, od nich ma nazwisko. Nie znacie pana Moreau?

— Administratora z Presles?

— Właśnie. Więc pan hrabia jedzie na dwa dni do Presles.

— A! Będę wioził pana hrabiego de Sérisy — wykrzyknął.

— Tak, mój chłopcze, tylko tyle. Ale bacznosc! Rozkaz. Jeżeli macie kogo z tamtych stron w dylizansie, nie wymieniajcie pana hrabiego, chce podróżować *kognito*¹⁵, zalecił mi to wam powiedzieć, obiecując dobry napiwek.

— Hehe! Ta podróż w czapce niewidce ma może związek z interesem, jaki robi stary Léger, dzierżawca z Moulineux?

— Nie wiem — odparł lokaj — ale czuję swąd w powietrzu. Wczoraj wieczór poszedłem do stajni z rozkazem, aby trzymano na siódmą rano powóz do drogi do Presles, ale o siódmej jego ekscelencja odwołał. August, pokojowiec pana hrabiego, przypisuje tę odmianę wizycie pewnej damy, która wygląda mi na to, że przybyła stamtąd.

— Czyżby co nagadano na pana Moreau! Najzacniejszy człowiek, najuczciwszy człowiek, królewski człowiek, ba! Mógłby zarobić więcej pieniędzy niż ich ma, wierzajcie!...

— W takim razie głupstwo zrobił — odparł sentencjonalnie lokaj.

— Pan de Sérisy zamieszka tedy w Presles, skoro umeblowano i odrestaurowano pałac? — spytał Pietrek po chwili. — Czy to prawda, że już tam wpakowano dwieście tysięcy franków?

— Gdybyśmy mieli, pan albo ja, to, co wydano ponadto, wystarczyłoby nam do śmierci. Skoro pani hrabina tam zamieszka, a ba! Wówczas tym Moreau cokolwiek rura zmięknie — rzekł lokaj tajemniczo.

— Zacny człowiek, ten pan Moreau — odparł Pietrek, który wciąż zamierzał prosić rządcę o swoich tysiąc franków. — Człowiek, który daje ludziom pracę, nie targuje się zbyttnio o robociznę, wyciska z ziemi całą jej wartość, i to dla swego pana! Zacny człowiek! Często jeździ do Paryża, zawsze moim dylizansem, daje mi dobry napiwek i zawsze ma mnóstwo zleceń do miasta. Po trzy, cztery paczki dziennie, dla pana, dla pani, słowem rachunek na pięćdziesiąt franków miesięcznie, nic tylko same zlecenia. Pani wprawdzie dmie trochę, ale kocha bardzo swoje dzieci, to ja je przywożę z kolegium i ja je odwożę. Za każdym razem daje mi pięć franków, sama hrabina nie postawiłaby się lepiej. Och, za każdym razem, kiedy mam kogoś od nich albo do nich, jadę aż pod bramę pałacową... To się należy, nieprawdaż?

— Powiadają, że pan Moreau nie miał ani tysiąca talarów przy duszy, kiedy go hrabia zrobił rządcą w Presles? — rzekł lokaj.

— Ale od 1806, w siedemnaście lat, musiał przecie coś uciuć! — odparł Pietrek.

— Prawda — rzekł lokaj potrząsając głową. — Ostatecznie, panowie to bardzo poczciwny naród, i mam nadzieję, że pan Moreau wyskrobał sobie omastę na chlebuś.

— Woziłem często do was dziczyznę — rzekł Pietrek — do waszego pałacu przy ulicy Chaussée d'Antin, i nigdy nie miałem zaszczytności oglądać pana ani pani.

— Pan hrabia to dobry człowiek — rzekł lokaj poufnie — ale, jeżeli żąda dyskrekcji, aby zapewnić sobie *kognito*, musi być jakiś skweres¹⁶, tak my sobie kombinujemy w pałacu: bo po cóż by odmawiał powóz? Po co by się tłukł kukułką? Czy par Francji nie ma na to, aby wynająć dorożkę?

— Dorożka mogłaby zażądać od niego czterdzieści franków tam i z powrotem, bo wiedzcie, że ta droga (jeżeli jej nie znacie) dobra jest, ale dla wiewiórek. Och! Wciąż pod górę i z góry — rzekł Pietrek. — Hrabia czy chudziak, każdy lubi policzyć dwa razy, zanim wyda! Gdyby ta podróż tyczyła pana Moreau... mój Boże, jakby mi było przykro, gdyby mu się miało trafić jakie nieszczęście! Kroćset furgonów! Czy nie byłoby sposobu go uprzędzić? Bo to jest zacny człowiek, całą gębą zacny człowiek, wspaniały człowiek, o!

— Ba! Pan hrabia bardzo go lubi, waszego pana Moreau — rzekł lokaj. — Ale wiesz pan, jeżeli chcecie, abym wam dał dobrą radę: każdy za siebie. Dosyć mamy roboty z tym, aby myśleć o sobie. Róbcie, o co was proszą, tym bardziej, że z jego ekscelencją nie ma żartów. A potem, rzecz pryncypialna, hrabia jest dobry pan, nieskapy. Jeśli mu usłużycie tyle — rzekł lokaj, pokazując na paznokciu — on wam odda tyle — dodał, wyciągając ramię.

Ta roztropna uwaga, a zwłaszcza ten obraz w ustach człowieka piastującego nie byle jaką godność młodszego kamerdynera hrabiego de Sérisy, miały ten skutek, iż ostudziły zapal Pietrka do rządcy dóbr Presles.

¹⁵*kognito* — zniekształcone łac. *incognito* (od łac. *incognitus*: nieznan), tj. bez ujawniania swojej tożsamości, umyślnie zachowując anonimowość, pozostając nierozpoznanym. [przypis edytorski]

¹⁶*skweres* (daw.) — zmartwienie, kłopot, problem. [przypis edytorski]

— No, do widzenia, panie Pietrek — rzekł lokaj.

Szybki rzut oka na życie hrabiego de Sérisy oraz jego rządcy jest tutaj konieczny dla właściwego zrozumienia dramaciku, który miał się rozegrać w Pietrkowym dylizansie.

Pan Hugret de Sérisy pochodzi w prostej linii od słynnego prezydenta Hugret, uszlachconego za Franciszka I¹⁷.

Rodzina ta nosi w herbie tarczę pół-złotą, pół-czarną, w czerwonej ramie, z napisem: *I, semper melius eris*¹⁸, godło, które niemniej jak dwa motowidła wzięte za podpory tarczy, dowodzi skromności mieszczańskich rodzin, w czasach gdy Stany trzymały się na swoim miejscu. Naiwność naszych dawnych obyczajów odbija się w kalamburze *Eris*, które, połączone z początkowym *I* oraz końcowym *S* ze słowa *melius*¹⁹, daje nazwisko (*Sérisy*) majątku, z którego uczyniono hrabstwo.

Ojciec hrabiego był Pierwszym Prezydentem Parlamentu przed Rewolucją. On sam, już Radca Stanu w Wielkiej Radzie w r. 1787, jako dwudziestodwuletni młodzieniec, odznaczył się tam bardzo pięknymi raportami w drażliwych sprawach. Nie wyemigrował w czasie rewolucji, przebył ją w dobrach swoich w Sérisy, koło Arpajon, gdzie szacunek, jakiego zażywał jego ojciec, uchronił go od wszelkiego nieszczęścia. Spędziwszy kilka lat na pielęgnowaniu prezydenta de Sérisy, który umarł w r. 1794, wszedł w owej epoce do Rady Pięciuset; kiedy go wybrano, przyjął wybór, aby rozproszyć swą boleść. W epoce 18 *Brumaire*²⁰, pan de Sérisy stał się, jak wszystkie stare rodziny sędownicze, przedmiotem zabiegów Pierwszego Konsula, który go pomieścił w Radzie Stanu i powierzył mu jeden z najbardziej zaniedbanych resortów do odbudowania. Potomek tej historycznej rodziny stał się jednym z najczynniejszych kółek wielkiej i wspaniałej organizacji, stworzonej przez Napoleona. Toteż Radca Stanu opuścił niebawem swoje stanowisko, aby przejść do Ministerium. Mianowany przez cesarza hrabią i senatorem, piastował kolejno prokonsulat dwóch królestw. W r. 1806, mając czterdzieści lat, senator zaślubił siostrę *ci-devant*²¹ margrabiego de Ronquerolles, dwudziestoletnią wdowę po jednym z najświetniejszych generałów republikańskich, Gaubercie, i jego spadobierczynię. Małżeństwo to, zadowolające z punktu widzenia rodu, zdwoiło znaczny już majątek hrabiego de Sérisy, który został szwagrem *ci-devant* margrabiego du Rouvre, mianowanego przez cesarza hrabią i szambelanem. W r. 1814, wyczerpany nieustanną pracą, pan de Sérisy, którego nadwreżone zdrowie wymagało spoczynku, złożył wszystkie urzędy, opuścił rząd, na którego czele cesarz go postawił, i przybył do Paryża, gdzie Napoleon, rad nie rad, pogodził się z tym faktem. Ten niestrudzony władca, który nie wierzył w zmęczenie u drugich, wziął zrazu musowy krok hrabiego de Sérisy za odstępstwo. Mimo iż senator nie był nigdy w niełasce, powtarzano na wiarę, że on ma jakieś powody do żalów do cesarza. Toteż, kiedy Burboni wrócili, Ludwik XVIII, w którym pan de Sérisy uznał swego prawego władcę, obdarzył senatora, mianowanego parem Francji, wielkim zaufaniem, powierzając mu swoje prywatne sprawy i mianując go Ministrem Stanu. 20 marca, pan de Sérisy nie udał się do Gand, uprzedził Napoleona, że zostaje wierny domowi Burbonów, nie przyjął Parostwa w czasie *Stu Dni*²², i spędził to tak krótkie panowanie w dobrach swoich w Sérisy. Po powtórnym upadku cesarza, wrócił oczywiście do Rady Przybocznej, został wiceprezydentem Rady Stanu i pełnomocnym likwidatorem Francji w ustaleniu odszkodowań żądanych przez obce mocarstwa. Osobiście skromny, nawet bez ambicji, zażywał wielkiego wpływu w kołach politycznych. Nie działał się nic ważniejszego bez jego porady; ale nie bywał nigdy na dworze i mało się pokazywał we własnych salonach. To szlachetne życie, od młodu poświęcone pracy, stało się w końcu nieustanną pracą.

¹⁷Franciszek I (1494–1547) — z gałęzi orleańskiej Walezjusów, król Francji od 1515 r. [przypis edytorski]

¹⁸*I, semper melius eris* (łac.) — idź, zawsze będziesz lepszy. [przypis edytorski]

¹⁹*melius* (łac.) — lepszy. [przypis edytorski]

²⁰18 *Brumaire* — dokonany 9 listopada 1799 r. przez Napoleona Bonaparte zamach stanu, który doprowadził do zajęcia przez niego kluczowej pozycji w strukturze władzy w roli pierwszego konsula i zakończył w istocie okres rewolucji francuskiej, prowadząc do ustanowienia władzy autokratycznej; w kalendarzu i terminologii rewolucyjnej dacie 9 listopada odpowiadał 18 dzień miesiąca *Brumaire* (tj. „mglistego”). [przypis edytorski]

²¹*ci-devant* (fr.) — poprzedni, dawny. [przypis edytorski]

²²*Sto Dni* — okres od 1 marca do 22 czerwca 1815 r., w którym Napoleon Bonaparte, uprzednio zmuszony do abdykacji i zesłany na wyspę Elbę, spróbował przy pomocy wiernych sobie wojsk ponownie przejąć władzę we Francji (20 marca dotarł do Paryża); próba ta zakończyła się niepowodzeniem po przegranej bitwie pod Waterloo i cesarz Francuzów ponownie abdykował, a następnie został deportowany na Wyspę Św. Heleny na oceanie Atlantyckim, gdzie zmarł 5 maja 1821 r. [przypis edytorski]

Hrabia wstawał o czwartej rano w każdej porze roku, pracował do południa, dopełniał swoich obowiązków para Francji lub wiceprezydenta Rady Stanu i kładł się o dziewiątej. W uznaniu tylu prac, król mianował go kawalerem swoich orderów. Pan de Sérisy miał od dawna Wielki Krzyż Legii Honorowej; miał order Złotego Runa, rosyjski order św. Andrzeja, Orła Pruskiego, wreszcie prawie wszystkie orderdy dworów Europy. Nie było człowieka mniej wysuwającego się naprzód a bardziej użytecznego w świecie politycznym. Można zrozumieć, że zaszczyty, rozgłos, światowe tryumfy, obojętne były człowiekowi tej miary. Ale nikt, z wyjątkiem księży, nie dochodzi do takiego życia bez ważnych pobudek. To zagadkowe postępowanie miało swój sekret, sekret okrutny.

Hrabia kochał się w swej żonie, jeszcze nim ją zaślubił. Ta miłość oparła się wszystkim cichym nieszczęściom małżeństwa z wdową, zawsze panią siebie zarówno przed, jak po drugim związku. Hrabina cieszyła się o tyle większą swobodą, iż pan de Sérisy miał dla niej pobłażliwość matki dla rozpieszczonego dziecka. Ciągła praca służyła mu za tarczę przeciw zgryzotom serca, pogrzebanym tak starannie jak ludzie polityczni umieją grzebać takie tajemnice. Rozumiał zresztą, jak śmieszna byłaby jego zazdrość w oczach świata, który z trudnością uwierzyłby w namiętną miłość do żony u starego dygnitarza. Jak, od pierwszych dni małżeństwa, dał się opętać żonie? Jak cierpiał, zrazu nie mszcząc się? Jak później nie śmiał się już mścić? Jak pozwalał płynąć czasowi, mamiony nadzieją? Jakimi sposobami kobieta młoda, ładna i inteligentna uczyniła zeń niewolnika? Odpowiedź na wszystkie te pytania, to byłaby długa historia, która zaszkodziłaby przedmiotowi tego opowiadania; zresztą, jeżeli nie mężczyźni, to kobiety potrafią ją odgadnąć. Wspomnijmy wszakże, że olbrzymie prace oraz zgryzoty hrabiego pozbawiły go niestety z konieczności zalet potrzebnych mężczyźnie, aby się oprzeć niebezpiecznym porównaniom. Toteż najokropniejszym z tajemnych nieszczęść hrabiego było to, iż usprawiedliwiał odrazę żony chorobą, powstałą jedynie z nadmiernej pracy. Dobry bez granic dla żony, zostawiał jej pełną swobodę: przyjmowała cały Paryż, jeździła na wieś, wracała, zupełnie tak jakby była wdową; on czuwał nad jej majątkiem i dbał o jej zbytek, czyniąc się jakby jej rządcą. Hrabina miała dla męża głęboki szacunek, lubiła jego inteligencję; umiała go uszczęśliwić swym uznaniem; toteż robiła co chciała z biednym człowiekiem, kiedy przyszła z nim porozmawiać godzinkę. Podobnie jak dawni wielcy panowie, tak hrabia osłaniał żonę w każdej okoliczności: uchybić jej dobrej sławie, znaczyło wyrządzić mu zniewagę nie do przebaczenia. Świat podziwiał wielce ten charakter, a pani de Sérisy niezmiernie wiele zawdzięczała mężowi. Każda inna kobieta, choćby nawet pochodziła z tak dobrej rodziny jak Ronquerolles, mogłaby się zgubić na zawsze. Hrabina była bardzo niewdzięczna, ale niewdzięczna z wdziękiem. Lała od czasu do czasu balsam na rany hrabiego.

Wy tłumaczmy teraz przyczynę nagłej podróży i incognita ministra Stanu.

Bogaty rolnik z Beaumont-sur-Oise, nazwiskiem Léger, trzymał dzierżawą folwark, który wrzynał się klinem w ziemię hrabiego i psuł jego wspaniałą posiadłość Presles. Folwark ten należał do mieszczanina z Beaumont-sur-Oise, nazwiskiem Margueron. Kontrakt dzierżawny Legera, zawarty w r. 1799, w chwili, gdy nie można było przewidzieć postępów rolnictwa, niebawem wygasł, a właściciel odrzucił propozycje Legera dotyczące dalszej dzierżawy. Od dawna pan de Sérisy, który pragnął się pozbyć kłopotów i sporów wynikających z enklawy, powziął nadzieję odkupienia tego folwarczku, dowiadując się, że jedyną ambicją pana Margueron była nominacja syna, wówczas prostego poborcy, na naczelnego poborcę podatków w Senlis. Moreau ukazywał swemu panu niebezpiecznego przeciwnika w osobie starego Léger. Dzierżawca, który wiedział, jak drogo mógłby sprzedać po kawałku ten folwark hrabiemu, gotów był wyłożyć tyle gotówki, aby przeważać pokusę wymarzonej posadki młodego Margueron. Dwa dni wprzód hrabia, pragnąc z tym skończyć, wezwał swego rejenta Aleksandra Crottat i swego adwokata Derville dla szczegółowego zbadania sprawy. Mimo iż Crottat i Derville podali w wątpliwość wierność rządcy, którego alarmujący list spowodował tę naradę, hrabia bronił pana Moreau, który (powiadał) służy mu wiernie od siedemnastu lat.

— Ba — odparł Derville — radzę waszej ekscelencji udać się samemu do Presles i zaprosić tego Margueron na obiad. Crottat pośle tam swego dependenta z gotowym aktem sprzedaży, zostawiając *in blanco*²³ stronice lub wiersze potrzebne na wyszczególnienie

²³*in blanco* — niewypełniony, pusty, niezapisany a. niepodpisany. [przypis edytorski]

gruntów i należności. Wreszcie niech wasza ekscelencja weźmie ze sobą część należności w postaci czeku, i nie zapomni nominacji syna na poborcę w Beaumont. Jeżeli nie skończymy tego od razu, folwark stracony! Nie zna pan, panie hrabio, chytryści naszych chłopków! Gdy gra idzie między chłopem a dyplomata, dyplomata przegrywa.

Crottat poparł tę radę, której, sądząc ze zwierzeń lokaja udzielonych Pietrkowi, hrabia widocznie usłuchał. W wilię²⁴ hrabia przesłał dylizansem słówko do rządcy, polecając mu zaprosić na obiad Marguerona, aby zakończyć interes z Moulineaux. Jeszcze przed tą sprawą, hrabia zarządził odrestaurowanie apartamentów w Presles; od roku pan Grindot, modny architekt, jeździł tam raz na tydzień. Otóż, dobijając kupna, pan de Sérisy chciał równocześnie obejrzeć roboty oraz wygląd nowego umeblowania. Spodziewał się zrobić niespodziankę żonie, przywożąc ją do Presles i pokładał swą ambicję w odnowieniu tego pałacu. Cóż więc takiego zaszło, że hrabia, który w wilię wybierał się jawnie do Presles, postanowił się tam udać incognito w Pietrkowym dylizansie?

Tutaj koniecznym jest rzec kilka słów o życiu pana rządcy.

Moreau, administrator dóbr Presles, był synem prowincjonalnego adwokacyny, który został podczas Rewolucji prokuratorem-syndykiem w Wersalu. W tym charakterze stary Moreau ocalił niemal majątek i życie panów de Sérisy ojca i syna. Ten obywatel Moreau należał do stronnictwa Dantona; Robespierre, nieubłagany w swoich nienawiściach, kazał go ścinać, odszukał go w końcu i posłał na szafot w Wersalu. Młody Moreau, spadkobierca zasad i przywiązań ojcowskich, umaczał palce w sprzysiężeniu przeciw Pierwszemu Konsulowi w epoce jego dojścia do władzy. Pan de Sérisy, pragnąc wypłacić się z długu wdzięczności, pozwolił umknąć skazanemu na śmierć; następnie poprosił o jego ulaskawienie w r. 1804, uzyskał je, ofiarował mu najpierw miejsce w swoich biurach, a w końcu wziął go za sekretarza, powierzając mu prowadzenie swoich spraw prywatnych. W jakiś czas po małżeństwie swego protektora, Moreau zakochał się w pannie służącej hrabiny i zaślubił ją. Aby uniknąć fałszywej pozycji, w jakiej go stawiał ten związek, którego nie jeden przykład znalazłby się na dworze cesarskim, poprosił o zarząd dóbr Presles, gdzie żona jego mogła odgrywać damę i gdzie, żyjąc w tym zapadłym kącie, żadne z nich nie było narażone na upokorzenia. Hrabia potrzebował w Presles oddanego człowieka, hrabina bowiem wolała mieszkać w Sérisy, położonym tylko o pięć mil od Paryża. Od trzech czy czterech lat Moreau posiadał klucz do interesów hrabiego; był inteligentny, bo przed Rewolucją studiował prawo w kancelarii ojca; zaczem²⁵ pan de Sérisy powiedział mu:

— Nie zrobisz kariery, skreśliłeś kark zawczasu; ale będziesz szczęśliwy, ja będę myślał o twoim szczęściu.

W istocie, hrabia dał mu tysiąc talarów stałej pensji, ładny domek na końcu zabudowań gospodarskich, dał mu co więcej pewną ilość sągów wyrębu na opał, owies, słomę i siano dla dwóch koni i ordynarię w naturze. Podprefekt nie ma tak pięknych dochodów. Przez pierwszych osiem lat swego rządcostwa, Moreau administrował majątkiem bez zarzutu, zapalił się do niego. Kiedy hrabia zjeżdżał, aby obejrzeć gospodarstwo, zatwierdzać nabytki lub roboty, wówczas, uderzony uczciwością swego rządcy, wyrażał swoje zadowolenie hojnymi gratyfikacjami. Ale kiedy Moreau został ojcem córeczki, swego trzeciego dziecka, obrósł już tak gruntownie we wszelkie wygody w Presles, że zatracił wobec hrabiego de Sérisy poczucie wdzięczności za nie. Toteż, około roku 1816, administrator, który dotąd czerpał z Presles tylko swoje osobiste wygody, przyjął chętnie od handlarza drzewem dwadzieścia pięć tysięcy franków w zamian za doprowadzenie do skutku, z podwyżką zresztą, dzierżawy wyrębu w Presles na przeciąg dwunastu lat. Moreau znalazł argumenty: nie ma emerytury, jest ojcem rodziny, należy mu się ta suma od hrabiego za blisko dziesięć lat gospodarki. Miał już uczciwie zaoszczędzonych sześćdziesiąt tysięcy; gdyby do nich dołączył tę kwotę, mógłby kupić folwark za sto dwadzieścia tysięcy franków na gruncie Champagne, gminy położonej powyżej Isle-Adam na prawym brzegu Oise. Wydarzenia polityczne nie pozwoliły hrabiemu ani sąsiadom zauważyć tej lokaty, dokonanej na imię pani Moreau, która jakoby odziedziczyła fundusz po ciotecznej babce, w swoich stronach, w Saint-Lô. Z chwilą gdy rządcą zakosztował rozkosznego owocu własności, postępowanie jego zostało na pozór najuczciwsze w świecie, ale nie stracił

²⁴w wilię (daw.) — w przededniu; dnia poprzedzającego. [przypis edytorski]

²⁵zaczem (daw.) — więc, w związku z czym. [przypis edytorski]

już ani jednej sposobności pomnożenia tajemnego majątku. Interes trojga dzieci zagasił ogień jego uczciwości. Mimo to trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że jeżeli przyjmował kubany²⁶, jeżeli myślał o sobie przy każdym kontrakcie, jeżeli posunął swoje prawa aż do nadużycia, wedle litery kodeksu pozostawał uczciwym człowiekiem i żaden dowód nie mógłby usprawiedliwić wniesionego przeciw niemu oskarżenia. W duchu jurysprudencji²⁷ najuczciwszych kucharek w Paryżu, dzielił między hrabiego a siebie zyski swej zręczności. Ten sposób zaokrąglenia swojej fortunki to była jedynie kwestia kazuistyki. Czynny, rozumiejący dobrze interesy hrabiego, Moreau chwycił tym pilniej każdą sposobność korzystnych nabytków, ile że zarabiał zawsze na tym hojną gratyfikację. Presles przynosiło na czysto siedemdziesiąt dwa tysiące franków. Toteż na dziesięć mil wokoło każdy mówił: „Hrabia de Sérisy ma w swoim rządcy drugiego siebie!”

Jako człowiek ostrożny, Moreau umieszczał, od roku 1817, co rok swoje zyski i dochody w rencie państwowej, zaokrąglając swój skarbczyk w największej tajemnicy. Odrzucał proponowane interesy, powiadając, że nie ma pieniędzy, i tak dobrze grał przed hrabią biedaka, że uzyskał dwa bezpłatne miejsca dla swoich dzieci w kolegium Henryka IV. W tej chwili Moreau posiadał sto dwadzieścia tysięcy franków kapitału w rencie trzyprocentowej, która zmieniła się na pięcioprocentową i podniosła się od tego czasu na osiemdziesiąt. Tych sekretnych sto dwadzieścia tysięcy franków i folwark w Champagne zaokrąglony nabytkami, stanowiły majątek wynoszący jakieś dwieście osiemdziesiąt tysięcy franków, dający szesnaście tysięcy renty.

Takie było położenie rządcy, w chwili gdy hrabia zapragnął kupić folwark Moulineux, którego posiadanie było niezbędne dla jego spokoju. Folwark ten składał się z osiemdziesięciu sześciu kawalków ziemi, okalających, wcinających się, przylegających do Presles, często otoczonych jak kwadrat w szachownicy, nie licząc granicznych plotów i rowów, które dawały powód do nieznośnych sporów z przyczyny lada drzewa do wycięcia, kiedy własność jego była sporna. Każdy inny niż minister Stanu miałby dwadzieścia procesów na rok z powodu Moulineaux. Stary Léger chciał kupić folwark jedynie, aby go odprzedać hrabiemu. Aby tym pewniej dojść do trzydziestu lub czterdziestu tysięcy franków zysku, dzierżawca od dawna próbował się porozumieć z administratorem. Przyparty okolicznościami, na trzy dni przed tą krytyczną sobotą, spotkawszy się z rządcą w polu, Léger wykazał mu jasno, że może skłonić hrabiego de Sérisy do ulokowania pieniędzy na dwa i pół na czysto w dobrej ziemi, to znaczy, jak zawsze, na pozór działać na dobro swego pana, znajdując w tym tajemny zysk czterdziestu tysięcy franków, które otrzyma.

— Dalibóg — rzekł wieczór kładąc się rządcą do żony — jeżeli wycisnę z interesu z Moulineaux pięćdziesiąt tysięcy franków, bo hrabia da mi pewno dziesięć tysięcy, osiadziemy sobie w Isle-Adam w willi Nogent. Ta willa to jest zachwycająca siedziba, zbudowana niegdyś przez księcia de Conti dla pewnej damy: pomyślano o wszelkich wygodach.

— To by mi się dość podobało — odparła żona. — Holender, który tam mieszka, bardzo ją dobrze wyrestaurował i odda nam ją za trzydzieści tysięcy, skoro zmuszony jest wracać do Indii.

— Będziemy o dwa kroki od Champagne — odpowiedział Moreau. — Mam nadzieję kupić za sto tysięcy franków folwark i młyn w Mours. Będziemy mieli w ten sposób dziesięć tysięcy franków renty w ziemi, jedną z najrozkoszniejszych siedzib w tej dolinie, o dwa kroki od naszego majątku, i zostałoby nam blisko sześć tysięcy franków renty w papierach państwowych.

— A dlaczego nie miałbyś się zakrećić o posadę sędziego pokoju w Isle-Adam? Zyskalibyśmy wpływy i tysiąc pięćset franków więcej.

— Ba! Myślałem już o tym.

W tym stanie ducha, dowiadując się, że jego pan ma przybyć do Presles i poleca mu zaprosić Marguerona w sobotę na obiad, Moreau czym prędzej wysłał posłańca, który oddał lokajowi hrabiego list. List przyszedł zbyt późno wieczorem, aby go można było doręczyć hrabiemu; ale Augustyn położył go na biurku, wedle swego zwyczaju w podobnych wypadkach. W liście tym Moreau prosił hrabiego, aby się nie trudził i aby zaufał

²⁶kuban (daw.) — łapówka. [przypis edytorski]

²⁷jurysprudencja — prawoznawstwo. [przypis edytorski]

jego oddaniu. Otóż, wedle niego, Margueron nie chce już sprzedać w całości i mówi o podzieleniu Moulineaux na dziewięćdziesiąt sześć parcel; trzeba mu wybić z głowy ten pomysł, a może (pisał rządcą) uciec się do podstawionego kupca.

Każdy ma swoich wrogów. Otóż rządcą i jego żona zrazili sobie w Presles spensjonowanego oficera nazwiskiem de Reybert i jego żonę. Od przyczynków doszło do nienawiści i zaciętej walki. Pan de Reybert dyszał zemstą, chciał wysadzić pana Moreau i zostać jego następcą. Te dwie myśli były zrośnięte z sobą. Toteż postępowanie rządcy, szpiegowane przez dwa lata, nie miało dla Reybertów tajemnic. W tym samym czasie, kiedy Moreau wysłał swój list do pana de Sérisy, Reybert posłał żonę do Paryża. Pani de Reybert tak usilnie domagała się rozmowy z hrabią, że odprawiona o dziewiątej wieczór, godzinie, w której hrabia kładł się spać, dostała się doń nazajutrz o siódmej rano.

— Ekscelencjo — oświadczyła ministrowi Stanu — zarówno mój mąż, jak ja niezdolni jesteśmy do pisania anonimów. Jestem pani de Reybert, z domu de Corroy. Mąż mój ma tylko sześćset franków emerytury, mieszkamy w Presles, gdzie pański rządcą robi nam same awanże, mimo że jesteśmy przyzwoici ludzie. Mąż mój, który nie jest żadnym intrygantem (Boże uchoвай!), wystąpił ze służby jako kapitan artylerii w r. 1816, przeszływszy dwadzieścia lat, zawsze z dala od cesarza, panie hrabio! A pan wie, że najlepsi żołnierze, którzy nie znajdują się pod okiem pana, z trudnością awansują; nie licząc, że uczciwość i szczerść Reyberta nie podobała się jego przełożonym. Mój mąż nie przestał przez trzy lata śledzić pańskiego rządcy w zamiarze pozbawienia go posady. Widzi pan hrabia, jesteśmy szczerzy. Moreau doprowadził nas do ostateczności, zaczęliśmy mu patrzeć na ręce. Przybywam tedy, aby panu powiedzieć, że chcą pana wykierować z tym Moulineaux. Chcą panu wydrzeć sto tysięcy franków, które podzielą między siebie rejent, Léger i Moreau. Poleciał pan, aby zaproszono Marguerona, wybiera się pan do Presles jutro; otóż Margueron uda chorego, a Léger tak pewien jest swego folwarczku, że pojechał do Paryża zrealizować walory. Jeżeli panu otworzyliśmy oczy, jeżeli pan chce mieć rządcę uczciwego, weźmie pan mego męża; mimo że szlachcic, będzie panu służył tak jak służył krajowi. Pański intendent ma dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków majątku, nie stanie mu się krzywda.

Hrabia podziękował zimno pani de Reybert i zbył ją niczym, gardził bowiem denuncjacją; ale, przypominając sobie podejrzenia Dervilla, uczuł się zachwiany; spostrzegł list swego rządcy, przeczytał; i w zapewnieniach oddania, w pełnych szacunku wymówkach z przyczyny nieufności, której dowodzi owa chęć załatwienia sprawy samemu, wyczytał prawdę o swoim rządcy.

— Zepsucie przyszło z majątkiem, jak zawsze! — powiedział sobie.

Hrabia zadał pani de Reybert parę pytań, nie tyle, aby uzyskać szczegóły, ile aby mieć czas ją obserwować; po czym napisał słówko do swego rejenta, prosząc go, aby mu nie przysyłał do Presles dependentą, ale aby sam przyjechał tam na obiad.

— Jeżeli pan hrabia — rzekła kończąc pani de Reybert — osądził mnie ujemnie z kroku, na który odważyłam się bez wiedzy męża, niech pan hrabia będzie przekonany, że informacje o jego rządcy uzyskaliśmy w sposób najnaturalniejszy w świecie; najdrażliwsze sumienie nie znalazłoby tu nic do zarzucenia.

Pani de Reybert, z domu Corroy, stała wyprostowana jak sztyldwach. Bystre oko hrabiego ujrzało przed sobą twarz podziurawioną jak sito, figurę płaską i suchą, parę oczów płonących i jasnych, loczki blond przyklepione do stroskanego czoła, spłowieła taftową zieloną kapotkę z różową podszewką, białą suknię w fiołkowe groszki, skórkowe trzewiki. Hrabia poznał w niej żonę ubożego kapitana, jakąś purytankę abonującą „Kurierą Francuskiego”, zjadła w cnocie, ale łasą na dobrobyt i dybiącą na tłustą posadkę.

— Powiada pani sześćset franków emerytury — rzekł hrabia odpowiadając samemu sobie, zamiast odpowiedzieć na słowa pani de Reybert.

— Tak, panie hrabio.

— Jest pani z domu de Corroy?

— Tak, ekscelencjo, szlachecka rodzina z okolic Messin, skąd pochodzi mój mąż.

— W którym pułku służył pan de Reybert?

— W siódmym pułku artylerii.

— Dobrze — powiedział hrabia — zapisując numer pułku.

Pomyślał, że mógłby powierzyć zarząd majątku dawnemu oficerowi, co do którego łatwo uzyska w ministerium wojny najściślejsze informacje.

— Pani — rzekł, dzwoniąc na kamerdynera — niech pani wraca do Presles z moim rejentem, który postara się tam przybyć na obiad i któremu panią poleciłem: oto adres. Ja sam udaję się potajemnie do Presles i poproszę pana de Reybert na rozmowę.

Tak więc nowina o podróży pana de Sérisy publicznym dyliżansem oraz przestroga, aby zachować w sekrecie jego nazwisko, nie bez kozery zaniepokoiły Pietrka: przeczuwał niebezpieczeństwo wiszące nad głową swego najlepszego klienta.

Wychodząc z kawiarni, Pietrek spostrzegł w bramie pod *Srebrnym Lwem* kobietę i młodego chłopca. Bystre jego oko poznało pasażerów, dama bowiem, z wyciągniętą szyją, z niespokojną twarzą, szukała widocznie woźnicy. Dama ta, ubrana w czarną jedwabną suknię, widocznie farbowaną, w brązowy kapelusz i w stary francuski kaszmir, w bawelnianych pończochach i kozłowych trzewikach, trzymała w ręku płaski pleciony koszyk i niebieski parasol. Kobieta ta, niegdyś piękna, wyglądała na lat niespełna czterdzieści, ale jej błękitne oczy, pozbawione owego płomienia, który zwiastuje szczęście, świadczyły, że od dawna wyrzekła się świata. Toteż strój jej, zarówno jak i wzięcie²⁸ wskazywały matkę całkowicie oddaną gospodarstwu i synowi. Wstążki u kapelusza były spłowiałe, a fason sprzed trzech lat. Szal spięty był złamaną igłą, zmienioną w szpilkę za pomocą gałeczki laku. Nieznajoma oczekiwała niecierpliwie Pietrka, aby mu polecić syna, który zapewne pierwszy raz podróżował sam i którego odprowadziła aż do dyliżansu zarówno przez obawę, co przez miłość matczyną. Syn był poniekąd dopełnieniem matki, tak jak, bez widoku matki, nie rozumiałoby się tak dobrze syna. O ile matka skazywała się na cerowane rękawiczki, syn miał oliwkowy surdut, którego przykrótkie rękawy świadczyły, że jeszcze wyrośnie, jak chłopcy między osiemnastym a dziewiętnastym rokiem. Niebieskie spodnie, naprawione przez matkę, świeciły łatą z nowego materiału, o ile surdut miał tę złośliwość, aby się rozchylić z tyłu.

— Nie kręć tak tych rękawiczek, prędzej je zniszczysz — mówiła w chwili, gdy zjawił się Pietrek. — ...a, to wy, Pietrku — dodała, zostawiając syna na chwilę i odciągając woźnicę o parę kroków.

— Jak się pani powodzi, pani Clapart? — odpowiedział woźnica, którego fizjonomia wyrażała równocześnie szacunek i poufalość.

— Nieźle, Pietrku. Uważajcie dobrze na mego Oskara, pierwszy raz podróżuje sam.

— O, sam jedzie do pana Moreau?... — wykrzyknął woźnica, aby się dowiedzieć, czy młody człowiek tam jedzie istotnie.

— Tak — odparła matka.

— Zatem pani Moreau się zgodziła? — odparł Pietrek z chytrą miną.

— Ach — rzekła matka — nie wszystko będzie tam miłe dla biednego chłopca, ale przyszłość jego wymaga koniecznie tej podróży.

Odpowiedź ta uderzyła Pietrka, który bał się powierzyć pani Clapart swoje obawy o rządcę, tak samo jak ona nie chciała zaszkodzić synowi, dając Pietrkowi pewne zalecenia, które by zmieniły konduktora w mentora. Podczas tego zobopólnego wahania, które się wyraziło paroma zdaniem o drodze, o pogodzie, o stacjach w podróży, nie od rzeczy będzie wyjaśnić węzły, jakie łączyły Pietrka z panią Clapart, usprawiedliwiając tych parę poufnych słów, które wymienili z sobą. Często, to znaczy trzy lub cztery razy na miesiąc, jadąc do Paryża, Pietrek zastawał w La Cave rządcę, który dawał znak ogrodnikowi, widząc nadjeżdżający wehikuł. Ogrodnik pomagał wówczas Pietrkowi załadować jeden lub dwa koszyki pełne owoców lub jarzyn zależnie od pory roku, kurcząt, jaj, masła, zwierzyny. Rządca dawał zawsze Pietrkowi za fatygę, wręczając mu zarazem pieniądze na roгатkę, jeżeli przesyłka zawierała przedmioty podlegające ocłeniu. Nigdy te paczki, te kobiałki, te koszyki, nie miały napisu. Pierwszy raz, który starczył na zawsze, rządcą wskazał ustnie mieszkanie pani Clapart dyskretnemu woźnicy, prosząc go, aby nigdy nikomu innemu nie powierzał tej cennej przesyłki. Pietrek, rojąc miłośćkę między jakąś śliczną dziewczyną a rządcą, udał się na ulicę de la Cerisaie nr 7, w dzielnicy Arsenалу, gdzie, zamiast spodziewanej młodej i pięknej istoty, ujrzał panią Clapart, której oto odmalowaliśmy portret. Woźnice dyliżansów powołani są, ze swego zawodu, wchodzić do

²⁸wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

wielu domów i w wiele tajemnic, że jednak przypadek, ta wice-opatrzność, zrzędził, iż są bez wykształcenia i wyzuci z daru obserwacji, nie są tym samym niebezpieczni. Jednakże, po kilku miesiącach, Pietrek nie wiedział, jak sobie wytłumaczyć stosunki pani Clapart z panem Moreau, z tego, co mu było danym dojrzeć w domu przy ulicy de la Cerisaie. Mimo iż w owej epoce, w dzielnicy Arsenalu czynsze nie były wysokie, pani Clapart mieszkała na trzecim piętrze w dziedzińcu, w domu, który był niegdyś pałacem jakiegoś magnata, w czasie gdy cała arystokracja mieszkała na dawnym terenie pałaców Tournelles i Saint-Paul. Z końcem szesnastego wieku wielkie rodziny dzieliły między siebie te rozległe przestrzenie, niegdyś ogrody naszych królów, jak to wskazują nazwy ulic de la Cerisaie, Beautreillis, des Lions etc. Mieszkanko to, którego wszystkie ubikacje²⁹ zdobne były starożytną boazerią, składało się z trzech pokoi w amfiladzie: jadalni, salonu i sypialni. Nad nimi znajdowała się kuchnia i pokój Oskara. Na wprost drzwi wchodowych były drzwi do izdebki, pomieszczonej na każdym piętrze w przybudówce, która mieściła też drewniane schody i tworzyła czworograniastą wieżę zbudowaną z dużych kamieni. To był pokój pana Moreau, kiedy nocował w Paryżu. W pierwszym pokoju, tam gdzie składał paczki, Pietrek ujrzał sześć orzechowych wyplatanych krzeseł, stół, kredens, w oknach liche zrudziałe firaneczki. Kiedy wszedł następnie do salonu, zauważył tam stare meble z epoki cesarstwa, ale podniszczone. Było w tym salonie jedynie tyle sprzętów, ile wymaga gospodarz jako rękojmi czynszu. Z salonu i jadalni osądził Pietrek sypialnię. Boazerie, z gruba pociągnięte czerwoną farbą, która zaciera rzeźby, rysunki, figury, zamiast być ozdobą, zasmucały oko. Niewoskowana nigdy podłoga miała odcień szary, jak podłoga w pensjonatach. Kiedy woźnica zastał państwa Clapart przy stole, talerze, szklanki, najdrobniejsze rzeczy świadczyły o strasznym niedostatku; jedli srebrnymi sztućcami, ale półmiski, waza, były wyszczerbione i odrutowane jak u najbiedniejszych ludzi; budziły litość. Pan Clapart, ubrany w lichą surducinę, obuty w zniszczone pantofle, zawsze w zielonych okularach, odsłaniał, skoro zdjął ohydny wysłużony przez pięć lat czapeczkę, szpiczastą czaszkę, uwieńczoną skąpymi i brudnymi kosmykami, którym poeta odmówiłby miana włosów. Człowiek ten o wyblakłej cerze wydawał się nieśmiały, a musiał być tyranem. W tym smutnym północnym mieszkaniu, bez innego widoku prócz widoku na wino pnące się po przeciwległym murze oraz na studnię w dziedzińcu, pani Clapart przybierała miny królowej i stąpała jak kobieta, która nie umie chodzić pieszo. Często, dziękując Pietrkowi, obrzucała go spojrzeniem, które rozczuliłoby obserwatora; od czasu do czasu wsuwała mu w rękę kilkanaście groszy. Głos miała uroczy, Pietrek nie znał Oskara, z tej przyczyny, że chłopiec dopiero co opuścił kolegium; nigdy zatem nie spotkał go w domu.

Oto smutna historia, której Pietrek nie byłby nigdy odgadł, nawet zasięgając (jak czynił od jakiegoś czasu) objaśnień u odzwiernej; ta bowiem nie wiedziała nic, chyba tyle, że Clapartowie płacili dwieście pięćdziesiąt franków komornego, mieli tylko jedną służącą na kilka godzin rano, że pani często sama prała od ręki w domu i że opłacała codziennie porto od listów, jak gdyby lękając się, aby nie narosło.

Nie istnieje, lub raczej rzadko istnieje, zbrodniarz, który byłby zupełnym zbrodniarzem. Z tym większą racją, niełatwo spotka się człowieka nieuczciwego w każdym calu. Można przy okazji oszukiwać pryncypała, można starać się wykroić dla siebie pieczone, ale mało jest ludzi, którzy, ciulając sobie mniej lub więcej dozwolonymi sposobami kapitalik, nie pozwalaliby sobie na jakiś dobry uczynek. Bodaj przez ciekawość, przez próżność, z kaprysu, przypadkiem, każdy człowiek miał swój atak dobroczynności; nazywa go swoją omyłką, nie powtórzy go więcej; ale składa ofiarę Dobru, tak jak największy gbur składa ofiarę Wdziękowi, raz albo dwa razy w życiu. Jeżeli winy pana Moreau dadzą się usprawiedliwić, to może przez tę jego wytrwałość we wspomaganie biednej kobiety, której łaski pochlebiały mu niegdyś i u której się ukrywał w dobie swoich niebezpieczeństw? Ta kobieta, słynna za Dyrektoriatu przez swoje stosunki z jednym z pięciu królów dnia, wyszła, dzięki temu wszechmocnemu poparciu, za dostawcę, który zrobił miliony i którego Napoleon zrujnował w roku 1802. Ten człowiek, nazwiskiem Husson, oszalał wskutek nagłego przejścia z dostatku do nędzy; rzucił się w Sekwanę, zostawiając piękną panią Husson w ciąży. Moreau, bardzo ściśle związany z panią Husson, był wówczas skazany

²⁹ubikacja (daw.) — pomieszczenie użytkowe (o dowolnym przeznaczeniu). [przypis edytorski]

na śmierć, nie mógł tedy zaślubić wdowy po dostawcy, a nawet na jakiś czas musiał opuścić Francję. W tym smutnym położeniu dwudziestodwuletnia pani Husson wyszła za urzędnika nazwiskiem Clapart, człowieka lat dwudziestu siedmiu, rokującego — jak się to mówi — nadzieje. Niech Bóg strzeże od przystojnych mężczyzn, który rokuje nadzieje! W tej epoce urzędnicy rychło dochodzili do wybitnych stanowisk, bo cesarz szukał ludzi zdolnych. Ale Clapart, obdarzony pospolitą urodą, nie posiadał żadnej inteligencji. Myśląc, że pani Husson jest bardzo bogata, udawał wielką miłość do niej; stał się jej ciężarem, nie zadowolając, ani teraz, ani potem, przyzwyczajając, jakich nabrała w dniach dostatku. Clapart lichy spełniał w ministerium finansów obowiązki, za które pobierał ledwie tysiąc osiemset franków rocznie. Kiedy Moreau, wróciwszy do hrabiego de Sérisy, dowiedział się o okropnym położeniu, w jakim znalazła się pani Husson, zdołał, zanim się sam ożenił, umieścić ją jako pierwszą pannę służącą u *Jejmości*, matki cesarza. Mimo tego potężnego poparcia, Clapart nigdy nie posunął się naprzód; nicość jego zanadto biła w oczy. Zrujnowana w r. 1815 przez upadek cesarza, piękna Aspazja³⁰ Dyrektoriatu została bez innych środków poza miejscem na tysiąc dwieście franków, uzyskanym dla Claparta, dzięki wpływowi hrabiego de Sérisy, w urzędzie gminnym Paryża. Moreau, jedyny protektor tej kobiety, którą znał, gdy posiadała kilka milionów, wyrobił dla Oskara Husson stypendium miasta Paryża w kolegium Henryka IV i posyłał przez Pietrka na ulicę de la Cerisaie wszystko, co wypada ofiarować, aby wspomóc dom w ruinie.

Oskar był całą przyszłością, całym życiem matki. Jako jedyną wadę można było zarzucić tej biednej kobiecie przesadną czułość dla tego dziecka, nienawistnego ojczymowi. Na nieszczęście Oskar miał w sobie sporo durnia, czego nie widziała matka, mimo docinków Claparta. Dureństwo to lub, aby rzec ściślej, ta próżność, zarozumiałość, tak dalece niepokoiły rządzącego, iż prosił panią Clapart, aby mu przysłała na miesiąc tego młodzieńca, iżby się mógł w nim rozejrzeć i zbadać, na jaką drogę trzeba by go skierować. Moreau miał zamiar kiedyś przedstawić Oskara hrabiemu jako swego następcę. Ale, aby zachować ścisłą bezstronność, nie będzie może zbyt szczerze stwierdzić źródła głupiej próżności Oskara, zaznaczając, że przyszedł on na świat w domu *jejmości*, matki cesarza. W pierwszej młodości, olśnione jego oczy patrzyły na blaski cesarstwa. Jego wrażliwa wyobraźnia musiała zachować odciski tych oszałamiających scen, zachować odbłask tej epoki złota i festynów, z nadzieją odnalezienia ich w życiu. Wrodzona chępliwość uczniów, z natury trawionych żądzą błyszczenia i zaćmiewania się wzajem, oparta na tych wspomnieniach dzieciństwa, rozwinęła się ponad miarę. Może i matka zbyt chętnie przypominała sobie w domu dni, w których była jedną z królowych Paryża z epoki Dyrektoriatu. Wreszcie Oskar, który właśnie ukończył szkoły, musiał może w kolegium bronić się przed upokorzeniami, jakimi *placący* gnębią przy każdej okazji stypendystów, o ile stypendysta nie umie wdrożyć im pewnego szacunku siłą fizyczną. To pomieszanie dawnego zgasłego blasku, minionej piękności, czułości znoszącej nędzę, nadziei pokładanych w tym synu, macierzyńskiego zaślepienia, heroicznie dźwiganych cierpień, czyniło z tej matki jedną z owych wzniosłych postaci, które w Paryżu ściągają oko obserwatora.

Niezdolny odgadnąć głębokiego przywiązania pana Moreau do tej kobiety, ani też przywiązania tej kobiety do swego protegowanego z roku 1797, Pietrek nie kwapił się z nią podzielić podejrzeniem, jakie mu świtało w głowie co do niebezpieczeństw grożących panu Moreau. Straszliwe słowa lokaja: „Dosyć mamy roboty z tym, aby myśleć o sobie!” przysły na myśl woźnicy, jak również poczucie subordynacji wobec tych, których nazywał *starszyzną*. Zresztą w tej chwili Pietrek czuł w głowie tyleż igieł, ile jest pięćciofrankówek w tysiącu franków!

Siedmiomilowa droga rysowała się zapewne jako długa podróż w wyobraźni biednej matki, która w epoce swej świetności rzadko puszczała się za rogatki; słowa bowiem: „Dobrze, proszę pani! — tak, proszę pani!”, powtarzane przez Pietrka, okazywały dostatecznie, że woźnica pragnie sobie oszczędzić zaleceń najoczywiściej zbyt gadatliwych i bezużytecznych.

— Umieści pan paczki tak, aby nie zamokły, gdyby przypadkiem zaczęło padać.

³⁰Aspazja (ok. 470 – ok. 400 p.n.e.) — pochodząca z Miletu kochanka a. żona ateńskiego polityka i męża stanu, Peryklesa; zajmowała pozycję niezwykłą dla kobiet swego czasu (z wyjątkiem heter), interesowała się sprawami publicznymi, mogła wywierać wpływ na Peryklesa i politykę Aten; wzmiankowana na kartach dzieł Platona, Arystofanesa, Ksenofonta i in. [przypis edytorski]

Matka, Syn, Pozycja społeczna

— Mam płachtę — odparł Pietrek. — Zresztą, o, widzi pani, jak troskliwie się ładuje?
— Oskarże, nie zostawaj tam dłużej niż dwa tygodnie, choćby cię zapraszano — dodała pani Clapart, wracając do syna. — Co bądź byś czynił, nie pozyskasz łask pani Moreau; zresztą musisz być z powrotem z końcem września. Wiesz, że mamy jechać do Belleville, do wuja Cardot.

— Tak, mammo.

— Zwłaszcza — dodała po cichu — nie mów nigdy nic o służbie... Pamiętaj wciąż, że pani Moreau była pokojówką...

— Tak, mammo...

Oskar, jak wszyscy młodzi ludzie o nadmiernie rozwiniętej miłości własnej, zdawał się nierad z tych napomnień udzielanych w progu *Srebrnego Lwa*.

— Zatem do widzenia, mammo; jedziemy, już zaprzężono.

Matka, zapominając, że się znajduje na ulicy, uściskała swego Oskara i rzekła, wyjmując z koszyka ładną bułeczkę:

— O, byłbyś zapomniał swojej bułki i czekolady! Powtarzam ci, nie jedz nic po gospodach, każą tam płacić za najmniejszą rzecz dziesięć razy tyle, co jest warta.

Oskar byłby rad, aby matka była daleko, kiedy mu pakowała bułkę i czekoladę do kieszeni. Scena ta miała dwóch świadków, młodych ludzi o kilka lat starszych od świeżo upieczonego maturzysty, lepiej ubranych od niego, przybyłych bez matki; chód ich, ubiór, wzięcie zdradzały ową zupełną niezawisłość, przedmiot wszystkich pragnień dziecka jeszcze pod jarzmem matczynym. Ci dwaj młodzi ludzie byli w tej chwili dla Oskara całym światem.

— On mówi *mamo* — wykrzyknął jeden z nieznanym, śmiejąc się.

Wykrzykownik ten doszedł uszu Oskara i spowodował oschłe: „Zegnam cię, matko”, któremu towarzyszył straszliwy odruch zniecierpliwienia.

Przynajmy to: pani Clapart mówiła trochę za głośno i zdawała się brać przechodniów za świadków swej czułości.

— Co tobie, Oskarże? — rzekła biedna matka dotknięta. — Nie rozumiem cię — dodała surowiej, sądząc że jest zdolna (omyłka wszystkich matek, które psują swoje dzieci) nakazać mu szacunek. — Słuchaj, Oskarże — dodała natychmiast, przechodząc do tklivosti — ty masz skłonność do gadulstwa, do mówienia wszystkiego, co wiesz i czego nie wiesz, dla popisu, przez głupią dziecinną próżność; powtarzam ci, staraj się trzymać język za zębami. Nie znasz jeszcze na tyle życia, mój drogi skarbie, aby ocenić ludzi, z którymi się spotkasz, a nie ma niebezpieczniejszej rzeczy niż rozmawiać w publicznym wehikule. Zresztą w dylizansie ludzie dystyngowani zachowują milczenie.

Dwaj młodzi ludzie, którzy zapewne przeszli w głąb gospody, zaszurali w bramie butami; mogli słyszeć to kazanie; toteż, aby się pozbyć matki, Oskar uciekł się do heroicznego środka, który dowodzi, jak bardzo miłość własna pobudza inteligencję.

— Mammo — rzekł — stoisz na przeciagu, możesz dostać fluksji, zresztą ja już siadam.

Chłopiec musiał trafić w słaby punkt, bo matka chwyciła go, uściskała tak jakby chodziło o zamorską podróż i odprowadziła ze łzami w oczach do kabrioletu.

— Nie zapomnij dać pięć franków służbie — rzekła. — Napisz do mnie przynajmniej trzy razy przez te dwa tygodnie. Zachowuj się dobrze i pamiętaj o moich przestrojach. Masz dosyć bielizny, aby nie musieć dawać do prania. Wreszcie, pamiętaj wciąż o dobroci pana Moreau, słuchaj go jak ojca i trzymaj się jego rad...

Wsiadając do dylizansu, Oskar ukazał swoje niebieskie pończochy ruchem, który podciągnął spodnie jego w górę, oraz nową łatę w spodniach między rozchylonymi polami surduta. Uśmiech młodych ludzi, których wzroku nie uszły te oznaki uczciwego ubóstwa, zadał nową ranę miłości własnej młodzieńca.

— Oskar zatrzymał pierwsze miejsce — rzekła matka do Pietrka. — Siadaj na tylnym siedzeniu — dodała, patrząc wciąż na Oskara z czułością i uśmiechając się doń tkliwie.

Och! Jakże Oskar żałował, że nieszczęścia i zgryzoty skaziły piękność jego matki, że nędza i zaparcie się siebie nie pozwoliły jej dobrze ubierać! Jeden z młodych ludzi, ten który miał buty i ostrogi, trącił drugiego łokciem, aby mu pokazać matkę Oskara, tamten zaś podkręcił wąsa gestem, który znaczył: „Ładna figurka!”.

„Jak pozbyć się matki?” — myślał Oskar nachmurzony.

— Co tobie? — spytała pani Clapart.

Oskar udał, że nie słyszy. Potwór! Może w tych okolicznościach pani Clapart zbywało taktu. Ale bezgraniczne uczucia są takie samolubne!

— Jerzy, czy ty lubisz dzieci w podróży? — spytał młody człowiek swego przyjaciela.

— Owszem, gdy są odłączone, noszą imię Oskar i mają czekoladę, mój drogi Amaury.

Te dwa zdania wymieniono półgłosem, pozwalając Oskarowi słyszeć albo nie słyszeć; zachowanie jego miało dać podróżnemu miarę tego, co może sobie pozwolić z dzieciakiem, aby się rozerwać w drodze. Oskar wolał nie słyszeć. Rozglądał się dokoła, aby zobaczyć, czy matka, która ciążyła nad nim jak koszmar, jest jeszcze, wiedział bowiem, że go zanadto kocha, aby go tak szybko opuścić. Nie tylko porównywał mimo woli strój towarzysza podróży ze swoim, ale jeszcze czuł, że strój jego matki odgrywa znaczną rolę w drwiącym uśmiechu młodych ludzi.

„Gdybyż oni stąd poszli!” — powiadał sobie.

Niestety! Amaury rzekł do Jerzego, trącając laską w koła kabrioletu:

— I ty powierzysz przyszłość tej kruchej barce?

— Tak trzeba! — rzekł Jerzy fatalistycznym tonem.

Oskar westchnął, widząc kapelusz nieznajomego junacko nasadzony na ucho, jak gdyby po to, aby pokazać wspaniałe, pięknie u fryzowane włosy blond, gdy on, z rozkazu ojczyma, włosy miał ostrzyżone na jeża, krótkie jak u rekruta. Próżny dzieciak miał twarz okrągłą i pyzată, błyszczącą rumieńcem zdrowia, gdy twarz towarzysza podróży była ściągłą, delikatna i blada, czoło wydatne, a pierś obleczona w kaszmirową kamizelkę. Oskar podziwiał obcisłe spodnie stalowego koloru, surdut szamerowany i ściśnięty w talii; miał uczucie, że ten romantyczny pasażer, obdarzony tyłoma przewagami, nadużywa wobec niego swej wyższości, tak jak kobietę brzydką uraża sam widok ładnej. Hałas podkutych butów, którymi nieznajomy dzwonił, zdaniem Oskara trochę zanadto, rozlegał mu się aż w sercu. Wreszcie Oskar był równie nieswój w swoim ubraniu zrobionym może w domu i skrojonym ze starego garnituru ojczyma, jak ten szczęśliwy chłopiec czuł się swobodnie w swoim.

„Ten chłopak musi mieć jakieś kilkadziesiąt franków w sakiewce” — pomyślał Oskar.

Młody człowiek odwrócił się. Cóż się stało z Oskarem, kiedy ujrzał złoty łańcuszek, na którym wisiał zapewne złoty zegarek! Nieznajomy nabrał wówczas w oczach Oskara rozmiarów wybitnej osobistości.

Wychowany przy ulicy de la Cerisaie od roku 1815, przyprowadzany do domu i odprowadzany do kolegium w wolne dni przez ojczyma, Oskar nie miał, od chwili dojścia do wieku młodzieńczego, innych punktów porównania, jak tylko ubogie gospodarstwo matczyne. Trzymany krótko, w myśl rad pana Moreau, rzadko bywał w teatrze i nie wznosił się jeszcze ponad *Ambigu-Comique*, gdzie oczy jego nie widziały zbytnej świetności, o ile w ogóle uwaga, z jaką dziecko pochłania melodramat, pozwoliła mu rozglądać się po sali. Ojczym jego nosił jeszcze, modą cesarstwa, zegarek w kieszonce od spodni, a na łożądku dyndał mu gruby złoty łańcuszek, zakończony pękiem breloków, pieczętek oraz kluczykiem z płaską i okrągłą główką, w której można było oglądać mozaikowy pejzaż. Oskar, który uważał ten staroświecki zbytek za ostatni wyraz wykwinu, osłupiał tedy na widok subtelnej i niedbalej elegancji. Młody człowiek ostentacyjnie pokazywał świeże rękawiczki, i chciał wyraźnie olśnić Oskara, obracając z wdziękiem wykwinną laseczkę ze złotą gałką. Oskar dochodził do tej ostatniej kwadry młodości, w której małe rzeczy tworzą wielkie radości i wielkie cierpienia, gdzie woli się nieszczęście od śmiesznej toalety, gdzie miłość własna, nie mogąc się czepić wielkich spraw życia, czepia się błahostek, stroju, chęci uchodzenia za mężczyznę. Człowiek wspina się wówczas na szczudła a próżność jest tym bardziej rażąca, iż objawia się w drobiazgach; ale, o ile taki młokos zazdrości ładnie ubranemu durniowi, entuzjazmuje się także dla talentu, podziwia genialnego człowieka. Te wady, kiedy mają źródło w sercu, świadczą o bujności soków, o zbytku wyobraźni. Że dziesiętnastoletni chłopiec, chowany surowo w domu rodzicielskim, w niedostatku dławiącym urzędniczynę o tysiąc dwustu frankach pensji, ale uwielbiany i psuty przez matkę, staje olśniony na widok dwudziestodwuletniego młodzieńca, zazdrozcząc mu szamerowanej czamarki na jedwabiu, kamizelki z fałszywego kaszmiru i krawata z pierścionkiem w złym guście, czyż to nie są grzeszki powtarzające się na wszystkich szczeblach społeczeństwa; niższy, który zazdrości stojącemu wyżej? Nawet człowiek genialny ulega tej pierwszej namiętności. Czyż genewczyk Rousseau nie

Strój, Obyczaje, Pozycja
społeczna

zazdrościł Wenturze i Baclowi³¹? Ale Oskar przeszedł od słabostki do błędu, uczył się upokorzony, poczuł żal do swego towarzysza podróży, w sercu jego zbudziła się tajemna żądza dowiedzenia mu, że nie jest gorszy od niego. Dwaj lalusie przechadzali się wciąż od bramy do stajen, od stajen do bramy, dochodząc aż do ulicy; kiedy się zaś obracali, za każdym razem przyglądali się Oskarowi, przycupniętemu w kącie. Oskar, przekonany, że te śmieszki młodych ludzi tyczą jego, udał głęboką obojętność. Zaczął nucić piosenkę spopularyzowaną wówczas przez liberałów, ze słowami: *To wina Woltera, to wina jest Russa*. Zachowanie to sprawiło zapewne, że go wzięli za pisarczyka od adwokata.

— O, to może chórzysta z Opery.

Biedny Oskar zachnął się zrozpaczony, podniósł poręcz i rzekł do Pietrka:

— Kiedy jedziemy?

— Natychmiast — odpowiedział woźnica, który trzymał bat w ręce i spoglądał w ulicę d'Enghien.

W tej chwili urozmaicił scenę młody człowiek prowadzący z sobą typowego urwisa; za nimi szedł posłaniec, wlokąc wózek przy pomocy sznura. Młody człowiek zagadnął poufnie Pietrka, który kiwnął głową i zaczął wołać stajennego. Stajenny nadbiegł, aby pomóc wyładować wózek, który, poza dwiema walizkami, zawierał wiadra, szczotki, skrzynki dziwnego kształtu, niezliczoną ilość paczek i przyborów, które młodszy z przybyłych, wdrapawszy się na imperialkę, ładował z taką chyżością, że biedny Oskar, uśmiechający się do matki stojącej wciąż na posterunku po drugiej stronie ulicy, nie spostrzegł żadnego z tych przyborów, które mogły mu zdradzić rzemiosło nowych towarzyszy podróży. Urwis, chłopak szesnastoletni, miał na sobie szarą bluzę, przepasaną lakierowanym skórzanym paskiem. Zuchowato nasadzona na bakier czapeczka, zarówno jak malowniczy nieład ciemnych i obfitych puklów, zwiastowały wesoly temperament. Taftowy krawat odcinał się czarną linią od bardzo białej szyi i uwydatniał jeszcze żywość szarych oczu. Ożywienie ciemnej i rumianej twarzy, krój dosyć wydatnych warg, odstające nieco uszy, zadarty nos, wszystkie szczegóły fizjonomii, zdradzały drwiący temperament Figara³², bez troskę młodości; żywość zaś ruchów, ironiczne spojrzenia świadczyły o inteligencji rozwiniętej już praktyką wcześniej obranego zawodu. Dojrzały nad wiek, dzieciak ten, pasowany na męczyznę przez Sztukę lub powołanie, udawał się obojętny na kwestię stroju, gdyż patrzył na swoje nieoczyszczone buty z miną taką, jakby z nich sobie drwił, i na swoje proste drelichowe spodnie tak, jakby szukał na nich plam, nie tyle aby je usunąć, co aby śledzić ich efekty.

— Jestem w pięknym tonie! — rzekł, otrząsając się i zwracając się do towarzysza.

Wzrok tego ostatniego świadczył o powadze, jaką miał u tego urwisa, w którym wyćwiczone oko poznałoby owego wesolego ucznia szkoły malarskiej, zwanego w pracownianym stylu *knociarzem*.

— Zachowuj się przyzwoicie, Mistigris³³ — odpowiedział mistrz, dając mu przydomek uświęcony zapewne przez kolegów.

Podróżny ten był to szczupły i błady młodzieniec, z czarnymi, bardzo obfitymi włosami, skłębionymi w fantastycznym nieładzie; ale ta bujna czupryna była niejako potrzebna dla ogromnej głowy, której szerokie czoło zwiastowało przedwczesną inteligencję. Nieregularna twarz, zbyt oryginalna, aby mogła być brzydka, była zapadła tak, jak gdyby tego szczególnego młodziana żarła bądź chroniczna choroba, bądź nędza, która jest straszliwą chroniczną chorobą, bądź wreszcie zgryzoty zbyt świeże, aby je mógł zapomnieć. Ubiór jego, prawie podobny — z zachowaniem proporcji — do stroju Mistigrisa, składał się z lichego, wytartego, ale czystego, dobrze wyszczotkowanego zielonkawego surduta, z czarnej zapiętej pod szyję kamizelki, spod której zaledwie było widać czerwony fular. Czarne spodnie, równie zużyte jak surdut, wisały na chudych nogach. Wreszcie zabłocone buty świadczyły, że artysta przyszedł pieszo i z daleka. Szybkim spojrzeniem objął

³¹Rousseau nie zazdrościł Wenturze i Baclowi — por. *Wyznania* Russa. [przypis tłumacza]

³²Figaro — obdarzony błyskotliwą inteligencją, energiczny i sprytny służący; bohater trzech sztuk Pierre'a Beaumarchais (1732–1799): *Cyrulik sewilski*, *Wesele Figara* i *Występna matka*, spopularyzowanych przez opery Gioacchino Rossiniego *Cyrulik sewilski* i Wolfganga Amadeusa Mozarta *Wesele Figara*; Figaro, lokaj hrabiego Almavivy, stał się wyrazicielem ducha epoki. [przypis edytorski]

³³mistigris — pusta karta w pokerze a. odmiana gry karcianej podobnej do pokera, w której używa się jokera. [przypis edytorski]

czeluści *Srebrnego Lwa*, stajnie, oświetlenie, szczegóły i spojrzal na Mistgrisa, który go naśladował ironicznym rzutem oka.

— Ładne! — rzekł Mistigris.

— Tak, ładne — powtórzył nieznajomy.

— Przyszliśmy jeszcze za wcześnie — rzekł Mistigris. — Czy byśmy nie mogli wsunąć jakiegoś ziemiopłodu? Mój żołądek jest jak natura, brzydzi się próżnią!

— Czy możemy iść wypić szklanekę kawy? — spytał młody człowiek łagodnie Pietrka.

— Nie siedźcie panowie długo — odparł Pietrek.

— Dobra, mamy kwadrans czasu — odparł Mistigris, zdradzając tym geniusz obserwacji, wrodzony paryskim urwisom.

Dwaj podróżni znikli. Dziewięta właśnie wybiła na zegarze w kuchni. Jerzy uważał za właściwe połać Pietrka.

— Ech, mój przyjacielu, kiedy się ma kłopot taki jak ten — rzekł, uderzając laską o koło — trzeba przynajmniej mieć zaletę punktualności. Cóż u diabła, nie tłucze się *tym* człowiek dla przyjemności, trzeba mieć sprawy diabelnie pilne, aby narażać tak swoje kości. Potem ta szkap, którą nazywacie Kasztanem, nie odrobi straconego czasu.

— Zaprzęże się panom Sarenkę, podczas gdy tamci panowie będą pili kawę — odparł Pietrek. — Idź no ty — rzekł do stajennego — zobacz, czy stary Léger zabierze się z nami...

— A gdzie on jest, ten stary Léger? — rzekł Jerzy.

— Naprzeciwno, pod numerem 50: nie znalazł miejsca w dylizansie bomonckim — rzekł Pietrek do stajennego, nie odpowiadając Jerzemu i znikając, aby przyprowadzić Sarenkę.

Jerzy, któremu przyjaciel uściśnął rękę, wsiadł do wehikułu, rzucając doń najpierw z ważną miną wielką tekę, którą umieścił pod poduszką. Zajął kąć przeciwległy temu, w którym umieścił się Oskar.

— Ten stary Léger niepokoi mnie — rzekł.

— Nie mogą nam zabrać naszych miejsc, ja mam numer pierwszy — odparł Oskar.

— A ja drugi — dorzucił Jerzy.

W tej samej chwili gdy Pietrek ukazał się z Sarenką, pojawił się stajenny, wiodąc grubego mężczyznę, ważącego co najmniej sto dwadzieścia kilo. Ojciec Léger należał do gatunku rolników brzuchaczy; z kwadratowymi barami, z pudrowanym harcapem³⁴, ubrany był w niebieską płócienną kurtkę. Białe kamasze, sięgające powyżej kolan, zachodziły na aksamitne prążkowane spodnie, zapięte na srebrne klamry. Podkute trzewiki ważyły po dwa funty każdy. Trzymał w ręku prostą laseczkę z grubym końcem, przywiązaną rzemykiem u garstki.

— Pan się nazywa ojciec Léger — rzekł poważnie Jerzy, kiedy dzierżawca siłił się postawić nogę na stopniu.

— Do usług pańskich — rzekł dzierżawca, ukazując twarz podobną do twarzy Ludwika XVIII, o szerokich rumianych policzkach i nosie, który na każdej innej twarzy wydałby się olbrzymi. Uśmiechnięte oczy tonęły w wałkach tłuszczu. — No, podaj mi rękę, chłopcze — rzekł do Pietrka.

Stajenny i jego pan podsadzili dzierżawcę, przy okrzyku: „W górę, hoop!”, wydanym przez Jerzego.

— Och, ja nie jadę daleko, jadę tylko do Piwnicy³⁵ — rzekł dzierżawca odpowiadając żarciem na żart.

We Francji wszyscy rozumieją się na żartach.

— Siadaj pan z tyłu — rzekł Pietrek — będzie panów sześcioro.

— A wasz drugi koń — spytał Jerzy — czy jest równie fantastyczny jak trzeci koń pocztowy?

— Patrz, obywatelu — rzekł Pietrek, wskazując gestem małą klacz, która przyszła sama.

— On nazywa tego owada koniem! — rzekł Jerzy zdziwiony.

³⁴harcap (z niem. *Haar*: włosy i *Zopf*: warkocz) — warkocz noszony przez mężczyzn w XVIII w. [przypis edytorski]

³⁵jadę tylko do Piwnicy — w oryg. *la Cave* (fr.) — piwnica. [przypis tłumacza]

— Oho! To doskonały konik — rzekł dzierżawca, rozsiadając się. — Szacunek panom. No co, ruszymy, Pietrek?

— Mam dwóch podróżnych, którzy poszli na kawę — odparł woźnica.

Młody człowiek o zapadłej twarzy i mały knociarz ukazali się w tej chwili.

— Jedźmy! — rozległ się ogólny krzyk.

— Zaraz jedziemy — odparł Pietrek. — No, odhamuj — rzekł do stajennego, który wyjął kamienie podpierające koła.

Woźnica ujął za cugle kasztana i wydał ów znamienny krzyk, jakim zachęca się zwierzę, aby zebrało swoje siły. Mimo że porządnie zastale, konie pociągnęły wehikuł, który Pietrek zatrzymał przed bramą *Srebrnego Lwa*. Po tym czysto przygotowawczym zabiegu, spojrzął w ulicę d'Enghien i znikł, zostawiając pojazd pod strażą stajennego.

— Co się dzieje, czy wasz pryncypał częsta miewa takie ataki? — spytał Mistigris stajennego.

— Poszedł po owies do stajni — odparł sługus, znający na wylot wszystkie te podstępny, mające uspić niecierpliwość podróżnych.

— Ostatecznie, *czas to miesiąc* — rzekł Mistigris.

W tej chwili moda kaleczenia przysłów panowała w pracowniach malarskich. Było tryumfem znaleźć zmianę paru liter lub podobny nieco wyraz, tak aby dać przysłowiu pocieszny sens.

— *Nie od razu Paryż zbuntowano* — odpowiedział jego pan.

Pietrek wrócił, prowadząc hrabiego de Sérisy, który przybył ulicą Trybunalską i z którym woźnica miał zapewne parę słów rozmowy.

— Ojcie Léger, czy chcesz odstąpić panu swoje miejsce, pojazd będzie równomierniej obciążony.

— I nie ruszymy ani za godzinę, jeżeli tak dalej pójdzie — rzekł Jerzy. — Trzeba będzie zdjąć tę piekielną barierę, którą tak ciężko było założyć, i wszyscy będą musieli wysiadać dla pasażera, który przychodzi ostatni. Każdy ma prawo do tego miejsca, które zamówił, które jest miejsce tego pana? No, przejdźcie numery! Czy macie jaki spis, jaki rejestr? Jakie jest miejsce tego pana?...

— Panu tu będzie źle — bąknął Pietrek widocznie zakłopotany.

— *Nie miejsce zdobi człowieka* — wtrącił Mistigris.

— Mistigris, zachowuj się przyzwoicie! — krzyknął ostro jego pan.

Pana de Sérisy wzięto najwidoczniej za jakiegoś mieszcucha.

— Nie ruszajcie nikogo — rzekł hrabia do Pietrka — siadę sobie przy was na przedzie.

— No, Mistigris — rzekł młody człowiek do urwisa — przypomnij sobie, że jesteście winieni szacunek starości, nie wiesz, jak możesz być ohydnie stary. Ustąp panu miejsce.

Mistigris otworzył przód kabrioletu i wyskoczył z chyżością żaby skaczącej w wodę.

— Nie możesz być *królikiem*, czcigodny starcze — rzekł do pana Sérisy.

— Mistigris, Sztuka jest przyjacielem człowieka — rzekł jego pan.

— Dziękuję panu — rzekł do malarza, który w ten sposób stał się jego sąsiadem.

I mąż stanu rzucił w głąb powozu bystry rzut oka, który obraził wielce Oskara i Jerzego.

— Jesteśmy zapóźnieni o godzinę i kwadrans — rzekł Oskar.

— Kiedy kto chce być panem dylizansu, powinien zająć wszystkie miejsca — zauważył Jerzy.

Pewien odtąd swego incognito, hrabia de Sérisy nie odpowiedział nic na te uwagi i przybrał minę potulnego mieszcucha.

— Gdybyście się panowie spóźnili, czy nie byłibyście radzi, żeby na was zczekano? — rzekł dzierżawca do młodych ludzi.

Pietrek spoglądał ku bramie Saint-Denis, trzymając bat, i wahał się usiąść na twardej ławeczce, gdzie kręcił się Mistigris.

— Skoro czekacie na kogoś — rzekł hrabia — nie jestem tedy ostatni.

— Bystre rozumowanie — rzekł Mistigris.

Jerzy i Oskar zaczęli się śmiać dość niegrzecznie.

— Starowina ruszył konceptem — rzekł Jerzy do Oskara, którego ten cień zażyłości z Jerzym przejął szczęściem.

Skoro Pietrek usiadł po prawej na swoim siedzeniu, wychylił się, aby spojrzeć wstecz, ale nie mógł dojrzeć w tłumie dwóch podróżnych, których mu brakowało do pełnego kompletu.

— Dalibóg, nie pogniewałbym się jeszcze o dwóch pasażerów.

— Nie zapłaciłem jeszcze, wysiadam — rzekł Jerzy przestraszony.

— Na co ty czekasz, Pietrek? — rzekł stary Léger.

Pietrek wrzasnął: „wio!” tonem, w którym Kasztan i Sarenka wyczuli ostateczne postanowienie, i dwa konie puściły się w górę przedmieścia przyśpieszonym truchtem, który niebawem miał zwolnić.

Hrabia miał twarz całą czerwoną, ale na tej chorobliwej czerwieni odcinało się parę miejsc szczególnie zaognionych, odbijających tym żywiej od zupełnie białych włosów. Dla kogo innego niż te młokosy, cera ta świadczyłaby o nieustannym zapaleniu krwi, wynikłym z wytężonej pracy. Plamy te tak szpeciły szlachetne rysy hrabiego, że trzeba było bacznej uwagi, aby odczytać w jego zielonych oczach bystrość sędziego, głębię polityka i wiedzę prawodawcy. Twarz była płaska, nos jakby zgnieciony. Kapelusz krył wdzięk i piękność czoła. Było wreszcie coś komicznego — zwłaszcza dla tej pustej młodzieży — w dziwnym kontraście srebrnobiałych włosów z grubymi, gęstymi, czarnymi brwiami. Hrabia nosił długi niebieski surdut zapięty po wojskowemu, biały krawat, watę w uszach, i obszerny kołnierzyk, który rysował się na obu policzkach białym kwadratem. Spod czarnych spodni ledwie wyglądały końce butów. Nie miał żadnej wstążeczki w klapie, ręce kryły się w jelenich rękawiczkach. To pewna, że dla tych młodych ludzi nic w nim nie zdradzało para Francji, jednego z ludzi najużyteczniejszych ojczyźnie. Stary Léger nigdy nie widział hrabiego, który nawzajem znał go tylko z nazwiska. Jeżeli hrabia, wsiadając do powozu, zapuścił weń bystre spojrzenie, które tak uraziło Oskara i Jerzego, to dlatego że szukał dependenta swego rejenta, aby mu zalecić najgłębsze milczenie, w razie gdyby on był zmuszony, tak jak sam hrabia, jechać wehikułem Pietrka. Uspokojony wyglądem Oskara i starego Légera, zwłaszcza zaś niby-wojskową miną, wąsikami i fircykowanym wzięciem Jerzego, pomyślał, że bilecik musiał przyjść do rejenta na czas.

— Ojcie Léger — rzekł Pietrek, znalazłszy się u stóp bystrej góry, między przedmieściem Saint-Denis a ulicą de la Fidélité — zesiądziemy, co?

— Ja też zesiadam — rzekł hrabia, słysząc to nazwisko — trzeba ulżyć koniom.

— Ech, jeżeli będziemy jechali w ten sposób, zrobimy czternaście mil w dwa tygodnie! — wykrzyknął Jerzy.

— Czy to moja wina? — rzekł Pietrek — pasażer chce wysiąść.

— Dostaniesz dziesięć ludwików, jeśli wiernie dochowasz sekretu, o który cię prosiłem — rzekł hrabia z cicha, ujmując Pietrka za ramię.

„Och! moje tysiąc franków” — powiedział sobie, Pietrek mrugnawszy do pana de Sérisy okiem w sposób znaczący: „Może pan na mnie liczyć”.

Oskar i Jerzy zostali w pojeździe.

— Słuchaj no, Pietrek, skoro wam Pietrek na imię — wykrzyknął Jerzy, gdy na szczybie podróżni wsiedli z powrotem — jeżeli nie zamierzacie jechać szybciej, powiedzcie mi, płacę za miejsce i najmuję szkapę w Saint-Denis, mam pilne sprawy, które mogłyby ucierpieć na zwłoce.

— Och, on pojedzie dobrze — rzekł stary Léger. — Zresztą droga nie jest daleka.

— Nigdy się nie spażniam³⁶ więcej niż pół godziny — odparł Pietrek.

— Ostatecznie nie wieiecie papieża, nieprawdaż? — rzekł Jerzy — zatem, walcie.

— Nie powinniście robić różnicy, i jeżeli boicie się zanadto wytrząść tego pana — rzekł Mistigris, wskazując hrabiego — to niesprawiedliwie.

— Wszyscy podróżni są równi wobec kukułki, jak Francuzi wobec konstytucji — rzekł Jerzy.

— Bądźcie panowie spokojni — rzekł stary Léger — będziemy w La Chapelle przed południem.

La Chapelle jest to wioska sąsiadująca z rogatką Saint-Denis.

Każdy, kto podróżował, wie, że osoby zebrane przypadkowo w pojeździe nie nawiązują stosunków natychmiast: z wyjątkiem rzadkich okoliczności, zaczynają rozmawiać,

Podróż, Obyczaje, Słowo,
Milczenie

³⁶spażniam — celowo użyta gwarowa forma odmiany. [przypis edytorski]

dopiero zrobiwszy kęs drogi. Ten czas milczenia wypełniony jest zarówno wzajemnym badaniem, obserwacją, co *usiadaniem się* w miejscu, które każdemu przypadło. Dusze tak samo potrzebują osiągnąć równowagę jak ciała. Kiedy każdy sądzi, że przeniknął istotny wiek, zawód, charakter towarzyszy, wówczas największy gaduła zaczyna i rozmowa zawiązuje się z tym większym zapalem, iż każdy odczuł potrzebę umilenia sobie podróży i rozproszenia nudów. Tak dzieje się w dyliżansach we Francji. U innych narodów obyczaje są zgoła odmienne. Anglicy pokładają punkt honoru w tym, aby nie otworzyć ust; Niemiec jest w podróży smutny, Włosi zaś są zbyt ostrożni, aby rozmawiać; Hiszpanie nie mają już prawie dyliżansów, a Rosjanie nie mają dróg. Bawią się tedy ludzie jedynie w ciężkich pojazdach francuskich, w tym kraju tak rozgadany, tak niedyskretnym, gdzie każdy rad jest pośmiać się i popisać dowcipem, gdzie żart ożywia wszystko, od nędzy biedaków aż do poważnych spraw grubego mieszcza. Policja zresztą nie pęta zbyt języka, a parlament wprowadził dyskusję w modę. Kiedy dwudziestodwuletni młodzian, jak ten, który się krył pod imieniem Jerzego, jest dowcipny, ma wielką skłonność, zwłaszcza w takim położeniu, nadużywać tego. Zresztą Jerzy osądził rychło, że dzierży prym w tym towarzystwie. Hrabiego wziął za coś w rodzaju kramarza czy rękodzielnika; chudy młodzieniec jadący w towarzystwie Mistigrisa wydał mu się chłystkiem, Oskar młodym dudkiem, gruby zaś dzierzawca świetnym typem do nabierania. Rozejrzawszy się tak w towarzystwie, postanowił się zabawić kosztem towarzyszy podróży.

„Zastanówmy się — myślał, podczas gdy Pietrkowa kukułka toczyła się z La Chapelle, aby wjechać w równinę Saint-Denis — czy podam się za Wilhelma Etienne czy za Berangera³⁷?... Nie, te lale gotowe nie znać ani jednego ani drugiego. Karbonariusz³⁸?... Do licha, gotowi by mnie przyskrzytnić. Gdybym tak był synem marszałka Ney'a³⁹?... Ba! Cobym im opowiedział? Egzekucję mego ojca: toby nie było wesołe. Gdybym wracał z Champ-d'Asile w Meksyku?... Mogliby mnie wziąć za szpiega, mieliby się na ostrożności. Będę przebrany rosyjskim księciem, nakarmię ich wspaniałymi szczegółami o cesarzu Aleksandrze... A gdybym się podał za pana Cousin⁴⁰, profesora filozofii?... Dopieroż bym im plótl smalone duby! Nie, ten chłystek z rozczochranymi włosami wygląda mi na mądralę, który liznął wykładow w Sorbonie. Czemu wcześniej nie pomyślałem o tym, aby ich pobujać? Robię tak dobrze Anglika, udałbym lorda Byrona podróżującego incognito... Psiakość! Spudłowałem. Gdyby tak synem kata?... Kapitalny sposób, aby mieć przestronno przy śniadaniu. Och! Wiem już, dowodziłem armią Alego, paszy Janiny⁴¹!”

W czasie tego monologu, powóz toczył się w tumanach kurzu, które wznoszą się nieustannie z tej tak wyjeżdżonej drogi.

— Co za kurz! — rzekł Mistigris.

— Henryk IV umarł — odparł żywo jego towarzysz. — Gdybyś jeszcze powiedział, że pachnie wanilią, wygłosiłbyś nową myśl.

³⁷*Béranger, Pierre-Jean de* (1780–1857) — francuski poeta, autor piosenek. [przypis edytorski]

³⁸*karbonariusz* — członek jednego z tajnych stowarzyszeń rewolucyjnych występujących przeciw absolutyzmowi; *karbonaryzm* jako tajny ruch polityczny rozwinął się w Europie w 1. poł. XIX w. i był bezwzględnie zwalczany przez rządy państw sprzymierzonych w ramach tzw. Świętego Przymierza; karbonariusze (także: węglarze) odegrali dużą rolę w procesie zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

³⁹*Ney, Michel* (1769–1815) — syn bednarza, który zrobił błyskotliwą karierę wojskową, walcząc w obronie rewolucji francuskiej oraz w wojnach napoleońskich, m.in. podczas kampanii rosyjskiej 1812 r.; poparł zamach 18 brumaire'a; marszałek Francji, diuk d'Elchingen, książę Moskwy; wspierał cesarza Napoleona w czasie studniowej kampanii w 1815 r., walczył pod Waterloo. Po powrocie Ludwika XVIII na tron został osądzony przez Izbę Parów i skazany na śmierć przez rozstrzelanie. [przypis edytorski]

⁴⁰*Cousin, Victor* (1792–1867) — francuski filozof i historyk filozofii, popularyzator niem. filozofii klasycznej (gł. Schellinga, ale również Hegla); w swoich poglądach łączył empiryzm ze spirytualistyczną filozofią religii; autor hasła „sztuka dla sztuki”; minister oświecenia publicznego, dyrektor École normale supérieure, członek Institut de France, pełnił ważną rolę we fr. systemie szkolnictwa. [przypis edytorski]

⁴¹*Ali Pasza Janiny* (1741–1822) — także: Ali Pasza z Tepeleny (w Albanii); możnowładca osmański, lennik sultana, władca Epiru. W 1785 roku został mianowany paszą Janiny, następnie podporządkowywał sobie Peloponez, Epir i terytoria należące do dzisiejszej Albanii, budując niezależne od Turcji grecko-albańskie państwo; w Janinie wznosił twierdzę, był mecenasem sztuki, przyczyniając się do zachowania staroż. kultury greckiej; zawierał sojusze z Francją (Napoleonem Bonaparte), Wielką Brytanią, wspierał spiskowców greckich dążących do niepodległości. W 1821 r. sultan wystąpił zbrojnie przeciw Alemu Paszy, który po półtorarocznej wojnie zakończonej wielomiesięcznym oblężeniem Janiny, został pokonany, aresztowany i stracony w 1822 r. na jeziorze Pamvotida; ten finalny akt życia Alego Paszy zyskał artystyczne opracowanie w powieści *Hrabia Monte Christo* Alexandre'a Dumas. [przypis edytorski]

— Pan myśli, że pan żartuje — odparł Mistigris — otóż, doprawdy, że to przypomina chwilami wanilię.

— Na Wschodzie... — rzekł Jerzy, chcąc nawiązać opowiadanie.

— Na wychodzie — mruknął pryncypał Mistigrisa, przerywając Jerzemu.

— Powiadam na Wschodzie, skąd wracam — ciągnął Jerzy — kurz pachnie bardzo ładnie, ale tutaj pachnie czymś tylko wtedy, kiedy się natknąć na skład pudrety⁴², jak w tej chwili.

— Pan wraca ze Wschodu? — rzekł Mistigris z kpiącą miną.

— Widzisz przecie, że pan jest zmęczony — odpowiedział mu jego pan.

— Coś się pan nie opalił od słońca? — rzekł Mistigris.

— Och, dopiero co wstałem z łóżka po trzymiesięcznej chorobie, której źródłem była, powiadają lekarze, niewysypała dżuma.

— Pan miał dżumę! — wykrzyknął hrabia z gestem przerażenia. — Pietrek, stań no!

— Jedź dalej, Pietrek — rzekł Mistigris. — Powiada pan przecież, że się nie wysypała — rzekł, zwracając się do pana de Sérisy. — To taka niewinna dżumka, drzemka. Dżuma konwersacyjna. Dżuma na burżujów.

— Mistigris — wtrącił pan — wysadzę cię i pójdziesz pieszo, jeżeli będziesz niemądry. Zatem — rzekł, zwracając się do Jerzego — pan był na Wschodzie?

— Tak, panie, najpierw w Egipcie, a potem w Grecji, gdzie służyłem pod Alim, paszą Janiny, z którym miałem diablą przeprawę. Niepodobna strawić tamtejszego klimatu. Toteż wzruszenia wszelakiego rodzaju zniszczyły mi wątrobę.

— A! Pan był w wojsku? — spytał gruby dzierzawca. — Ileż pan ma lat?

— Dwadzieścia dziewięć — odparł Jerzy, na którego spojrzeli wszyscy podróżni. — Mając osiemnaście lat, poszedłem jako prosty żołnierz na sławną kampanię z 1813; ale byłem tylko pod Hanau i zdobyłem tam stopień sierżanta. We Francji pod Montereau zostałem podporucznikiem i otrzymałem krzyż z ręki... (nie ma tu szpiegów?) z ręki cesarza.

— Pan ma krzyż i nie nosi go pan? — rzekł Oskar.

— Krzyż od tych?... ślicznie dziękuję. Któż zresztą nosi ordery w podróży? Na przykład pan — rzekł, wskazując hrabiego de Sérisy — założę się o wszystko co chcecie...

— Założyć się o wszystko co kto chce, to jest we Francji sposób nie założenia się o nic.

— Założę się o wszystko co chcecie — powtórzył Jerzy przesadnie — że ten pan jest cały upstrzony orderami.

— Mam — odparł śmiejąc się hrabia de Sérisy — wielki Krzyż Legii Honorowej, rosyjskiego Świętego Andrzeja, Orła Pruskiego, Sardyńską Anuncjatę i Złote Runo.

— Bagatela! — rzekł Mistigris. — I to wszystko jedzie kukulką?

— Kawalarz ten czerwonoskóry — szepnął Jerzy do Oskara. — A co! Nie mówiłem? — dodał głośno. — Ja się z tym nie kryję, ubóstwiam cesarza...

— Służyłem pod nim — rzekł hrabia.

— Co za człowiek! Nieprawdaż? — wykrzyknął Jerzy.

— Człowiek, któremu wiele zawdzięczam — odparł hrabia z wybornie udaną głupkowatą miną.

— Swoje ordery?... — rzekł Mistigris.

— A ile on zażywał tabaki! — odparł pan de Sérisy.

— Och, miał ją nawet po kieszeniach — rzekł Jerzy.

— Powiadano tak — rzekł ojciec Léger z miną niedowierzającą.

— Ale jeszcze więcej, żuł tytoń i palił. Widziałem go palącego, i to w bardzo zabawny sposób, pod Waterloo, kiedy marszałek Soult wziął go wpół i wrzucił go do powozu, w chwili gdy chwycił fuzję i chciał lecieć na Anglików!...

— Był pan pod Waterloo? — rzekł Oskar, którego oczy się rozszerzyły.

— Tak, młodzieńcze, odbyłem całą kampanię w 1815. Byłem kapitanem pod Mont-Saint-Jean i cofnąłem się za Loarę, kiedy nas rozpuszczono. Na honor, mierzyła mnie Francja, nie mogłem tam wytrzymać. Nie byłbym się dał nakryć. Toteż wstąpiłem z paroma chwataami, Selves, Bessonem i innymi jeszcze, którzy są w tej chwili w Egipcie,

⁴²*pudreta* — nawóz wyrabiany ze sproszkowanych odchodów ludzkich, znany w krajach arabskich od starożytności. [przypis edytorski]

w służbę paszy Mohameda, ciekawego urwipolcia, możecie mi uwierzyć! Niegdyś był prostym handlarzem tytoniu w Cavalle, a teraz gotuje się zostać monarchą. Widzieliście go na obrazie Horacego Vernet, *Rzeź Mameluków*. Cóż za piękny mężczyzna! Ja nie chciałem porzucić religii ojców i przyjąć islamu, tym bardziej, że wyrzeczenie to wymaga operacji chirurgicznej, do której nie czuję najmniejszej ochoty. Przy tym, nikt nie szanuje renegata. Ba! Gdyby mi ofiarowano sto tysięcy franków renty, kto wie... choć i wtedy?... Nie. Pasza kazał mi dać tysiąc *talari* gratyfikacji...

— Ile to jest? — rzekł Oskar, który pożerał każde słowo Jerzego.

— Och, niewiele. *Talaro*, to coś niby nasza pięciofrankówka. I, daję słowo, nie starczy to na koszta nałogów, których nabrałem w tym diabelskim kraju, o ile to w ogóle jest kraj. Nie mogę się teraz obejść bez nargilu⁴³ dwa razy dziennie, a to jest drogie...

— A jaki jest Egipt? — spytał pan de Sérisy.

— Egipt? Same piaski — odparł Jerzy bez chwili wahania. — Zielona jest tylko dolina Nilu. Wykreśl pan zieloną linię na ćwiartce żółtego papieru, a będzie pan miał Egipt. Na przykład Egipcjanie, fellahowie, mają nad nami jedną wyższość: nie ma tam żandarmów. Och, mógłby pan objechać cały Egipt, nie ujrzałby pan ani jednego.

— Przypuszczam, że tam jest dużo Egipcjan — rzekł Mistigris.

— Nie tylu ile pan myśli — odparł Jerzy — jest o wiele więcej Abisyńczyków, Giurów, Wekabitów, Beduinów, Koftów... Razem wzięwszy, wszystkie te bydłeta są tak niezabawne, że byłem bardzo kontent, kiedyś się załadowałem na statek genueński, który miał zawieźć proch na wyspy jońskie, a amunicję dla Alego z Teleben. Wiecie? Anglicy sprzedają proch i amunicję całemu światu, Turkom, Grekom, diabłu, gdyby diabeł miał pieniądze. Toteż z Zanty mieliśmy jechać brzegami Grecji. Jak mnie tu widzicie, moje imię Jerzy sławne jest w tamtym kraju. Jestem wnukiem owego słynnego Czarnego Jerzego, który wydał wojnę Porcie, i który, na nieszczęście, miał ją pogrześć, sam się pogrześć. Syn jego schronił się do domu konsula francuskiego w Smyrnie, i przybył do Paryża, aby tam umrzeć w roku 1792, zostawiając moją matkę noszącą mnie, jako siódme dziecko, w łonie. Skarby nasze ukradł jeden z przyjaciół mego dziadka, tak iż zostaliśmy zrujnowani. Matka moja, która żyła z cząstkowej sprzedaży diamentów, wyszła za mąż w r. 1799, za niejakiego pana Yung, dostawcę, mego ojczyma. Ale matka umarła, ja się poróżniłem z ojczymem, który, mówiąc między nami, jest lajdak; żyje jeszcze, ale się nie widzimy. Ten obwieś zostawił nas wszystkich siedmioro, tyle się zatroszczywszy, co o psa z kulawą nogą. I oto jak, w rozpacz, zaciągnąłem się w 1813 jako prosty rekrut... Nie uwierzylibyście, z jaką radością ten stary Ali z Teleben przyjął wnuka Czarnego Jerzego. Tutaj nazywam się po prostu Jerzy. Pasza darował mi seraj...

— Pan ma seraj? — rzekł Oskar.

— Pan był paszą z iloma ogonkami? — spytał Mistigris.

— Czy panu nie wiadomo — odparł Jerzy — że tylko sułtan może robić paszą, a że mój przyjaciel Teleben (bośmy się zaprzyjaźnili tak jak guzik z pętelką), zbuntował się przeciw Padyszachowi! Wiadomo panu, albo nie wiadomo, że istotne nazwisko monarchy tego kraju jest Padyszach, a nie Chan albo Sułtan. Nie wyobrażajcie sobie, że to coś wielkiego seraj: to to samo co mieć stado kóz. Te kobiety są bardzo głupie, wolę sto razy grzyetki z Montparnasse.

— To bliżej — rzekł hrabia de Sérisy.

— Kobiety w seraju nie umieją ani słowa po francusku, a język jest nieodzowny dla porozumienia się. Ali dał mi pięć prawych żon i dziesięć niewolnic. W Janina, to tak jakbym nic nie miał. Na Wschodzie mieć kobiety to jest w bardzo złym smaku; ma się je, tak jak my tu mamy Woltera i Russa; ale kto kiedy otwiera swojego Woltera czy Russa? Nikt. A mimo to należy do dobrego tonu być zazdrosnym. Zasztywa się kobietę w worek i rzuca się ją do wody na proste podejrzenie, wedle artykułu ich kodeksu.

— Czy pan też wrzucał? — spytał dzierżawca.

— Ależ fe! Ja, Francuz! Ja je kochałem.

Tu Jerzy podkręcił wąsika i przybrał wyraz zadumy. Dylizans wjeżdżał do Saint-Denis, gdzie Pietrek zatrzymał się przed bramą oberżysty, który sprzedaje słynne placki z serem

⁴³nargil właśc. *nargila* — fajka wodna; rodzaj fajki, pochodzącej z Indii, a spopularyzowanej w Europie za pośrednictwem krajów arabskich, w której dym przechodzi przez filtr wodny; palono w ten sposób nie tylko tytoń, ale również opium; także: szisza. [przypis edytorski]

i gdzie wszyscy podróżni wysiadają. Zaciekawiony pozorami prawdy wplecionymi w koncepty Jerzego, hrabia wrócił szybko do pojazdu, zajrzał pod poduszkę na portfel, który, jak mu powiedział Pietrek, schował tam ten zagadkowy jegomość i wyczytał złoconymi głoskami: *Crottat, rejent*. Natychmiast hrabia pozwolił sobie otworzyć teczkę, lękając się słusznie, aby ojciec Léger nie uległ podobnej ciekawości; wyjął akt dotyczący folwarku Moulineaux, złożył go, wsadził do bocznej kieszeni i wrócił przyglądać się podróżnym.

„Ten Jerzy to po prostu drugi dependent pana Crottat. Podziękuję jego pryncypałowi, który powinien był wysłać pierwszego dependenta” — pomyślał.

Z pełnej szacunku miny ojca Léger i Oskara, Jerzy zrozumiał, że ma w nich gorących wielbicieli; przybrał oczywiście pozę wielkiego pana, postawił im placaka i kieliszek wina alikankiego⁴⁴, zarówno jak Mistigrisowi i jego panu, korzystając z tej fundy, aby ich zapytać o nazwiska.

— Och, panie — odparł malarz — ja nie mam nazwiska znakomitego jak pańskie, ja nie wracam z Azji.

W tej chwili, hrabia, który, nie chcąc budzić podejrzania, wrócił do olbrzymiej kuchni w gospodzie, mógł usłyszeć koniec tej odpowiedzi.

— ...jestem po prostu biedny malarz, który wraca z Rzymu, gdzie bawiłem na koszt rządu, otrzymawszy przed pięciu laty złoty medal. Nazywam się Schinner.

— Panie starszy, a panu czy można ofiarować szklaneczkę alikantu i placek?

— Dziękuję — rzekł hrabia — nie ruszam się nigdy z domu, nie wypiwszy wprzód filiżanki kawy ze śmietanką.

— I nic pan nie jada potem do obiadu? Och, jak to pachnie szlafmycą! — rzekł Jerzy. — Kiedy nas tak bujał przed chwilą swymi orderami, myślałem, że on jest sprytniejszy — szepnął po cichu do malarza — ale ściągniemy tego mydlarza znowu na order. — No, chłopcze — rzekł do Oskara — golnij no tę szklaneczkę nalaną dla mieszczucha, to ci dobrze zrobi na wąsy.

Oskar chciał się okazać mężczyzną, wypił drugą szklanekę i zjadł jeszcze trzy placuszki.

— Dobre wino — rzekł ojciec Léger, mlaskając językiem.

— Tym lepsze — rzekł Jerzy — że pochodzi z Bercy. Bywałem w Alicante i, wierzcie mi, to wino tak jest stamtąd, jak moje ramię podobne jest do wiatraka. Nasze sztuczne wina są o wiele lepsze niż naturalne. Hej tam, Pietrek, szklaneczkę?... Szkoda, że twoje szkapy nie mogą golnąć, lepiej by ciągnęły.

— Na co im tego, już się kiwają na nogach — odparł Pietrek. Słyszac ten tani koncept, Oskar spojrział na Pietrka z uznaniem.

— W drogę! — ten okrzyk Pietrka rozległ się wraz ze strzelaniem z bicza, skoro podróżni znaleźli się w pudle.

Była jedenasta. Pogoda nieco mglista rozjaśniła się, wiatr rozpędził chmury, błękitne niebo pokazało się miejscami; toteż kiedy powóz Pietrkowy puścił się drogą, która jak wąska wstążka dzieli Saint-Denis od Pierrefitte, słońce wypilo właśnie ostatnie delikatne mgły spowijające swym przezroczystym welonem widoki tej słynnej okolicy.

— I cóż, czemu pan się rozstał ze swym przyjacielem paszą? — spytał ojciec Léger Jerzego.

— To był łobuz na grubym kamieniu — odparł Jerzy z miną, która dawała wiele do myślenia. — Wyobraźcie sobie, powierza mi dowództwo swojej kawalerii!... Doskonale.

„A, to dlatego ma ostrogi” — pomyślał biedny Oskar.

— Za mego czasu, Ali z Teleben miał kłopoty z Kosrefem-paszą: też drugi ananas! Nazywacie go tutaj Szoref, ale nazwisko jego wymawia się po turecku Kosru. Musieliście czytać swego czasu w dziennikach, że stary Ali wygrzmocił porządnie Kosrefa. Otóż gdyby nie ja, Ali z Teleben dostałby wcieranie o wiele wcześniej. Byłem na prawym skrzydle i widzę Kosrefa, starego wygę, jak wali w nasze centrum... Ha, ha! To był atak, nie powstydzilby go się sam Murat! Dobra! Odczekuję i w stosownej chwili walę na nich co sił; przecinam na dwoje kolumnę Kosrefa, który przeleciał za centrum i znalazł się bez osłony. Rozumiecie... A, ba! Po bitwie, Ali uściskał mnie...

⁴⁴wino alikankie — wino hiszpańskie z Alicante; regionu w Hiszpanii nad Morzem Śródziemnym ze stolicą o tej samej nazwie, będącej staroż. portem; wina z Alicante, znane w staroż. Rzymie, opiewane są w klasycznej poezji arabskiej. [przypis edytorski]

— To się robi na Wschodzie? — spytał hrabia de Sérisy z głupia frant.

— Tak, panie — odparł malarz — to się robi wszędzie.

— Pędziliśmy Kosrefa przez trzydzieści mil... jak na polowaniu, het! — ciągnął Jerzy. — To kawalerzyści całą gębą ci Turcy. Ali dał mi jatagany, fuzje, szable! ...ilem tylko mógł nabrać. Za powrotem do stolicy, ten wściekły hycel zaczął mi robić propozycje, które mi się wcale nie podobały. Ci ludzie są straszni, kiedy sobie coś wbijają do głowy... Ali chciał, abym był jego faworytem, spadkobiercą. Ja miałem dosyć tego życia, bo ostatecznie Ali był w wojnie z Portą, więc bałem się, że i mnie dobiorą się do portek. Spakowałem manatki. Ale oddaję sprawiedliwość panu Teleben, obdarował mnie wspaniale: diamenty, dziesięć tysięcy talarów, tysiąc sztuk złota, piękna Greczynka dla towarzystwa, mały Arnauta za grooma i koń arabski. Tak, tak, Ali-Janina to człowiek niedoceniony, trzeba by mu historyka. Jedynie na Wschodzie spotyka się te dusze z brązu, które przez dwadzieścia lat czynią wszystko z tą myślą, aby pewnego ranka zemścić się za zniewagę. Przy tym miał najpiękniejszą białą brodę, jaką sobie można wyobrazić, twarz surową, groźną...

— Ale cóż pan zrobił z tymi wszystkimi skarbami? — spytał ojciec Léger.

— A, ba! Ci ludzie nie mają renty państwowej ani banku francuskiego, załadowałem tedy cały kram na grecki statek, który się dostał w ręce samego Kapitana-Paszy. Jak mnie tu widzicie, omal że mnie nie wbito na pal w Smyrnie. Tak, na honor, gdyby nie nasz ambasador, pan de Rivière, który tam się znajdował, wzięto by mnie za współnika Alego-Paszy. Ocaliłem głowę, aby się wyrazić przyzwoicie, ale dziesięć tysięcy *talari*, tysiąc sztuk złota, broń, och! ...wszystko wypił spragniony skarbiec Kapitana-Paszy. Położenie moje było tym trudniejsze, że kapitan-pasza był to nie kto inny, tylko ów Kosref. Od czasu swego wcierania hultaj otrzymał to miejsce, które odpowiada posadzie wielkiego admirała we Francji.

— Ale on był w kawalerii, zdaje mi się — rzekł ojciec Léger, który słuchał z uwagą.

— Och, jak to widać, że w departamencie Seine et Oise mają słabe pojęcie o Wschodzie — wykrzyknął Jerzy. — Tak, panie, to są Turcy: jesteś pastuchem, padyszach robi cię marszałkiem; jeżeli nie wywiążesz się ze swych funkcji jak należy, tym gorzej dla pana, ucinają ci głowę, to jest ich sposób składania z urzędu. Ogrodnik zostaje prefektem, a pierwszy minister zostaje z powrotem pucybutem. Ottomani nie znają praw o awansie ani o hierarchii! Z kawalerzysty Kosref został marynarzem. Padyszach Mahmud kazał mu napaść Alego od morza i w istocie dobrał się do niego, wspomagany co prawda przez Anglików, którzy wzięli sobie dobrą część, hycel! Położyli łapę na skarbach. Ten Kosref, który nie zapomniał lekcji konnej jazdy, jaką mu dałem, poznał mnie. Pojmujecie, że proces mój byłby krótki, och, bardzo! ...gdyby mi nie przyszło do głowy reklamować się jako Francuz i trubadur i powołać się na pana de Rivière. Ambasador, uszczęśliwiony, że się może postawić, zażądał mego uwolnienia. Turcy mają to dobrego w charakterze, że równie łatwo cię wypuszczają, jak ci utną głowę; obojętni są na wszystko. Konsul francuski, przemily człowiek, przyjaciel Kosrefa, uzyskał mi zwrot dwóch tysięcy talarów, toteż nazwisko jego, mogę to powiedzieć, wyryte jest w moim sercu...

— Jak się nazywa? — spytał pan de Sérisy.

Na twarzy pana de Sérisy odbiło się pewne zdziwienie, kiedy Jerzy wymienił w istocie nazwisko jednego z naszych najwybitniejszych generalnych konsulów, który w tej chwili znajdował się w Smyrnie.

— Mimochodem byłem świadkiem egzekucji komendanta Smyrny, którego padyszach kazał Kosrefowi stracić; jedna z najciekawszych rzeczy, jakie widziałem, mimo iż dużo widziałem; opowiem to wam za chwilę przy śniadaniu. Ze Smyrny porznąłem do Hiszpanii, dowiedziawszy się, że tam jest rewolucja. Och, udałem się prosto do Miny, który mnie mianował adiutantem i dał mi rangę pułkownika. Biłem się za sprawę konstytucji, która padnie, bo nasi wejdą do Hiszpanii lada dzień.

— I pan jesteś francuskim oficerem? — rzekł surowo pan de Sérisy. — Bardzo pan liczy na dyskrecję swoich słuchaczy.

— Nie ma tu przecież szpiegów — odparł Jerzy.

— Czy pan nie wie, pułkowniku Jerzy — rzekł hrabia — że w tej chwili Izba Parów sądzi sprzysiężenie, które czyni rząd bardzo surowym dla wojskowych podnoszących oręż przeciw Francji i wdających się w knowania z zagranicą w intencji obalenia naszych prawych władców...

Słyszając tę groźną uwagę, malarz zaczerwienił się po uszy i spojrzął na Mistigrisa, który zdawał się zmieszany.

— No i co — rzekł ojciec Léger — co dalej?

— Gdybym przypadkiem był sędzią — rzekł hrabia — czy nie byłoby moim obowiązkiem kazać uwięzić adiutanta Miny żandarmom z Pierrefitte i wezwać na świadków wszystkich znajdujących się tutaj podróżnych?

Te słowa przycięły Jerzemu język, tym więcej, iż w tej chwili pojazd przejeżdżał koło brygady żandarmerii, której biała chorągiew powiewała, jak się mówi klasycznym stylem, na wolę zefirów.

— Ma pan za wiele orderów, aby sobie pozwolić na taką nikczemność — rzekł Oskar.

— Pociągniemy go znów za język — szepnął Jerzy do Oskara.

— Pułkownik — wykrzyknął Léger, którego słowa pana de Sérisy spłoszyły i który chciał odmienić rozmowę — w krajach gdzie pan bywał, jak ci ludzie uprawiają ziemię? Jaki mają plodozmian?

— Przede wszystkim, rozumiesz mój zuch, że ci ludzie za wiele palą, aby się mogli zbyttno palić do rolnictwa...

Hrabia nie mógł się wstrzymać od uśmiechu. Uśmiech ten uspokoił opowiadającego.

— ...ale mają osobliwy sposób uprawy, który wyda się panu zabawny. Nie uprawiają wcale, to ich sposób uprawy. Turcy, Grecy, wszystko to jada cebulę albo ryż... Dobywają opium z makówek, co im daje znaczne dochody; następnie mają tytoń, który rośnie sam z siebie, bajeczny *Lataki!* Potem daktyle! Mnóstwo słodczy, które rosną bez uprawy. Pełno tam produktów, handlu! W Smyrnie robi się dużo dywanów i niedrogo.

— Ależ — rzekł Léger — jeżeli te dywany są z wełny, wełna pochodzi z baranów; aby zaś mieć barany, trzeba mieć łąki, gospodarstwo, uprawę...

— Zapewne musi być coś podobnego — odparł Jerzy — ale przede wszystkim ryż rodzi się w wodzie, a przy tym ja zawsze jeździłem nad brzegiem i widziałem tylko okolice spustoszone przez wojnę. Zresztą ja mam głęboki wstręt do statystyki.

— A podatki? — rzekł stary Léger.

— A, podatki są ciężkie. Zabierają im wszystko, ale zostawiają resztę. Uderzony korzyścią tego systemu, pasza egipski zamierzał właśnie zorganizować swoją administrację w tym duchu, kiedy się z nim rozstałem.

— Ale jak... — rzekł ojciec Léger, który zaczynał nic nie rozumieć.

— Jak? — rzekł Jerzy. — Po prostu są urzędnicy, którzy zagarniają zbiory, zostawiając fellahom ściśle tyle, aby mogli żyć. Toteż, przy tym systemie, nie ma pisaniny ani biurokracji, tej plagi Francji... Ot, co.

— Ale na jakiej zasadzie? — rzekł dzierżawca.

— To kraj despotyzmu i koniec. Czy pan nie zna pięknego określenia despotyzmu u Monteskiusza? „Jak dziki, ścina drzewo u samych korzeni, aby zerwać owoc”...

— I nas chcą doprowadzić do tego — rzekł Mistigris — ale *póty dzban wodę kosi...*

— I dojdą do tego — wykrzyknął hrabia de Sérisy. — Toteż ci, co mają ziemię, dobrze uczynią, sprzedając ją. Pan Schinner musiał widzieć, w jakim tempie te rzeczy posuwają się we Włoszech.

— *Corpo di Bacco!* Papież nie robi sobie ceremonii! — odparł Schinner. — Ale przyzwyczaili się Włosi, to taki poczciwy naród! Byleby im pozwolono trochę mordować podróżnych po gościńcach, są zadowoleni.

— Ale — podjął hrabia — i pan także nie nosisz wstążeczki Legii, którą otrzymałeś w roku 1819, więc to powszechna moda?

Mistigris i fałszywy Schinner zaczerwieni się po uszy.

— Ja! To co innego — odparł Schinner — ja nie chciałbym, aby mnie poznano. Niech mnie pan nie zdradzi, proszę pana. Ja się podaję za młodego malarzynie, uchodzę za dekoratora. Jadę do pewnego zamku, gdzie nie powinienem wzbudzać podejrzeń.

— A! — rzekł hrabia. — Jakiś romansik, miłośćka?... Szczęśliwa młodość...

Oskar, który był na mękach, że jest niczym i nie ma nic do powiedzenia, patrzył na pułkownika Czarnego-Jerzego, na wielkiego malarza Schinnera, i silił się sam przeobrazić w coś. Ale czym mógł być dziewiętnastoletni chłopak, którego wysyłano na dwa tygodnie na wieś do rządcy Presles? Wino uderzyło mu do głowy, miłość własna kipiała mu w żyłach; toteż kiedy słynny Schinner dał do zrozumienia romansową przygodę, której

szczęście musiało być równie wielkie, jak niebezpieczeństwo, wlepił weń oczy iskrzące wściekłością i zawiścią.

— A — rzekł hrabia tonem zazdrości i wiary. — Trzeba bardzo kochać kobietę, aby dla niej czynić takie poświęcenie...

— Co za poświęcenie?... — spytał Mistigris.

— Czyż nie wiesz, młody przyjacielu, że sufit malowany przez takiego mistrza pokrywa się złotem? — odparł hrabia. — Jakże! Jeżeli rząd płaci panu trzydzieści tysięcy franków za dwa sufity w Luwrze — ciągnął, spoglądając na Schinnera — dla burżuazji, jak wy mówicie o nas w pracowniach, sufit wart jest dwadzieścia tysięcy, nieznanemu zaś dekoratorowi dadzą ledwie dwa tysiące.

— Thi! Pieniądze to nie jest największa strata — odparł Mistigris. — Pomyśl pan, że to będzie z pewnością arcydzieło i że nie będzie można go podpisać, aby nie narazić jej!

— Och! Oddałbym wszystkie moje orderzy władcom Europy, aby być kochanym tak, jak młodzieniec, któremu miłość podsuwa takie ofiary! — wykrzyknął pan de Sérisy.

— A, ba, młody, kochany, zasypany kobietami — rzekł Mistigris — jak to powiadają: *od przybytku koniom lżej*⁴⁵.

— A co na to pani Schinnerowa? — odparł hrabia. — Wszak pan ożenił się z miłości z piękną Adelajdą de Rouville, protegowaną starego admirała de Kergarouët, który panu wyrobił sufity w Luwrze przez swego siostrzeńca, hrabiego de Fontaine.

— Czyż wielki malarz jest kiedy żonaty w podróży? — zauważył Mistigris.

— Więc to jest wasza pracowniana moralność!... — wykrzyknął naiwnie hrabia.

— Czy moralność dworów, na których pan otrzymał swoje orderzy, jest lepsza? — rzekł Schinner, który odzyskał zimną krew, zmaconą na chwilę tym, iż hrabia tak dokładnie wiedział o zamówieniach Schinnera.

— Nie prosiłem o żaden — odparł hrabia — i sędzę że na wszystkie uczciwie zasłużyłem.

— *Uczciwych psy gryzą* — bąknął Mistigris.

Pan de Sérisy nie chciał się zdradzić, przybrał dobroduszny wyraz twarzy, spoglądając na dolinę Groslay, która się odsłania, kiedy się jedzie do Patte-d'Oie gościńcem z Saint-Brice, zostawiając po prawej drogę do Chantilly.

— Czy Rzym to takie piękne, jak powiadają? — spytał Jerzy wielkiego malarza.

— Rzym jest piękny jedynie dla tych, którzy kochają, trzeba mieć w sercu miłość, aby się tam dobrze czuć, ale jako miasto wolałem Wenecję, mimo że omal mnie tam nie zamordowano.

— Dalibóg — rzekł Mistigris — gdyby nie ja, byłby pan ładnie wdepnął. To ten przeklęty kawalarz lord Byron narobił całego bigosu. Och, ależ ten diabelski Anglik był wściekły!

— Sza! — rzekł Schinner. — Nie chcę, aby kto wiedział o mojej przeprawie z lordem Byronem.

— Niech pan w każdym razie przyzna — odparł Mistigris — że pan był mi bardzo wdzięczny, iż panu pokazałem, jak się daje nogę.

Od czasu do czasu Pietrek wymieniał z hrabią de Sérisy szczególne spojrzenia, które byłyby zaniepokoiły ludzi wytrawniejszych niż nasi podróżni.

— Lordowie, pasze, sufity po trzydzieści tysięcy franków! Bagatela! — zawołał właściciel wehikułu. — Toż ja dziś wiozę samych monarchów? Co za napiwki!

— Nie licząc, że miejsca są zapłacone — rzekł filozoficznie Mistigris.

— To mi spada w samą porę — odparł Pietrek — bo wiecie, ojczu Léger, o moim nowym pięknym dylizansie, na który dałem dwa tysiące zadatku... I ot, te kanalie fabrykanci, którym mam wybulić jutro dwa tysiące pięćset franków, nie chcieli się zgodzić na tysiąc pięćset gotówką, a tysiąc dwumiesięcznym wekslem! Hycle chcą wszystko zaraz. W ten sposób postępować z człowiekiem prowadzącym interes od ośmiu lat, z ojcem rodziny, stawiać go w konieczności stracenia wszystkiego, pieniędzy i dylizansu, jeżeli nie znajdzie nędznego tysiąca franków. Wio! Sarenka. Nie zrobiliby takiego świństwa wielkim przedsiębiorcom; o, ni!

⁴⁵*od przybytku koniom lżej* — kontaminacja dwóch przysłów: „Od przybytku głowa nie boli” i „Baba z wozu, koniom lżej”. [przypis edytorski]

— A, ba, jednemu brzytwa goli, drugiemu i szydło nie chce — rzekł knociarz.

— Brakuje wam już tylko ośmiuset — rzekł hrabia, widząc w tej skardze wylanej na łono ojca Léger apostrofę do swojej sakiewki.

— Prawda — rzekł Pietrek. — Wio! Wio! Kasztan.

— Musiał pan widzieć ładne sufity w Wenecji — rzekł hrabia, zwracając się do Schinnera.

— Byłem nadto zakochany, aby zwracać uwagę na to, co mi się wówczas zdało głupstwem — odparł Schinner. — Ale powinien bym być gruntownie wyleczony z miłości, bo właśnie w Stanach Weneckich, w Dalmacji, dostałem przykrą lekcję.

— Może pan opowiedzieć? — rzekł Jerzy. — Ja znam Dalmację.

— A, jeżeli pan tam był, musi pan wiedzieć, że tam, nad Adriatykiem, to wszystko starzy piraci, rozbójniki, korsarze na emeryturze, o ile ich nie powieszono, słowem...

— Słowem Uskoki⁴⁶ — rzekł Jerzy.

Słyszając to autentyczne miano, hrabia, który, wysłany przez Napoleona, był w Ilirii, obrócił głowę zdziwiony.

— To było w tym mieście, gdzie robią maraskino⁴⁷ — rzekł Schinner, jakby szukając nazwy.

— Zara! — rzekł Jerzy. — Byłem tam, to na wybrzeżu.

— Właśnie — rzekł malarz. — Ja pojechałem tam, aby zwiedzić kraj, pasjami lubię krajobrazy. Dwadzieścia razy bierze mnie chętka, aby się wziąć do pejzaży, których, wedle mnie, nikt nie rozumie, z wyjątkiem tego malca, który kiedyś będzie nowym Hobbemą, Klaudiuszem Lorrain, Ruysdałem, Poussinem *et caetera*.

— Ależ — wykrzyknął hrabia — niech będzie choćby jednym z nich, a to już wystarczy.

— Jeżeli pan będzie wciąż przerywał — rzekł Oskar — nigdy nie dojdziemy do końca.

— Zresztą ten pan nie do pana się zwraca — rzekł Jerzy do hrabiego.

— To nie jest grzecznie przerywać — rzekł sentencjonalnie Mistigris — ale wszyscyśmy to robili, i stracilibyśmy wiele, gdybyśmy nie przeplatali rozmowy bystrą i zajmującą wymianą myśli. Wszyscy Francuzi są równi w kukulce, powiedział wnuk wielkiego Jerzego. Mów tedy dalej, sympatyczny starcze, *bujaj* nas. To się praktykuje w najlepszych towarzystwach; zna pan przysłowie: *Kiedyś wlaź między wrony, bujaj jak i one*.

— Opowiadano mi cuda o Dalmacji — podjął Schinner — jadę tam zatem, zostawiając mego malca w Wenecji w gospodzie.

— W *locanda* — rzekł Mistigris — zachowajmy barwę lokalną.

— Zara⁴⁸ to istne szkaradzieństwo.

— Tak — rzekł Jerzy — ale ufortyfikowane.

— Bagatela! — rzekł Schinner — fortyfikacje odgrywają dużą rolę w mojej gospodzie. W Zara jest zatrudnienie aptekarzy, staję u jednego z nich. Za granicą wszyscy głównie się trudnią odnajmowaniem pokoi, inne rzemiosła są tylko dodatkiem. Wieczorem, zmieniawszy bieliznę, staję na balkonie. Otóż, na balkonie naprzeciwko, widzę kobietę, och! Co za kobietę, Greczynkę, to wystarczy, najpiękniejszą kobietę w całym mieście: oczy jak migdały, powieki jak franki, a rzęsy jak pędzle; twarz, której ował przywiódłby Rafała do szaleństwa, rozkoszna cera, kolor, ton, aksamit... a ręce... och!...

— Nie z masła, jak na bohomazach szkoły Dawida — rzekł Mistigris.

— Ech, pan ciągle z tym malarstwem — wykrzyknął Jerzy.

— A, ba, natura ciągnie wilka za ogon.

— A kostium! Najczystszy strój grecki — ciągnął Schinner. — Rozumiecie, jestem cały w ogniu. Biorę na spytki mego Czyściciela, powiada mi, że ta sąsiadka nazywa się Zena. Zmieniam bieliznę. Aby zaślubić Zenę, mąż, stary bezecnik, dał trzysta tysięcy franków

⁴⁶Uskoki właśc. *Uskokowie* (serb. i chorw. Uskoci) — chrześcijanie, którzy w XVI/XVII w. uciekli z terenów Bośni i Serbii przed wojskami tureckimi i schronili się blisko wybrzeża Adriatyku w niedostępnych górach Welebitu; *Uskokowie* pełnili rolę pogranicznej ludności o charakterze wojskowym, która walczyła z Turkami także w trakcie pokoju. [przypis edytorski]

⁴⁷*maraskino* — rodzaj likieru z dzikiej wiśni (z różnymi aromatycznymi dodatkami), wyrabiany w Dalmacji nad Adriatykiem. [przypis edytorski]

⁴⁸*Zara* — wł. nazwa portowego miasta *Zadar* nad Morzem Adriatyckim, ważnego centrum w płn. Dalmacji (dziś w Chorwacji), w staroż. osada iliryskiego plemienia Liburnów. [przypis edytorski]

rodzicom, tak sławna była piękność tej dziewczyny, w istocie najpiękniejszej w całej Dalmacji, Ilirii, Adriatyku, etc. W tym kraju kupuje się żonę i to na niewidziane...

— Nie pojedę tam — rzekł ojciec Léger.

— Są noce, w których sen mój oświecają oczy Zeny — ciągnął Schinner. — Ten młody żonkoś miał sześćdziesiąt siedem lat. Ładna historia! Ale był zazdrosny nie jak tygrys, bo powiadają o tygrysach, że są zazdrosne jak Dalmatyńcy, a ten człowiek był gorszy niż Dalmatyńiec, był jak półczwarta⁴⁹ Dalmatyńca. To był uskok, wyskok, przyskok, czy ja wiem sam ile skoków.

— Trzy skoki dozwolone — rzekł Mistigris.

— Świetne — rzekł śmiejąc się Jerzy.

— Dla tego hultaja z przeszłością pirata, może korsarza, tyle znaczyło zabić chrześcijanina, co dla mnie splunąć — ciągnął Schinner. — Więc tak. A bogaty przy tym ladaco na miliony, a brzydki jak pirata, któremu pasza obciął uszy i zostawił jedno oko, nie wiem gdzie... Ten Uskok posługiwał się bardzo celnie okiem, które mu zostało, i możecie mi wierzyć, kiedy wam powiem, że miał oko na wszystko. „Nigdy, powiadał mój Czyściel, nie opuszcza swojej żony”. „Gdyby potrzebował kiedy pańskiej pomocy, zastąpiłbym pana w przebraniu; to sztuczka, która ma zawsze powodzenie w naszych teatrach”, odparłem. Za długo byłoby opisywać wam najrozkoszniejszy czas mego życia, to znaczy trzy dni, które spędziłem w oknie, wymieniając spojrzenia z Zeną i zmieniając bieliznę co rano. Było to tym bardziej emocjonujące, że każdy ruch stawał się znaczący i niebezpieczny. Wreszcie Zena uznała widocznie, że jedynie cudzoziemiec, Francuz, artysta, zdolny jest robić do niej słodkie oczy wśród przepaści, które ją otaczają: że zaś nienawidziła swego okropnego pirata, odpowiedziała na moje spojrzenia oczami zdolnymi przenieść człowieka bez skrzydeł do raju. Dochodziłem wyżyn don Kiszota. Płonę, płonę! Wreszcie wykrzyknąłem: „Więc dobrze, ten stary mnie zabije, ale pójdę!”. Skończyły się studia, pejzaże, studiowałem domek Uskoka. W nocy włożyłem najwonnniejszą bieliznę, mijam ulicę i wchodzę...

— Do domu? — rzekł Oskar.

— Do domu? — powtórzył Jerzy.

— Do domu — odparł Schinner.

— Do kata, z pana tęgi zuch — wykrzyknął ojciec Léger — ja bym nie poszedł...

— Tym bardziej, że byś pan nie przelazł przez drzwi — odparł Schinner. — Wchodzę tedy — dodał — i czuję dwie ręce, które ujmują moje ręce. Nie mówię nic, bo te ręce gładkie jak skórka cebuli, nakazywały mi milczenie! Ktoś szepce mi w ucho po wenecku: „Śpi”. Po czym, skorośmy się upewnili, że nikt nie może nas spotkać, idziemy z Zeną na wały na przechadzkę, ale w towarzystwie — tak, moi państwo — starej duenny, brzydkiej jak nieboskie stworzenie, która nas nie opuszczała niby nasz cień. Nie było sposobu skłonić pani piraciny, aby się rozstała z tą bestią. Nazajutrz rano zaczynamy na nowo; chciałem odprawić starą, Zena nie chce. Ponieważ moja luba mówiła po grecku, a ja po wenecku, nie mogliśmy się porozumieć; toteż rozstaliśmy się źle. Powiadam sobie, zmieniając bieliznę: „Z pewnością za najbliższym razem nie będzie starej i pogodzimy się każde w swoim rodzinnym języku...”. I otóż stara mnie ocaliła! Zaraz zobaczycie jak. Było tak pięknie, że, aby nie budzić podejrzeń, wybrałem się na pejzaże, po naszym pogodzeniu, oczywiście. Nawalęsawszy się do syta po wałach, idę sobie spokojnie z rękami w kieszeniach i widzę ulicę zapchaną ludźmi. Tłum!... Ba! Jak na jaką egzekucję. Ten tłum rzuca się na mnie. Aresztują mnie, wiążą, prowadzą i oddają pod straż policji. Nie! Wy nie wiecie, i życzę wam, abyście się nie dowiedzieli nigdy, co to jest uchodzić za mordercę w oczach rozwścieczonego tłumu, który rzuca na was kamieniami, który wyje za wami przez całą pryncypalną ulicę małego miasteczka, który was ściga, żądając waszej śmierci!... Ha! Wszystkie oczy są jak płomienie, wszystkie usta zieją przekleństwem, i te żagwie płonącej nienawiści odcinają się na tle strasznego krzyku: „Na śmierć! Śmierć mordercy!”... który z daleka dochodzi niby akompaniament basu...

⁴⁹półczwarta (daw.) — trzy i pół. [przypis edytorski]

— Więc oni krzyczeli po francusku, ci Dalmatyńcy? — spytał hrabia Schinnera. — Pan nam opowiada tę scenę tak, jakby się panu zdarzyła wczoraj⁵⁰.

Schinner urwał zmieszany.

— Ruchawka przemawia wszędzie tym samym językiem — rzekł głęboki znawca ludzi Mistigris.

— Wreszcie — podjął Schinner — kiedy się znalazłem w tamecznym sądzie, przed obliczem miejscowych sędziów, dowiaduję się, że przeklęty korsarz zginął otruty przez Zenę. Byłbym rad w tej chwili móc zmienić bieliznę. Słowo honoru, nie wiedziałem nic o tym melodramacie. Zdaje się, że Greczynka dodawała opium (tyle tam rośnie maku w tym kraju!) do grogu swego pirata, aby mu ukraść chwilkę swobody i móc iść na przechadzkę; otóż poprzedniego dnia nieszczęśliwa kobieta pomyliła dawkę. Olbrzymi majątek przeklętego pirata był przyczyną całego nieszczęścia biednej Zeny; ale wytłumaczyła rzeczy tak po prostu, że, na zeznanie starej, wypuszczono mnie natychmiast na wolność, z zaleceniem mera i austriackiego komisarza policji, abym się udał do Rzymu. Zena, która ustąpiła znaczną część bogactw Uskoka spadkobiercom i sędziom, wyszła cało, jedynie kosztem dwóch lat klasztoru, gdzie siedzi jeszcze. Pojadę robić jej portret, bo za kilka lat wszystko pójdzie w niepamięć. Oto jakie głupstwa popełnia się w osiemnastu latach.

— I pan mnie zostawił bez grosza w *locandzie* w Wenecji — rzekł Mistigris. — Pojechałem z Wenecji do Rzymu szukać pana, smarując po drodze portrety po pięć franków sztuka, a i tych mi nie płacono: ale to moje najpiękniejsze czasy!

— Wyobrażacie sobie myśli, jakie mnie oblegały w dalmackim więzieniu, bez żadnych znajomości, mającego stawać przed dalmackimi Austriakami, pod grozą, że mi utną głowę za to, że się przeszedł dwa razy na spacer z kobietą, która się uparła trzymać cały czas przy sobie odźwierną. To los! — wykrzyknął Schinner.

— Jak to — rzekł naiwnie Oskar — to się panu naprawdę zdarzyło?

— Dlaczego nie miałyby się zdarzyć panu, skoro zdarzyło się już raz, w czasie francuskiej okupacji w Ilirii, jednemu z naszych najurodzawszych oficerów artylerii? — rzekł filuternie hrabia.

— I pan uwierzył artylerzyście? — odrzekł również filuternie Mistigris.

— I to wszystko? — spytał Oskar.

— Cóż pan chce — odparł Mistigris — nie może przecież panu powiedzieć, że mu ucięto głowę.

— Proszę pana, czy są femy w tym kraju? — spytał ojciec Léger. — Jak tam stoi uprawa?

— Hodują maraskino — rzekł Mistigris — roślinę, która rośnie do wysokości gęby i która wydaje likier tej nazwy.

— A! — rzekł ojciec Léger.

— Byłem tam tylko trzy dni w mieście, a dwa tygodnie w więzieniu, nie widziałem nic, nawet pól, gdzie się hoduje maraskino — odparł Schinner.

— Kpią sobie z pana — rzekł Jerzy do ojca Léger — maraskino przychodzi w skrzyniach.

Wehikuł stoczył się w tej chwili z bystrego wzgórza Saint-Brice, aby dobić do gospody, znajdującej się w tym miasteczku, gdzie Pietrek zatrzymał się blisko godzinę, aby pozwolić wydychać koniom, dać im owsa i napoić je. Było mniej więcej wpół do drugiej.

— A! To ojciec Léger — wykrzyknął oberżysta w chwili, gdy wehikuł zatrzymał się przed bramą. — Jecie śniadanie?

— Codziennie raz — odparł gruby rolnik — przetrącimy coś.

— Niech nam pan da ekstra-śniadanko — rzekł Jerzy, trzymając laskę na ramieniu wojskowym ruchem, który oczarował Oskara.

Oskar wściekał się z zazdrości, kiedy ujrzął, jak młody furfant⁵¹ wydobyl z bocznej kieszeni wykwiłtne słomkowe etui, wyjął zeń cygaro i palił w proggu, w oczekiwaniu śniadania.

⁵⁰„Na śmierć! Śmierć mordercy!” (...) Więc oni krzyczeli po francusku, ci Dalmatyńcy — por. Balzac, *Kawalerskie gospodarstwo*. [przypis tłumacza]

⁵¹*furfant* (daw.) — zarozumialec, fanfaron; krętacz, oszust. [przypis edytorski]

— Pali pan? — rzekł Jerzy do Oskara.

— Czasami — odparł eks-gimnazista, wypinając szczupłą pierś i przybierając zuchowatą minę.

Jerzy podał otwarte etui Oskarowi i Schinnerowi.

— Bagatela! — rzekł wielki malarz. — Cygara na pół franka!

— To reszta z tego, co przywiozłem z Hiszpanii. Je pan śniadanie?

— Nie — rzekł artysta — czekają na mnie w zamku. Zresztą jadłem już coś przed wyjazdem.

— A pan? — rzekł Jerzy do Oskara.

— Jestem po śniadaniu.

Oskar byłby dał dziesięć lat życia, aby mieć buty i sztruple u spodni. I kichał, i kaszłał, i pluł, i lękał dym z cygara, krzywiąc się rozpaczliwie.

— Pan nie umie palić — rzekł Schinner — niech pan patrzy.

Schinner, z nieruchomą twarzą, wciągnął dym i wypuścił go nosem bez zmrużenia oka. Wciągnął jeszcze raz, zatrzymał dym w gardle, wyjął cygaro z ust i wypuścił z wdziękiem dym.

— Oto, młodzieńcze — rzekł wielki malarz.

— A oto, młodzieńcze, inny sposób — rzekł Jerzy, naśladując Schinnera, ale połykając cały dym i nie wypuszczając nic.

„I moi rodzice myślą, że mi dali wychowanie” — myślał biedny Oskar, starając się palić z wdziękiem.

Uczuł tak silne mdłości, że dał sobie chętnie zabrać cygaro Mistigrisowi, który rzekł, paląc z widoczną przyjemnością:

— Szanowny pan nie ma zaraźliwych chorób?

Oskar chciałby być dość silny, aby wyszturczać Mistigrisa.

— Jak to — rzekł, wskazując pułkownika Jerzego — osiem franków wino i placuszki, dwa franki cygara, a śniadanie będzie go kosztowało...

— Co najmniej dziesięć franków — odparł Mistigris — ale cóż! Ziarnko do ziarnka.

— A ba, ojczyste Léger, wypijemy sobie buteleczkę Bordeaux — rzekł Jerzy do rolnika.

— Śniadanie będzie go kosztowało dwadzieścia franków! — wykrzyknął Oskar. — To już trzydzieści kilka franków.

Zmiażdżony poczuciem własnej nicości, Oskar usiadł na słupku kamiennym przy bramie i utonął w dumaniach, nie uważając, że w tej pozycji podciągnięte spodnie odsłaniają podrabiane skarpetki, arcydzieło matczyne.

— Jesteśmy bracia po skarpetkach — rzekł Mistigris unosząc nieco spodni i pokazując podobny obraz: skarpetki syjamskie.

Koncept ten sprowadził uśmiech na twarz pana de Sérisy, który stał z założonymi rękami w bramie za pasażerami. Mimo wszystkich niedorzeczności tych młokosów, poważny mąż stanu zazdrościł im ich błędów, podobały mu się ich przechwałki, podziwiał żywość ich konceptów.

— No i cóż, dostaniecie, ojczyste, Moulineaux, bo pojechaliście po talary do Paryża — rzekł oberżysta do ojca Léger, któremu pokazał właśnie w stajni konika na sprzedaż. — To byłby dobry kawał, gdybyście wycieli taką sztukę parowi Francji, ministrowi, hrabiemu de Sérisy.

Stary polityk nie zdradził się najlżejszym drgnieniem, odwrócił się tylko, aby się przyjrzeć oberżystcie.

— Ugotowany jest — odparł z cicha ojciec Léger.

— Cieszy mnie to, dalibóg; lubię jak się szlachcicom dobierają do skóry. Gdyby wam było trzeba bodaj dwudziestu tysięcy franków, pożyczylbym wam; ale Franciszek, konduktor Touchardów, powiedział mi, że pana Margueron zaproszono na dziś do hrabiego na obiad do Presles.

— Taki był zamiar jego ekscelencji, ale my też mamy głowę nie od parady — odparł ojciec Léger.

— Hrabia da posadę młodemu Margueron, a pan nie masz posad do rozdania! — rzekł oberżysta.

— Nie; ale jeżeli hrabia ma za sobą ministrów, ja mam króla Ludwika XVIII — rzekł ojciec Léger do ucha oberżysty — i czterdzieści tysięcy jego portretów dane pocziwemu Moreau pozwolą mi kupić Moulineaux za dwieście sześćdziesiąt tysięcy franków gotówką, wcześniej od pana de Sérisy, który będzie bardzo rad odkupić folwark za trzysta sześćdziesiąt tysięcy, zamiast czekać, aż grunty będą po kawaleczku wystawione na sprzedaż z urzędu.

— Wcale nieźle, ojczulku — wykrzyknął oberżysta.

— Dobrze skombinowane? — spytał rolnik.

— Ostatecznie — rzekł oberżysta — dla niego folwark wart jest tyle.

— Moulineaux przynosi dziś sześć tysięcy franków na czysto, a ja odnowię dzierżawę na siedem tysięcy pięćset na osiemnaście lat. Tak więc, to jest lokata na więcej niż dwa i pół. Panu hrabiemu nie stanie się krzywda. Aby nie narażać pana Moreau, urządzi się tak, że on mnie zaproponuje na dzierżawcę hrabiemu. Będzie niby to działał w interesie swego pana, zapewniając mu prawie trzy od sta od jego pieniędzy i dzierżawcę, który będzie płacił regularnie...

— Co on na tym zarabia, stary Moreau?

— Ba, jeżeli hrabia da mu dziesięć tysięcy, wyciągnie z tej sprawy pięćdziesiąt tysięcy, ale zarobi je sumiennie.

— Zresztą co *on* tam dba o Presles! I taki bogaty! Ja go nigdy nie widziałem na oczy.

— Ani ja — rzekł ojciec Léger — ale zdaje się, że ma tu zamieszkać, inaczej nie pakowałby dwustu tysięcy w odnowieniu pałacu. Pięknie tam jak u króla.

— W takim razie — rzekł oberżysta — był czas, aby Moreau coś uszczknął.

— Tak, bo skoro raz państwo tam osiadą — rzekł Léger — będą mu patrzeć na ręce.

Hrabia nie stracił ani słowa z tej półgłosem prowadzonej rozmowy.

„Mam więc tutaj dowody, po które jechałem — myślał, patrząc na grubego rolnika, który wtaczał się do kuchni. — Ale może — powiedział sobie — to są dopiero plany? Może Moreau jeszcze nic nie wzięł?...”

Przykro mu było uwierzyć, aby jego rządca mógł maczać palce w podobnej znowie.

Pietrek przyszedł, aby dać pić koniom. Hrabia sądził, że woźnica będzie jadł śniadanie z oberżystą i rolnikiem; otóż po tym, co usłyszał, bał się jakiejś niedyskrecji.

„Wszyscy ci ludzie są w znowie przeciw nam, to dobry uczynek pokrzyżować ich plany” — myślał.

— Pietrek — rzekł z cicha do woźnicy, zbliżając się — przyrzekłem ci dziesięć ludwików za zachowanie tajemnicy, ale jeżeli nadal zataisz moją podróż (a będę wiedział, czyś nie wymówił mego nazwiska, ani nie uczynił najmniejszego znaku, który mógłby je zdradzić aż do wieczora, komukolwiek, gdziekolwiek, nawet w samym Isle-Adam), dam ci jutro, kiedy będziesz przejeżdżał, tysiąc franków na wykupno nowego wehikułu. Toteż dla większej pewności — rzekł hrabia, klepiąc pobladłego ze szczęścia Pietrka po ramieniu — nie siadaj do śniadania, zostań przy koniach.

— Panie hrabio, ja pana dobrze rozumiem, oho! To niby względem ojca Léger?

— Dla wszystkich — odparł hrabia.

— Niech pan hrabia będzie spokojny... Spieszmy się — rzekł Pietrek, otwierając drzwi do kuchni — jesteście zapóźnieni. Słuchajcie, ojciec Léger; wiecie, że mamy górę przed sobą, ja nie jestem głodny, będę jechał wolno, to wam dobrze zrobi przejść się trochę.

— Ależ to gorączka ten Pietrek! — rzekł oberżysta. — Nie zjesz z nami śniadania? Pułkownik płaci wino po pięćdziesiąt su i butelkę szampana.

— Nie mogę. Mam rybę, którą muszę oddać w Stors o trzeciej na wielki obiad, a nie ma żartów z tymi klientami i z rybą także.

— A więc — rzekł ojciec Léger do oberżysty — zaprzęgnijcie do swego wózka konika, którego chcecie mi sprzedać, dopędzicie z nami Pietrka, zjemy śniadanie w spokoju i będę mógł osądzić, co koń wart. Zmieścimy się we trzech na twojej biedce.

Ku wielkiemu zadowoleniu hrabiego, Pietrek sam poszedł zaprzęgać. Schinner i Mistrigis poszli naprzód. Zaledwie Pietrek, który wzięł do wehikułu dwóch artystów na drodze z Saint-Brice do Poncelles, dosięgnął szczytu wzgórza, skąd widać Écouen, więź w Messil i lasy okalające cudny krajobraz, kiedy tętent konia, wiozącego galopem

kabriolet, oznajmił ojca Léger i pułkownika, którzy zajęli miejsce w powozie. Skoro Pieter skrzył w wąską dróżkę, aby zjechać do Moisselles, Jerzy, który cały czas rozmawiał z ojcem Léger o piękności gospodyni w Sain-Brice, wykrzyknął:

— Cóż! Ładny mamy tu widok, panie artysto?

— Ba, cóż to jest dla pana, który widziałeś Wschód i Hiszpanię!

— I mam stamtąd jeszcze dwa cygara! Jeżeli nikt nie ma nic przeciwko temu, czy chce je pan skończyć, panie Schinner? Bo ten chłopczyna miał dosyć po dwóch pociągnięciach.

Ojciec Léger i hrabia zachowali milczenie, które wzięto za znak zgody, *zaczem*⁵² dwaj bają bazarze zamilkli, oddając się paleniu.

Oskar, podrażniony tym, że go nazwano chłopczyną, rzekł, podczas gdy dwaj młodzi ludzie zapalali cygara:

— Jeżeli nie byłem adiutantem Miny, proszę pana, jeżeli nie byłem na Wchodzie, to może jeszcze będę. Kariera, do której mnie przeznacza rodzina, oszczędzi mi, mam nadzieję, przykrości podróży w kukulce, kiedy będę w pańskim wieku. Skoro będę wybitnym człowiekiem i raz zajmę stanowisko, potrafię je utrzymać...

— *Et caetera punctum!* — rzekł Mistigris, udając głos zachrypłego kogucika, który uwydatnił jeszcze śmieszność odezwaną się Oskara, bo biedny chłopak znajdował się w okresie, kiedy zarost, puszcza a głos nabiera męskości. — Widzę — dodał Mistigris — że pan jest przy nadziei⁵³.

— Na honor! — rzekł Schinner — konie nie uciągną tylu kawałów.

— Pańska rodzina obmyśla dla pana karierę, a jaką? — spytał poważnie Jerzy.

— Dyplomację — odparł Oskar.

Trzy parsknięcia śmiechem buchnęły jak trzy race z ust Mistigrisa, wielkiego malarza i ojca Léger. Sam hrabia nie mógł się wstrzymać od uśmiechu. Jerzy zachował spokój.

— Na Allaha! Nie ma się z czego śmiać — rzekł pułkownik do śmieszków. — Tylko, młody człowieku — dodał, zwracając się do Oskara — mam wrażenie, że twoja czcigodna matka znajduje się chwilowo w położeniu niezbyt odpowiednim na ambasadorową... Miała z sobą koszyk bardzo godny szacunku i przyszcypki u trzewików wielce...

— Moja matka!... — rzekł Oskar z gestem oburzenia. — Et, to była gospodyni od nas...

— To „od nas” jest bardzo arystokratyczne — wtrącił hrabia.

— Król mówi *my* — odparł dumnie Oskar.

Spojrzenie Jerzego powściągnęło ochotę do śmiechu, która ogarnęła wszystkich; uprzedził nim malarza i jego ucznia, że trzeba oszczędzać Oskara, aby należycie wyzyskać tę kopalnię żarcików.

— Pan ma słuszość — rzekł wielki malarz do hrabiego, wskazując Oskara — ludzie z pewnej sfery mówią *my*, jedynie ludzie spod ciemnej gwiazdy mówią *ja, u mnie*. Zawsze się ma manię uchodzić za to, czym się nie jest. Jak na człowieka tak udekorowanego...

— Pan jest wciąż dekoratorem? — rzekł Mistigris.

— Nie zna pan języka dworów. Proszę pana o protekcję, ekscelejco — dodał Schinner, zwracając się do Oskara.

— Winszuję sobie — rzekł hrabia — że było mi danym podróżować z trzema ludźmi, którzy są lub będą sławni: znakomitym już dziś malarzem, przyszłym generałem, i młodym dyplomatą, który wróci kiedyś Belgię Francji.

Popełniwszy już ten wstrętny czyn, że się wyparł matki, Oskar, wściekły, domyślając się, jak bardzo towarzysze drwią sobie z niego, postanowił za wszelką cenę zwyciężyć ich powątpiewanie.

— Nie wszystko złoto co się świeci — rzekł, rzucając błyskawice oczami.

— Nie tak — rzekł Mistigris. — Nie wszystko błoto co się wymiata. Niedaleko pan zajdzie w dyplomacji, jeżeli pan lepiej nie posiędzie przysłów.

— Może nie znam dobrze przysłów, ale znam dobrze moją drogę.

— Zajedzie pan daleko, bo gospodyni pańskiego zamku zaopatrzyła pana jak na zamorską podróż: biszkopty, czekolada...

⁵²*zaczem* — więc, a następnie. [przypis edytorski]

⁵³*być przy nadziei* (przen.) — być w ciąży, spodziewać się dziecka. [przypis edytorski]

— Specjalny chleb i czekolada, tak, panie — odparł Oskar — bo mam żołądek o wiele za delikatny, aby znosić świństwa, jakie dają w oberżach.

— Słowo „świństwa” jest równie delikatne jak pański żołądek.

— Och, lubię świństwa — wykrzyknął wielki malarz.

— To modne słowo w najlepszych towarzystwach — odparł Mistigris — posługują się nim w traktierni *pod czarną kwoką*.

— Pańskim guwernerem musi być zapewne jakiś słynny profesor, pan Andrieux z Akademii Francuskiej albo pan Royer-Collard? — spytał Schinner.

— Mój preceptor nazywa się ksiądz Loreaux, obecnie wikariusz w Saint-Sulpice — odparł Oskar, przypominając sobie nazwisko spowiednika kolegium.

— Dobrze pan robił, żeś się wychowywał prywatnie, uniwersytet to nazbyt uniwersalne. Ale pan wynagrodzisz swojego księżynę?

— Z pewnością, zostanie kiedyś biskupem — odparł Oskar.

— Dzięki wpływom pańskiej rodziny — rzekł poważnie Jerzy.

— Może przyczynimy się do tego, aby zajął właściwe dla siebie miejsce, bo ksiądz Frayssinous bywa często u nas w domu.

— A, zna pan księdza Frayssinous? — spytał hrabia.

— Ma obowiązki wdzięczności wobec mego ojca — odparł Oskar.

— I jedzie pan zapewne do swego majątku? — rzekł Jerzy.

— Nie, panie; ale ja mogę powiedzieć dokąd jadę. Jadę do zamku Presles, do hrabiego de Sérisy.

— A, pan jedzie do Presles! — wykrzyknął Schinner, który poczerwieniał jak wiśnia.

— Pan zna ekscelencję hrabiego de Sérisy? — spytał Jerzy.

Ojciec Léger obrócił się ku Oskarowi i popatrzał nań zdumiony, wykrzykując:

— Czyżby pan de Sérisy był w Presles?

— Widocznie, skoro ja tam jadę — odparł Oskar.

— I często pan widuje hrabiego? — spytał Oskara pan de Sérisy.

— Tak jak pana widzę — odparł Oskar. — Jestem kolegą jego syna, który jest mniej więcej w moim wieku, dziewiętnaście lat; jeździmy konno razem prawie co dzień.

— Często zdarzało się, iż król zaślubiał pasterza — rzekł sentencjonalnie Mistigris.

Mrugnięcie okiem w stronę ojca Léger uspokoiło w zupełności rolnika.

— Na honor — rzekł hrabia do Oskara — szczęśliwy jestem, że spotkałem młodego człowieka, który może mi coś powiedzieć o tej osobistości; potrzebuję protekcji hrabiego w dosyć poważnej sprawie, w której nic by go nie kosztowało dopomóc mi: chodzi o reklamację u rządu amerykańskiego. Byłbym bardzo rad dowiedzieć się czegoś o charakterze hrabiego de Sérisy.

— Och, jeżeli pan chce dojść do celu — odparł Oskar, przybierając sprytną minę — niech się pan nie zwraca do niego, ale do jego żony; kocha się w niej jak wariat, nikt o tym lepiej nie wie ode mnie, do jakiego stopnia; a żona nie może go znosić.

— A czemu? — spytał Jerzy.

— Hrabia ma jakąś wstrętną chorobę skóry, z której doktor Alibert na próżno sili się go wyleczyć. Toteż hrabia de Sérisy dałby połowę swego olbrzymiego majątku, aby mieć taką pierś jak moja — rzekł Oskar rozchylając koszulę i pokazując dziecięcą cerę. — Żyje samotnie, zagrzebany w swoim, pałacu. Ho, ho! Trzeba mieć dobre plecy, aby się do niego dostać. Przede wszystkim, wstaje bardzo wcześnie, pracuje od trzeciej do ósmej; począwszy od ósmej odbywa swoje kuracje: kąpiele siarczane albo parowe. Gotują go w rozmaitych pudłach blaszanych, bo wciąż ma nadzieję wyzdrowienia.

— Skoro jest tak dobrze z królem, czemuż nie poprosi króla, aby go dotknął? — spytał Jerzy.

— Więc ta dama ma męża gotowanego na miękko! — rzekł Mistigris.

— Hrabia przyrzekł trzydzieści tysięcy franków słynnemu szkockiemu lekarzowi, który go leczy w tej chwili — ciągnął Oskar.

— Ależ w takim razie żony jego nie można potępiać, że się troszeczkę... — rzekł Schinner, nie kończąc.

— Myśle! — rzekł Oskar. — Ten biedny człowiek jest taki strupieszaly, taki stary, że dalibyście mu osiemdziesiąt lat! Wyszły jest jak pergamin, a, na swoje nieszczęście, czuje swoją pozycję...

— Gorzej, jeżeli i inni ją czują — rzekł facecjonista⁵⁴ Léger.

— Panie, on ubóstwia żonę i nie śmie jej nic powiedzieć — odrzekł Oskar. — Odgrywa z nią sceny takie, że można skonać ze śmiechu, istny Arnolf⁵⁵ w komedii Moliera...

Hrabia zmartwiał patrząc na Pietrka, który, widząc jego obojętność, myślał, że to co baje syn pani Clapart, to są oszczerstwa.

— Toteż, proszę pana, jeżeli pan chce dojść do celu, niech się pan uda do margrabiego d'Aiglemont. Jeżeli pan będzie miał tego starego wielbiciela hrabiny za sobą, pozyska pan od jednego zamachu i żonę, i męża.

— Jak powiadają, dwie pieczenie na jednym rożnie.

— Ale — rzekł malarz — pan chyba widział hrabiego nago; czy pan jest jego kamerdynerem?

— Kamerdynerem? — wykrzyknął Oskar.

— Ba, nie opowiada się takich rzeczy o swoich przyjaciółach w publicznym wehikule — odparł Mistigris. — Niemy i głuchy, to moja zasada. Ja pana nie słucham.

— Nie tykać krewnych, przyjaciół i znajomych prosi stroskana rodzina — rzekł Schinner.

— Dowiedz się, panie artysto — odparł sentencjonalnie Jerzy — że nie można mówić źle o ludziach, których się nie zna, a ten mały dowiódł nam, że zna hrabiego de Sérisy jak zły szeląg. Gdyby mówił tylko o hrabinie, można by myśleć, że jest dobrze z...

— Ani słowa o hrabinie de Sérisy, młokosy! — wykrzyknął hrabia. — Jestem przyjacielem jej brata, margrabiego de Ronquerolles, i kto by się ośmielił drasnąć honor hrabiny, miałby ze mną do czynienia.

— Ten pan ma słuszość — wykrzyknął malarz. — Nie tykać kobiet; świeżo malowane.

— *Honor i damy!* Widziałem ten melodramat! — wykrzyknął Mistigris.

— Jeżeli nie znam Miny, znam za to ministra sprawiedliwości — rzekł hrabia, patrząc na Jerzego. — Jeżeli nie noszę moich orderów, mogę się postarać, aby ich nie dano tym, którzy na nie nie zasługują. Wreszcie, znam tyle osób, że znam i pana Grindot, architekta pracującego w Presles... Stań no, Pietrek, wysiądę na chwilę.

Pietrek dobił aż do końca wioski Moisselles, do gospody, w której zatrzymują się pasażerowie. Ten kawałek drogi upłynął w głębokim milczeniu.

— Do kogo jedzie ten mały ladaco? — spytał hrabia Pietrka, pociągnąwszy go w kąt dziedzińca.

— Do rządcy pana hrabiego. To syn biednej kobiety, która mieszka przy ulicy de la Cerisaie; noszę tam często owoce, zwierzyne, drób; niejaka pani Husson.

— Kto jest ten pan? — zagadnął Pietrka ojciec Léger, skoro hrabia się oddalił.

— Dalibóg, nie wiem — odparł Pietrek — wiozę go pierwszy raz; ale to mógłby być ów książę, do którego należy zamek w Maffiers; mówił mi właśnie, że wysiada w drodze, nie jedzie do Isle-Adam.

— Pietrek myśli, że to jest pan z Maffiers — rzekł do Jerzego ojciec Léger, wracając do dylizansu.

W tej chwili trzech młodzi ludzie, spłoszeni jak złodzieje schwytani na uczynku, nie śmieli na siebie spojrzeć wzajem, widocznie mocno zajęci skutkami swoich kłamstw.

— Oto, co się nazywa wdepnąć — rzekł Mistigris.

— Widzicie, że znam hrabiego — rzekł Oskar.

— Możebne — odparł Jerzy — ale nie będzie pan nigdy ambasadorem — odparł Jerzy. — Kiedy się chce rozmawiać w dylizansie, trzeba, jak ja, gadać o niczym.

— Srocza kaczkę warzyła, aż nawarzyła piwa — rzekł Mistigris w formie konkluzji.

Hrabia zajął w tej chwili swoje miejsce, a Pietrek ruszył w głębokim milczeniu.

— No i cóż, młodzi przyjaciele — rzekł hrabia, gdy dojeżdżali do lasu Carreau — siedzicie niemi, tak jakbyśmy jechali na szafot.

— Jest czas mówienia, jest czas odchodzenia od mówienia — odparł biblijnie Mistigris.

⁵⁴facecjonista — żartowniś; por. *facecja*: żart. [przypis edytorski]

⁵⁵Arnolf — główny bohater *Szkoly żon*, komedii Moliera z 1662 r.; zazdrośnik, mizogin i zatwardziały kawaler, który, nie mając zaufania do kobiet generalnie, postanowił ożenić się ze swoją wychowanicą, z premedytacją w tym celu utrzymywaną w stanie niewinności, naiwności i niewiedzy. [przypis edytorski]

— Piękna pogoda — rzekł Jerzy.

— Co to za miejscowość? — rzekł Oskar, pokazując zamek Franconville, który wspina się odcina na tle lasów Saint-Martin.

— Jak to! — wykrzyknął hrabia. — tak często pan bywa w Presles, a nie zna pan Franconville?

— Ten pan — rzekł Mistigris — zna ludzi, a nie zamki.

— Praktykującym dyplomatom wolno mieć dystrakcje⁵⁶! — wykrzyknął Jerzy.

— Niech pan sobie zapamięta moje nazwisko! — odparł Oskar wściekły. — Nazywam się Oskar Husson i za dziesięć lat będę sławny.

Po tych słowach, wyrzeczonych z furfanterią⁵⁷, Oskar zaszył się w kącie.

— Husson skąd? — rzekł Mistigris.

— Wielka rodzina — odparł hrabia — Hussonowie z Cerisaie; ten panicz urodził się u stopni cesarskiego tronu.

Oskar zaczerwienił się po białka, ogarnął go straszliwy niepokój. Zjeżdżano właśnie bystrym zboczem Le Cave, u stóp którego, w wąskiej dolinie, na końcu wielkiego lasu Saint-Martin, znajduje się wspaniały zamek Presles.

— Panowie — rzekł hrabia — życzę wam powodzenia w waszych pięknych karierach. Niech się pan pojedna z królem francuskim, panie pułkowniku: Czarni-Jerzowie nie powinni żyć w zwadzie z Burbonami. Panu nie ma co przepowiadać, panie Schinner, sława już przyszła do pana i zarobił pan na nią swymi wspaniałymi dziełami; ale jest pan tak niebezpieczny, że ja, który jestem żonaty, nie śmiałybym panu dać pola do sławy u siebie na wsi. Co do pana Hussona, nie potrzebuje protekcji; posiada tajemnice mężów stanu, może się stać groźny. Co się tyczy pana Léger, jedzie oskubać hrabiego de Sérisy; mogą go tylko prosić, aby się ostro wziął do rzeczy.

— Wysadź mnie tutaj, Pietrek, zabierzesz mnie jutro z powrotem — dodał hrabia, który wysiadł, zostawiając swoich towarzyszków podróży skonfundowanych.

— To się nazywa wziąć nogi za pas — rzekł Mistigris, widząc pośpiech, z jakim podróżny zniknął w parowie.

— Och! To ten hrabia, który wynajął Franconville, on tam idzie — rzekł ojciec Léger.

— Jeżeli kiedy — rzekł fałszywy Schinner — przyjdzie mi ochota *bujac*⁵⁸ w dyliżansie, sam siebie wyzwę na pojedynek. To twoja wina, Mistigris — dodał, uderzając chłopca po kaszkiecie.

— Och! Ja tylko pojechałem za panem do Wenecji — odparł Mistigris. — Ale, kto chce psa uderzyć, sam w niego wpada⁵⁹.

— Czy pan wie — rzekł Jerzy do swego sąsiada Oskara — że gdyby to był przyładkiem hrabia de Sérisy, nie chciałbym się znajdować w pańskiej skórce, mimo że jest wolna od chorób.

Oskar, myśląc o przestrogach matki, którą mu te słowa przypomniały, zbladł i wytrzeźwiał.

— Są panowie na miejscu — rzekł Pietrek, zatrzymując się przed okazałą bramą.

— Jak to? Już! — wykrzyknęli równocześnie malarz, Jerzy i Oskar.

— A to historia — rzekł Pietrek. — Jak to, panowie, więc żaden z was nie był tutaj? Ależ to zamek Presles.

— A, dobrze, mój przyjacielu — rzekł Jerzy, odzyskując tupet. — Idę na folwark Moulineaux — dodał, nie chcąc zdradzić towarzyszom podróży, że udaje się do zamku.

— Jak to! Pan przyjechał do mnie? — rzekł ojciec Léger.

— Jakim sposobem?

— Jestem dzierżawcą z Moulineaux. A pan, pułkowniku, czego pan sobie ode mnie życzy?

⁵⁶*dystrakcja* — rozproszenie; szczególnie: rozproszenie uwagi, skupienia; daw. także: rozrywka, przyjemność. [przypis edytorski]

⁵⁷*furfanteria* (daw.) — zarozumiałość, fanfaronada; por. *furfant*: zarozumialec, fanfaron, ale też krętacz, oszust. [przypis edytorski]

⁵⁸*bujac* (pot.) — kłamać, oszukiwać; fantazjować. [przypis edytorski]

⁵⁹ *kto chce psa uderzyć, sam w niego wpada* — żart. kontaminacja dwóch powiedzeń: „kto chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie” (tj. jeśli się chce kogoś zaatakować, zawsze znajdzie się jakiś powód) oraz „kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada” (tj. kto walczy podstępem, pada ofiarą własnej gry; inaczej: „kto mieczem wojuje, od miecza ginie”). [przypis edytorski]

— Skosztować pańskiego maselka — odparł Jerzy, biorąc tekę.

— Pietrek — rzekł Oskar — oddajcie moje rzeczy u rządcy, idę prosto do zamku.

I Oskar puścił się ścieżką, nie wiedząc, dokąd idzie.

— Hop, hop, panie ambasadorze — krzyknął ojciec Léger — pan idzie do lasu. Jeżeli pan chce do zamku, niech pan idzie furtką.

Zmuszony wejść, Oskar zgubił się w dziedzińcu zamkowym, w którym znajduje się olbrzymi klomb otoczony słupkami związanymi łańcuchem. Podczas gdy ojciec Léger przyglądał się Oskarowi, Jerzy, którego spiorunowała wiadomość, że gruby rolnik jest dzierżawcą Moulineaux, wymknął się tak lekko, że w chwili, gdy zaintrygowany grubas szukał swego pułkownika, już go nie znalazł. Furtka otworzyła się na prośbę Pietrka, który wszedł dumnie, aby złożyć u odźwiernego mnogie przybory wielkiego Schinnera. Oskar patrzył oszołomiony, że Mistigris i artysta, świadkowie jego przechwałek, instalują się w zamku. W dziesięć minut Pietrek wyładował paczki malarza, rzeczy Oskara Husson, i wytworną skórzaną walizkę, którą powierzył tajemniczo żonie odźwiernego; po czym wrócił, trzaskając z bicia i puścił się ku laskowi Isle-Adam, z chytrą miną chłopca obliczającego zyski. Nic nie brakowało mu do szczęścia, miał dostać nazajutrz swoich tysięcy franków.

Oskar, dosyć markotny, kręcił się dokoła klombu, patrząc, gdzie się obróca jego towarzysze podróży, kiedy nagle ujrzał pana Moreau wychodzącego z wielkiej sali tzw. myśliwskiej na ganek. Rządca ubrany był w długi niebieski surdut, który mu opadał niemal na pięty, w spodnie z łosiowej skóry, wysokie buty, i trzymał w ręku szpicrutę.

— A, chłopcze, jesteś? Jakże się miewa mamusia? — rzekł, biorąc za rękę Oskara. — Dzień dobry panom, panowie jesteście zapewne malarze, których zapowiadał pan Grindot? — rzekł do malarza i do Mistigrisa. Gwizdnął dwa razy w rękojeść szpicruty. Zjawił się odźwierny.

— Zaprowadź panów do pokojów numer 14 i 15; pani Moreau da ci klucze; pokaż panom drogę; zapal ogień, jeżeli trzeba, wieczorem i zanieś rzeczy panów. Pan hrabia polecił mi gościć panów u siebie — dodał, zwracając się do artystów — jadamy o piątej, jak w Paryżu. Jeżeli panowie są myśliwi, możecie tu sobie używać, mam przywilej leśny i wodny: mamy tu polowanie na dwa tysiące morgów lasu, nie licząc naszych gruntów.

Oskar, malarz i Mistigris, wszyscy jednakowo zawstydzeni, spojrzeli po sobie, ale Mistigris, wierny swej roli, wykrzyknął:

— Głupstwo się stało i już się nie odstanie; myślmy tedy o nowym.

Młody Husson udał się za rządcą, który go pociągnął szybko do parku.

— Kubuś — rzekł do jednego ze swych chłopców — idź zawiadom matkę o przybyciu młodego Husson, i powiedz jej, że muszę iść na chwilę do Moulineaux.

Rządca liczył wówczas około pięćdziesięciu lat. Był to mężczyzna średniego wzrostu, brunet; wydawał się bardzo surowy. Żółciowa jego twarz, ogorzała od powietrza, nie zwiastowała na pierwszy rzut oka jego właściwego charakteru. Wszystko przyczyniało się do tego nieporozumienia. Włosy miał szpakowate. Niebieskie oczy, duży orli nos dawały mu wyraz tym bardziej złowrogi, ile że oczy były trochę zbyt blisko osadzone; ale szerokie wargi, owal twarzy, dobroduszne wzięcie zdradziłyby obserwatorowi dobrego człowieka. Stanowczy, szorstki w mowie, imponował wielce Oskarowi swą przenikliwością, płynącą z uczucia, jakie miał dla niego. Przyzwyczajony przez matkę uwielbiać rządcę, Oskar czuł się zawsze mały w obecności pana Moreau; znalazłszy się w Presles, uczył odruch niepokoju, jak gdyby lękał się czegoś złego ze strony tego dobrego przyjaciela, swego jedyne protektora.

— I cóż, Oskarze, coś mi nie bardzo wydajesz się rad, że jesteś tutaj? — rzekł rządca. — Będziesz się dobrze bawił, nauczysz się jeździć konno, strzelać, polować.

— Nie umiem — rzekł głupio Oskar.

— Po to cię sprowadziłem, żeby cię nauczyć.

— Mama mówiła mi, abym nie zostawał dłużej niż dwa tygodnie z powodu pani Moreau...

— Och, zobaczymy — odparł Moreau, dotknięty nieco tym, że Oskar podaje w wątpliwość jego domową władzę.

Młodszy syn rządcy, chłopak piętnastoletni, barczysty, zwinny, nadbiegł.

— A — rzekł ojciec — zaprowadź kolegę do matki.

I rządcą udał się szybko najkrótszą drogą do domku strażnika, położonego między parkiem a lasem. Oficynę, użyczoną przez hrabiego na mieszkanie rządcy, zbudował na kilka lat przed rewolucją architekt ze słynnych dóbr Cassan, gdzie Bergeret, generalny dzierżawca, kolosalnie bogaty i równie sławny swym zbytkiem jak Bodardowie, Parysowie, Bouretowie, stworzył ogrody, rzeki, zbudował pustelnie, chińskie pawilony i inne rujnujące wspaniałości.

Domek ten, położony w wielkim ogrodzie, którego jeden mur graniczył z dziedzińcem zamku Presles, wychodził niegdyś na gościniec. Kupiwszy tę posiadłość, ojciec pana de Sérisy potrzebował tylko zwalić ten mur i zamurować bramę na wieś, aby połączyć ten pawilon z zabudowaniami dworskimi. Znosząc drugi mur, powiększył swój park o wszystkie ogrody, które przedsiębiorca nabył niegdyś dla zaokrąglenia swej posiadłości. Domek ten, zbudowany z ciosowego kamienia, w stylu Ludwika XV (wystarczy powiedzieć, że ornamenty tworzyły „serwetki” nad oknami, jak na kolumnadach placu Ludwika XV, o kształcie zimnych i sztywnych rurek), składa się na parterze z pięknego salonu, sąsiadującego z sypialnią, i z jadalni, do której przylega sala bilardowa. Między tymi dwiema równoległymi grupami pokoi znajdują się schody poprzedzone rodzajem sieni służącej za przedpokój; ozdobę tej sieni stanowią drzwi salonu i jadalni, jedne naprzeciw drugich, bardzo bogate. Kuchnia jest pod jadalnią, bo wchodzi się do tego domku po dziesięciu stopniach.

Przenosząc swój apartament na trzecie piętro, pani Moreau mogła przerobić na buduar dawną sypialnię. Salon i ten buduar, bogato umeblowane ładnymi rzeczami wybranymi ze starego urzędzenia zamku, nie zeszpeciłyby z pewnością pałacu modnisi. Obity niebieskim i białym adamaszkiem, niegdyś kryjącym dworskie łóżko, salon ten, którego stare złocone meble były pokryte tą samą materią, posiadał sute firanki i portiery podbite białą taftą. Obrazy wyjęte ze starych, zniszczonych boazerii, żardiniery, parę nowoczesnych mebelków i ładne lampy prócz starego kryształowego świecznika, dawały temu pokojowi coś bardzo pańskiego. Na podłodze stary perski dywan. Buduar, zupełnie nowoczesny, urządony smakiem pani Moreau, miał kształt namiotu z festonami z niebieskiego jedwabiu na szarym tle. Na klasycznej sofie piętrzyły się poduszki; były również poduszki pod nogi. Żardiniery wreszcie, wypieszczone przez naczelnego ogrodnika pałacowego, radowały oczy piramidami kwiatów. Jadalnia i sala bilardowa umeblowane były mahoniem. Dokoła tego domku rządczyni hodowała starannie utrzymane klomby, które łączyły się z parkiem. Kępy egzotycznych drzew zasłaniały budynki gospodarskie. Aby ułatwić dostęp osobom, które ją odwiedzały, rządczyni umieściła furtkę w zamurowanej bramie.

Zależność, która wiązała się z posadą rządcy, była tedy zręcznie osłonięta; rządcostwo raczej robiło wrażenie ludzi bogatych, opiekujących się dla przyjemności majątkiem przyjaciela, tym bardziej, iż ani hrabia, ani hrabina nie przyjeżdżali, aby poskromić ich pretensje. Przywileje nadane przez pana de Sérisy pozwalały im żyć w dostatku, korzystać z wiejskiego zbytku. Tak więc nabił, jajka, drób, zwierzyzna, owoce, pasza, kwiaty, drzewo, jarzyny — rządcą i jego żona czerpali ze wszystkiego w bród, kupując jedynie mięso u rzeźnika, wino i towary kolonialne, jakich wymagał ich książęcy tryb życia. Dziewczyna dworska piekła chleb. Wreszcie, od kilku lat, Moreau płacił swego rzeźnika wieprzami dworskimi, zachowując sobie tyle, ile potrzebował do własnego stołu. Jednego dnia hrabina, zawsze bardzo dobra dla swej dawnej pokojówki, dała jej, może jako pamiątkę, wyszłą z mody kolaskę podróżną. Moreau kazał ją odmalować i woził w niej żonę, posługując się parą wybornych koni, pożytecznych zresztą przy robotach parkowych. Poza tymi końmi, rządcą miał swego konia wierzchowego. Uprawiał w parku spory kawał ziemi, aby wyżywić swoje konie i służbę, zbierał tam trzysta pudów doskonałego siana, a liczył tylko sto, korzystając z mglistego pozwolenia udzielonego przez hrabiego. Sprzedawał połowę swojej ordynarii, zamiast ją konsumować. Utrzymywał suto swoje podwórko, swój gołębnik, swoje krowy na koszt parku, ale nawóz z jego stajni służył ogrodnikom parkowym. Każda z jego drobnych kradzieży miała jakąś wymówkę. Panią obsługiwała córka ogrodnika, na przemian pokojówka i kucharka. Dziewczyna dworska zajęta przy nabiale również pomagała w gospodarstwie. Do koni i do grubszej roboty Moreau przyjął pensjonowanego żołnierza, nazwiskiem Brochon.

W Neville, w Chauvry, w Beaumont, w Maffliers, w Prérolles, w Nointel, wszędzie przyjmowano piękną rządczynię w domach, które nie znały lub udawały, że nie znają jej

przeszłości. Moreau oddawał zresztą usługi. Rozporządzał swoim panem w rzeczach, które są drobiazgiem w Paryżu, ale które są olbrzymie na zapadłej prowincji. Wyrobiwszy nominację dla sędziego pokoju w Beaumont i w Isle-Adam, uratował w tym samym roku od dymisji inspektora lasów i uzyskał krzyż Legii dla naczelnego kwatermistrza w Beaumont. Toteż żadna uroczystość w okolicy nie obyla się bez państwa Moreau. Proboszcz z Presles, mer, zachodzili co wieczór na partyjkę do państwa Moreau. Trudno jest nie być znacym człowiekiem, usławszy sobie tak wygodne łóżko.

Rządczyni, ładna kobieta, mizdrząca się jak wszystkie pokojówki wielkich dam, które, wyszedłszy za mąż, naśladują swoje panie, wprowadzała w okolicy nowe mody, nosiła bardzo drogie ciżemki, a chodziła pieszo jedynie w pogodę. Mimo że mąż dawał tylko pięćset franków na jej toaletę, suma ta jest olbrzymia na wsi, zwłaszcza kiedy jej dobrze użyć: toteż rządczyni, pulchna i świeża blondynka, blisko trzydziestosześcioletnia, wiotka, drobna i wdzięczna mimo trojga dzieci, udawała jeszcze młodą panienkę i dawała sobie tony księżniczki. Kiedy przejeżdżała swoją kolaską do Beaumont i ktoś obcy spytał: „Kto to jest?”, pani Moreau była wściekła, skoro miejscowy człowiek odpowiedział: „To żona rządcy z Presles”. Lubiła, aby ją brano za panią zamku. Lubiła protegować ludzi w okolicy, niby prawdziwa wielka dama. Wpływ męża na hrabiego, stwierdzony tyloma przykładami, nie przeszkadzał małym mieszczanom wyśmiewać się z pani Moreau, która w oczach wieśniaków była wielką figurą. Estella (nazywała się Estella) nie więcej zresztą zajmowała się gospodarstwem, niż żona agenta giełdowego zajmuje się giełdą: zdała na męża troskę o interesy, o mienie. Ufna w *jego talenty*, była o tysiąc mil od przypuszczenia, aby to rozkoszne życie, trwające od siedemnastu lat, mogło być kiedyś zagrożone; mimo to, kiedy się dowiedziała o zamiarze odrestaurowania wspaniałego zamku w Presles, uczuła się dotknięta i skłoniła męża do porozumienia z Légerem, aby się przenieść do Isle-Adam. Zanadto by cierpiała, znajdując się z powrotem w roli na wpół służącej wobec swej dawnej pani, która śmiałaby się z niej, widząc ją panoszącą się w swoim domku i małpującą sposób życia damy.

Przyczyna głębokiej nienawiści między Reybertami a państwem Moreau tkwiła w ranie, którą pani de Reybert zadała pani Moreau, w odpowiedzi na pierwszą dokuczliwość, na jaką sobie pozwoliła rządczyni za przybyciem Reybertów, aby nie dać zagarnąć swego królowania kobiecie z *domu de Corroy*. Pani de Reybert przypomniała, może: zdradziła całą okolicę dawne stanowisko pani Moreau. *Pokojówka!* To słowo obieгло z ust do ust. Zawistni, których państwo Moreau musieli mieć w Beaumont, w Isle-Adam, w Maffliers, w Champagne, w Nerville, w Chauvry, w Baillet, w Moisselles, puścili języki w ruch tak żywo, że niejedna iskra z tego pożaru padła na dom państwa Moreau. Od czterech lat Reybertowie, wykleci przez piękną rządczynię, stali się pastwą takiej niechęci ze strony jej zwolenników, że położenie ich w okolicy byłoby nie do wytrzymania, gdyby myśl o zemście nie podtrzymywała ich aż dotąd.

Państwo Moreau, żyjący bardzo dobrze z panem Grindot, architektem, otrzymali od niego wiadomość o bliskim przybyciu malarza, któremu poruczono dokończyć zdobienia zamku, gdzie główne płótna wykonał Schinner. Na ramy, arabski i inne akcesoria, wielki malarz polecił naszego podróżnego, który przybywał w towarzystwie Mistigrisa. Toteż od dwóch dni pani Moreau znajdowała się pod bronią i wyczekiwała jak żuraw. Artysta, który miał jadać u niej przez kilka tygodni, wymagał starań. Schinner i jego żona zajmowali apartament w zamku, gdzie, w myśl rozkazów hrabiego, traktowani byli jak sam hrabia. Grindot, jadający u rządców, objawiał tyle szacunku wielkiemu artyście, że ani rządcza, ani jego żona nie śmieli się z nim spoufalić. Najdostojniejsze i najbogatsze domy w okolicy na wypródkę zresztą fetowały Schinnerów i wydzierały ich sobie. Toteż, bardzo rada, że może mieć poniekąd swój odwet, pani Moreau zamierzała otrąbić w całej okolicy artystę, którego oczekiwała i przedstawić go jako talent równy Schinnerowi.

Mimo że już od dwóch dni piękna rządczyni oblekała toalety pełne zalotności, zbyt dobrze wszakże umiała dawkować swoje zasoby, aby nie zachować sobie najpoważniejszej, w przekonaniu, że malarz przybędzie dopiero w sobotę. Włożyła tedy brązowe skórkowe ciżemki i pończochy *fil d'écosse*⁶⁰. Różowa suknia w prążki, różowy pasek ze złotą, bogato rzeźbioną klamrą, złoty krzyżyk na szyi i aksamitne bransoletki na nagich ramio-

Pozycja społeczna,
Obyczaje, Sprawiedliwość

⁶⁰*fil d'écosse* (fr.) — fildekos; gatunek materiału wykonanego z przedźdy egipskiej. [przypis edytorski]

nach (pani de Sérisy miała ładne ramiona i pokazywała je obficie) dawały pani Moreau pozór wykwintnej paryżanki. Miała na głowie wspaniałą kapelusz z florenckiej słomki, strojny bukietem róż, spod którego skrzydeł spływały lśniące pukle blond. Zarządziwszy wykwintny obiad i uczyniwszy przegląd apartamentu, wyszła z domu tak, aby się znaleźć przed klombem w dziedzińcu, niby pani zamku, w chwili gdy będą przejeżdżać pojazdy. Trzymała nad głową śliczną, różową parasolkę, podbitą białym jedwabiem z frędzlami. Ujrzała Pietrka, który oddawał odźwiernemu osobliwe paczki Mistigrisa, ale nie dostrzegła żadnego podróżnego. Estella wróciła zawiedziona, z żalem, że niepotrzebnie wysadziła się na toaletę. Podobnie jak większość osób, które się wystroją, czuła się niezdolna do żadnego zajęcia; wałęsała się po salonie, czekając na dylizans z Beaumont, przejeżdżający w godzinę po Pietrku, mimo że wyjeżdżał z Paryża dopiero o pierwszej popołudniu. Młody malarz i Mistigris tyle się nasłuchali pochwał pięknej pani Moreau od ogrodnika, z którego wyciągnęli informacje, że uczuli obaj potrzebę wysztafirowania się (mówiąc stylem pracownianym). Wystroili się na ostatni guzik, aby się przedstawić w domu rządcy, a zaprowadził ich tam Jakub Moreau, najstarszy z dzieci, zuchowaty chłopak ubrany w angielską kurtkę z wywiniętym kołnierzem, żyjący podczas wakacji jak ryba w wodzie w tym majątku, gdzie matka jego władała jak udzielna pani.

— Mamo — rzekł — są dwaj panowie artyści przysłani przez pana Schinnera.

Pani Moreau, mile zdziwiona, wstała, kazała synowi podać krzesła i rozwinęła swoje wdzięki.

— Mamo, mały Husson jest z ojcem — dodał chłopiec do ucha matki — pójdę go przyprowadzić...

— Nie spiesz się, bawcie się razem — rzekła matka.

To jedno słowo: *nie spiesz się*, odsłoniło dwom artystom nicość ich towarzysza podróży; ale przebijało w nim również uczucie macochy do pasierba. W istocie, pani Moreau, która nie mogła po siedemnastu latach małżeństwa nie znać przywiązania rządcy do pani Clapart i małego Hussona, nienawidziła matkę i dziecko tak zdecydowanie, że zrozumiałym się staje, czemu rządcą nie odważył się dotąd sprowadzić Oskara do Presles.

— Mamy obowiązek, mój mąż i ja — rzekła do artystów — robić panom honory zamku. Kochamy bardzo sztuki piękne, a zwłaszcza artystów — dodała, strojąc minki — toteż proszę panów, chciejcie się czuć zupełnie jak u siebie w domu. Na wsi, wiecie panowie, nie ma ceremonii, trzeba, aby każdy miał swobodę, inaczej wszelka przyjemność się kończy. Mieliśmy tu już pana Schinnera...

Mistigris popatrzał szelmowsko na towarzysza.

— Zna go pan zapewne — dodała Estella po pauzie.

— Któż go nie zna, pani? — odparł malarz.

— Znany jest *jak zły szeszlong*⁶¹ — dodał Mistigris.

— Pan Grindot wspomniał mi pańskie nazwisko — spytała pani Moreau — ale...

— Józef Bridau — odparł malarz bardzo zaintrygowany tym, co za rodzaj kobiety ma przed sobą.

Mistigris zaczynał się buntować w duchu przeciw protekcyjnemu tonowi pięknej rządczyni, ale czekał, zarówno jak Bridau, jakiegoś słowa, gestu, które by go oświeciły, jakiegoś zdradzieckiego słówka, które malarze, ci okrutni urodzeni obserwatorowie śmieszności, żeru swoich ołówków, chwytają tak skwapliwie. Przede wszystkim grube ręce i grube nogi Estelli, chłopskiej córki z okolic Saint-Lô, uderzyły dwóch artystów; potem parę wyrażen trącających pokojówką, parę zwrotów kłócących się z wykwintem toalety, odsłoniły nagle malarzowi i jego uczniowi ich ofiarę. Jednym rzutem oka porozumieli się, że będą brali Estellę serio, aby sobie uprzyjemnić pobyt.

— Pani kocha sztukę, może i sama uprawia ją pani z powodzeniem? — rzekł Józef Bridau.

— Nie, wychowanie moje, mimo iż staranne, było czysto handlowe; ale mam tak głębokie i delikatne poczucie sztuki, że pan Schinner prosił mnie zawsze, ile razy skończył jakiś kawałek, abym przyszła powiedzieć mu moje zdanie.

⁶¹znany jest jak zły szeszlong (żart.) — przekręcone powiedzenie „znać kogoś jak zły szeląg” (tzn. znać dobrze czyjeś wady), w którym ostatnie słowo zostało zastąpione podobnym brzmieniowo; *szeląg*: srebrna moneta, *szeszlong* (z fr. *chaise longue*) rodzaj kanapy a. wydłużonego fotela z podparciem pod nogi do odpoczynku w pozycji półleżącej. [przypis edytorski]

— Jak Molier panią Laforêt — rzekł Mistigris.

Nie wiedząc, że Laforêt była służącą, pani Moreau odpowiedziała skromnym pochylem głowy, świadczącym iż, w swojej nieświadomości, bierze to za komplement.

— Jakim cudem nie zaproponował pani, że panią kropnie? — rzekł Bridau. — Malarze są dosyć łąsi na ładne twarzyczki.

— Co pan przez to rozumie? — spytała pani Moreau, na której obliczu odmalował się gniew obrażonej królowej.

— W języku malarskim *kropnąć* nazywa się zrobić szkic — rzekł Mistigris przymilnie.

— Nie znałam tego wyrażenia — odparła, zwracając do Mistigrisa słodkie oczy.

— Mój uczeń — rzekł Bridau — pan Leon de Lora, ma wielki dar do portretów. Byłby bardzo szczęśliwy, piękna pani, gdyby mógł zostawić wspomnienie naszego pobytu tutaj, malując pani uroczą główkę.

Józef mrugnął na Mistigrisa, jak gdyby mówiąc: „No, bierz się do niej! Wcale nie-brzydka!”. Na ten znak Leon de Lora przysiadł się na kanapę obok Estelli i ujął ją za rękę, bez oporu z jej strony.

— Och, gdyby pani, jako niespodziankę dla swego małżonka, zechciała mi użyzyć w sekrecie paru seansów, starałbym się przejść samego siebie. Jest pani tak piękna, tak świeża, tak urocza!... Człowiek bez talentu stałby się geniuszem, mając panią za model! Zaczerpnąłby w pani oczach tyle...

— A potem wymalujemy pani śliczne dzieci w arabeskach — przerwał mu Józef.

— Wolalabym raczej mieć je u siebie w salonie, ale nie śmiałabym... — odparła, spoglądając zalotnie na Józefa.

— Piękność, pani, to królowa, którą malarze uwielbiają i która ma nad nimi wielką władzę.

„Przemili są” — pomyślała pani Moreau. — Czy lubią panowie spacer wieczorem, po obiedzie, powozem do lasu?...

— Och! Och, och, och, och! — wykrzyknął Mistigris za każdym słowem z rosnącym zachwytem — Ależ Presles będzie nam rajem na ziemi.

— I to z Ewą, jasnowłosą, młodą i śliczną kobietą — dodał Bridau.

W chwili gdy pani Moreau puszyła się i tonęła w siódmym niebie, ściągnięto ją z powrotem na ziemię niby latawca za sznurek.

— Proszę pani! — wykrzyknęła pokojówka, wpadając jak bomba.

— Rozalio, kto cię upoważnił, abyś wchodziła tutaj niewołana?

Rozalia nie zwróciła uwagi na to napomnienie i szepnęła pani do ucha: — Pan hrabia jest w zamku.

— Czy pytał o mnie? — odparła rządczyni.

— Nie, pani... ale prosi o swoją walizkę i o klucz od mieszkania.

— Więc niech mu dadzą — rzekła, czyniąc gest niezadowolenia, aby ukryć swoje zmieszanie.

— Mamo, to Oskar Husson! — wykrzyknął najmłodszy z synów, wprowadzając Oskara, który, czerwony jak burak, nie śmiał się zbliżyć, widząc dwóch malarzy w uroczystym stroju.

— Och — rzekł okrutny Mistigris — przyszły dyplomata musi mieć plecy... ojcowskie... Nie suknia zdobi człowieka, ale spodnie.

— Przyszły dyplomata? — wykrzyknęła pani Moreau.

Oskarowi stanęły łązy w oczach, patrzył kolejno na Józefa i na Leona.

— Ot, żarcik w podróży — odparł Józef, który przez litość chciał wybawić Oskara z przykrego położenia.

— Malec chciał zabawić się jak my, bujał trochę — rzekł okrutny Mistigris — dlatego taki błąd.

— Proszę pani — rzekła Rozalia, ukazując się z powrotem w drzwiach — jego ekscelencja każe przygotować obiad na osiem osób i prosi, aby podano o szóstej. Co mam robić?

W czasie narady Estelli i jej garderobianej, dwaj artyści i Oskar wymienili spojrzenia, w których malował się straszliwy niepokój.

— Jego ekscelencja? Kto? — rzekł Józef Bridau.

— No, hrabia de Sérisy — odparł młody Moreau.

— Czy to on był przypadkiem w kukulce? — rzekł Leon de Lora.

— Och! — rzekł Oskar. — Hrabia de Sérisy może podróżować tylko we własnej karecie, czterema końmi.

— W jaki sposób przybył tutaj hrabia de Sérisy? — spytał malarz pani Moreau, kiedy wróciła dość zwarzona na swoje miejsce.

— Nie wiem — rzekła — nie umiem sobie wytłumaczyć przyjazdu jego ekscelencji, ani powodów całego zdarzenia. I do tego męża nie ma!

— Jego ekscelencja prosi pana Schinnera, aby zechciał przyjść do pałacu — rzekł ogrodnik, zwracając się do Józefa. — Prosi także, aby pan Schinner uczynił mu tę przyjemność i przyjął zaproszenie na obiad, zarówno jak i pan Mistigris.

— Wdepnęliśmy! — rzekł urwis, śmiejąc się. — Jegomość, którego wzięliśmy w Pietrkowej kukulce za jakiegoś mieszcza, to hrabia! Słusznie ludzie powiadają, że *nie szukał, a znalazł*.

Oskar zmienił się niemal w słup soli; na tę wiadomość gardło zrobiło mu się bardziej słone od morza.

— A pan mu mówił o kochankach jego żony i o jego sekretnych chorobach — rzekł Mistigris do Oskara.

— Co pan chce powiedzieć? — wykrzyknęła żona rządcy, patrząc na dwóch artystów, którzy odeszli śmiejąc się z miny Oskara.

Oskar stał niemy, osłupiały, rażony gromem; nie słyszał nic, mimo że pani Moreau zadawała mu pytania i trzęsła nim, chwyciwszy go za ramię, które ścisnęła z siłą; ale musiała zostawić Oskara w salonie, nie otrzymawszy odpowiedzi, gdy Rozalia zawołała ją znowu, prosząc aby wydała bieliznę, srebra i aby sama czuwała nad wykonaniem rozkazów hrabiego. Służba, ogrodnicy, odźwierny i jego żona wszystko biegło w łatwym do pojęcia pomieszeniu. Pan spadł do domu jak bomba. Hrabia przybył w istocie z La Cave znajomą sobie ścieżką do domku gajowego i to przybył o wiele wcześniej od rządcy. Gajowy zdumiał się, ujrzawszy prawdziwego pana.

— Czy Moreau jest tutaj, że widzę tu jego konia? — spytał pan de Sérisy.

— Nie, wasza wysokość, ale ponieważ ma się udać do Moulineaux przed obiadem, zostawił konia tutaj, a sam poszedł wydać parę rozkazów w zamku.

Gajowy nie zdawał sobie sprawy z doniosłości tej odpowiedzi, która, w danych okolicznościach, dla bystrego człowieka równała się pewności.

— Jeżeli ci zależy na twoim miejscu — rzekł hrabia do gajowego — udasz się galopem na tym koniu do Beaumont i oddasz panu Margueron list, który napiszę.

Hrabia wszedł do domku napisać słówko; złożył list w taki sposób, że niepodobna było rozwinąć go bez śladu, i oddał list gajowemu, który tymczasem dosiadł konia.

— Ani słowa nikomu! — rzekł. — Pani zaś — dodał do żony gajowego — gdyby Moreau dziwił się, że nie ma konia, powie pani, że ja go wziąłem.

I hrabia ruszył żywo do parku, którego furtkę otworzono natychmiast na jego znak. Mimo nawyku do młyna polityki, do jej wzruszeń i zawodów, dusza człowieka zdolnego jeszcze kochać w wieku hrabiego zawsze wrażliwa jest na zdradę. Tak było ciężko panu de Sérisy uwierzyć w zdradę rządcy, że w Saint-Brice sądził jeszcze, że Moreau jest nie tyle współnikiem Légera i rejenta, ile ofiarą. Toteż w progu gospody, w czasie rozmowy ojca Légera i gospodarza, zamierzał jeszcze przebaczyć rządcy, wypaliwszy mu tęgie kazanie. Rzecz dziwna! Zdrada zaufanego człowieka stała się dlań już tylko epizodem od chwili, gdy Oskar odsłonił chlubne słabości niestrudzonego pracownika, prawej ręki Napoleona. Tajemnice tak dobrze strzeżone mógł zdradzić tylko Moreau, który drwił sobie z pewnością ze swego dobroczyńcy z eks-pokojówką pani de Sérisy lub też z dawną Aspazją Dyrektoriatu. Idąc boczną ścieżką, ten par Francji, ten minister, płakał tak, jak płacze się za młodu. Wypłakał swoje ostatnie łzy! Wszystkie ludzkie uczucia były tak żywo i tak głęboko ugodzone, że ten tak spokojny człowiek kroczył przez swój park jak zranione dzikie zwierzę.

Kiedy Moreau zażądał konia i kiedy żona gajowego odpowiedziała: „Pan hrabia wziął go przed chwilą”, rządcza wykrzyknął:

— Co za hrabia?

— Hrabia de Sérisy, nasz pan — rzekła. — Jest może w pałacu — dodała, aby się pozbyć rządcy, który, nie pojmując nic, pomknął żywo w stronę zamku.

Moreau wrócił niebawem, aby wypytać żonę gajowego, tajemne bowiem przybycie i postępek pana zaczęły mu się wydawać poważne. Żona gajowego, przerażona tym, że się znalazła między młotem a kowadłem, między hrabią a rządcą, zaryglowała domek i sama się w nim zamknęła, z postanowieniem nieotwierania nikomu prócz męża. Coraz niespokojniejszy, Moreau pobiegł, mimo swoich butów, pędem do domku odźwiernego i dowiedział się, że hrabia się ubiera. Rozalia, którą rządcą spotkał, rzekła:

— Siedem osób na obiedzie u jego wysokości...

Moreau skierował się ku swemu domowi i ujrzał dziewczkę toczącą spór z pięknym młodzieńcem.

— Pan hrabia powiedział: „adiutant Miny, pułkownik” — wołała biedna dziewczyna.

— Nie jestem pułkownikiem — odpowiadał Jerzy.

— Więc co? Ale nazywa się pan Jerzy?

— O co chodzi? — wdał się rządcą.

— Proszę pana, nazywam się Jerzy Marest, jestem synem zamożnego kupca żelaznego przy ulicy Saint-Martin i przybywam w sprawie hrabiego de Sérisy w zastępstwie pana Crottat, którego jestem drugim dependentem.

— A ja powtarzam panu, że pan hrabia powiedział mi: „Zgłosi się tam pułkownik nazwiskiem Czarny Jerzy, adiutant Miny, przybyły Pietrkowym dyliżansem; jeżeli się będzie o mnie pytał, proszę go wprowadzić do poczekalni”.

— Nie trzeba żartować z jego ekscelencją, niech pan idzie. Ale jakim cudem jego wysokość przybyła tutaj, nie uprzedzając mnie? Jakim cudem hrabia mógł wiedzieć, że pan przyjechał tutaj z Pietrkiem?

— Zdaje się, że hrabia jest owym podróżnym, który, gdyby nie uprzejmość pewnego młodego człowieka, miał się wgramolić na kozioł obok Pietrka.

— Na kozioł obok Pietrka!... — wykrzyknęli razem rządcą i dziewczyna.

— Jestem tego pewny, właśnie z przyczyny tego, co mi mówi ta dziewczyna — odparł Jerzy Marest.

— A to jak? — rzekł Moreau.

— A, ba! — wykrzyknął dependent. — Aby zabawić towarzyszy podróży, opowiedziałem im kupę bredni o Egipcie, o Grecji i Hiszpanii. Miałem ostrogi, podałem się za pułkownika kawalerii, tak sobie, dla uciechy.

— Zaczekaj pan! — rzekł Moreau. — Jak wygląda podróżny, który, wedle pana, miałby być hrabią de Sérisy?

— Twarz jak cegła — odparł Jerzy — włosy zupełnie białe i czarne brwi.

— To on!

— Jestem zgubiony! — rzekł Jerzy Marest.

— Czemu?

— Nabierałem go jego orderami.

— Ba! To dobry człowiek, ubawił go pan. Niech pan prędko idzie do zamku, ja spieszę do jego ekscelencji. Gdzie hrabia rozstał się z wami?

— Na górze.

— Nic nie rozumiem! — wykrzyknął Moreau.

„Ostatecznie, bujałem go, ale nie ubliżyłem mu” — powiedział sobie piszczyk⁶².

— A po co pan tu przyjechał? — spytał rządcą.

— Ależ przywiozłem akt sprzedaży folwarku Moulineaux, gotowiusieńki.

— Mój Boże — wykrzyknął rządcą — ja nic nie rozumiem.

Moreau uczył, że mu serce wali jak młotem, kiedy, zapukawszy dwa razy do drzwi swego pana, usłyszał:

— Czy to pan, panie Moreau?

— Tak, ekscelencjo.

— Proszę.

Hrabia wdział białe spodnie, lakierowane trzewiki, białą kamizelkę i czarny frak, na którym błyszcząca, po prawej, gwiazda Wielkiego Krzyża Legii, po lewej w butonierce wisiała na złotym łańcuszku Złote Runo. Błękitna wstęga odcinała się od kamizelki. Hrabia

⁶²piszczyk (daw., lekcew.) — pisarczyk; niższy urzędnik kancelaryjny, kancelista. [przypis edytorski]

sam się uczesał i wystroił, zapewne aby przyjąć Marguerona w swoim pałacu w Presles; może też aby olśnić nieboraka blaskiem wielkości.

— I cóż, panie Moreau — rzekł hrabia, siedząc i pozwalając rządcy stać — nie możemy dojść do porozumienia z Margueronem?

— W tej chwili żądałby za folwark za drogo.

— Ale czemu nie miałby przyjść sam tutaj? — rzekł hrabia, udając zamyślenie.

— Chory jest, ekscelencjo.

— Czy pan jest tego pewny?

— Byłem u niego...

— Panie Moreau — rzekł hrabia, przybierając wyraz surowy, niemal straszny — co by pan zrobił z zaufanym człowiekiem, gdyby, znając sekret choroby, którą pan chce zachować w tajemnicy, natrząsał się z pana z ladacnicą?

— Zatlukłbym go kijami.

— A gdyby pan do tego spostrzegł, że on nadużywa pańskiego zaufania i okrada pana?

— Staralbym się go złapać na gorącym uczynku i posłałbym go na galery.

— Posłuchaj pan, panie Moreau, mówił pan z pewnością o moich chorobach u pani Clapart i wyśmiewał się pan z nią z miłości mojej do mojej żony, gdyż mały Husson opowiadał mnóstwo szczegółów dotyczących mojej kuracji podróżnym w publicznym dylizansie dziś rano, w mojej obecności; a nie chcę powtórzyć, w jakich słowach ośmielał się spotwarzać moją żonę. Wreszcie, dowiedziałem się z własnych ust ojca Léger, który wracał z Paryża w Piętrkowym dylizansie, o planie ułożonym przez rejenta z Beaumont, przez pana i przez niego, odnośnie do Moulineaux. Jeżeli pan był u pana Margueron, to po to, aby mu kazać udawać chorego; tak dalece nie jest chory, że oczekuję go na obiad, i przyjdzie. Panie Moreau, wybaczyłem panu, że pan masz dwieście pięćdziesiąt tysięcy majątku zarobionych w siedemnaście lat... Rozumiem to. Gdybyś mnie pan za każdym razem poprosił o to, coś brał albo co panu ofiarowywano, dałbym panu: jesteś ojcem rodziny. Był pan, mimo swoich nadużyć, lepszy od innego, jak sądzę. Ale pan, który znasz moje trudy poniesione dla ojczyzny, dla Francji, który widziałeś mnie, jak czuwałem setki nocy dla cesarza, pracując po osiemnaście godzin na dobę przez całe kwartały; który wiesz, jak bardzo kocham hrabinę, pan mogłeś paplać przy smarkaczu, zdradzić moje tajemnice, wydać moje uczucia na pośmiewisko takiej pani Husson.

— Wasza wysokość...

— To nie do darowania. Skrzywdzić człowieka materialnie to nic; ale zranić go w serce... Och! Pan nie wiesz, coś uczynił!

Hrabia utopił głowę w dłoniach i milczał przez chwilę.

— Zostawiam panu to, co masz, i zapomnę o panu. Dla świata, dla mnie, dla pańskiego honoru, rozstaniemy się przyzwoicie, bo pamiętam jeszcze dziś, co pański ojciec uczynił dla mego. Porozumie się pan, jak się należy, z panem de Reybert, który będzie pańskim następcą. Niech pan będzie, tak jak ja, spokojny. Nie trzeba dawać widowiska głupcom. Zwłaszcza żadnych komedii, żadnych kręctw. O ile pan nie posiada już mego zaufania, staraj się pan zachować *decorum* człowieka bogatego. Co się tyczy tego małego ladaco, który omal mnie nie zabił, niech nie nocuje w Presles, niech go pan pomieści w jakiej oberży, nie rękę za mój gniew, gdybym go ujrzał.

— Nie zasłużyłem na tyle łaski, ekscelencjo — rzekł Moreau ze łzami w oczach. — Tak, gdybym był zupełnie nieuczciwym, miałbym swoich pięćset tysięcy franków; zresztą mogę panu przedłożyć rachunki z mego majątku, mogę go panu wyszczególnić! Ale niech pan hrabia pozwoli sobie powiedzieć, że jeżeli rozmawiałem o nim z panią Clapart, to nigdy dla wyśmiewania się, ale przeciwnie, ubolewając nad jego stanem i pytając pani Clapart, czy nie zna jakich lekarstw nieznanymi doktorom a popularnymi u ludu... Mówiłem o pana uczuciach i przy małym, kiedy spał (okazuje się, że nas słyszał!), ale zawsze w formie pełnej przywiązania i szacunku. Niestety chciało, że ta niedyskrecja wyszła mi na zbrodnię. Ale, przyjmując słuszny wyrok pańskiego gniewu, pragnę bodaj, aby pan hrabia wiedział, jak się rzeczy miały. Och, mówiłem o panu z panią Clapart z serdecznym wylaniem. Wreszcie, może pan hrabia spytać mojej żony, nigdy nie mówiliśmy między sobą o tych rzeczach...

— Dosyć — rzekł hrabia, którego przekonanie było niezłomne — nie jesteśmy dziećmi; rzecz jest nieodwołalna. Niech pan doprowadzi do porządku swoje interesy i moje.

Może pan zostać w pałacu do października. Państwo de Reybert będą mieszkali w zamku: proszę, niech się pan stara wyjść z nimi tak, jak czynią ludzie dobrze wychowani, którzy się nienawidzą, ale zachowują pozory.

Hrabia i rządcą wyszli. Moreau był blady jak włosy hrabiego, hrabia spokojny i godny.

W czasie tej sceny, dylizans do Beaumont, który wyjeżdża z Paryża o pierwszej, zatrzymał się przed furtką i wysadził pana Crottat, który, w myśl rozkazu hrabiego, czekał w salonie. Został tam swego dependenta, bardzo markotnego, w towarzystwie dwóch malarzy; wszyscy trzej byli mocno nieswoi. Pan de Reybert, człowiek pięćdziesięcioletni o niemiłej fizjonomii, przybył w towarzystwie starego Margueron i rejenta z Beaumont, który trzymał cały plik aktów i papierów. Kiedy wszyscy zebrani ujrzeli wchodzącego hrabiego w stroju oficjalnym, Jerzy Marest uczuł lekki skurcz żołądka, Józef Bridau zadrżał; ale Mistigris, który miał na sobie niedzielne ubranie i który zresztą nie miał sobie nic do wyrzucenia, rzekł dosyć głośno:

— Daję słowo, tak mu jest o wiele lepiej.

— Mały urwisie — rzekł hrabia, ciągnąc go za ucho — obaj pracujemy w dekoracjach. Czy poznał pan swoje dzieło, drogi panie Schinner? — dodał hrabia, pokazując sufit artystycznie.

— Ekszelencjo — odparł artysta — zawiniłem, przywłaszczając sobie dla popisu sławne nazwisko, ale ten dzień zobowiązuje mnie do wykonania tutaj pięknych rzeczy i do uświetnienia nazwiska Józefa Bridau.

— Wziąłeś mnie pan w obronę — rzekł żywo hrabia — mam nadzieję, że zrobisz mi tę przyjemność, aby zjeść ze mną obiad, zarówno jak nasz dowcipny Mistigris.

— Wasza dostojność nie wie, na co się naraża — odparł urwis — nie wie, co to jest apetyt malarski.

— Bridau! — wykrzyknął minister uderzony wspomnieniem. — Byłże byś pan krewnym jednego z najgorliwszych pracowników cesarstwa, szefa dywizji, który padł ofiarą swej gorliwości?

— Jego synem, ekszelencjo — odparł Józef z ukłonem.

— Jest pan miłym gościem w tym domu — rzekł hrabia, ujmując w dłonie rękę malarza. — Znałem pańskiego ojca i możesz pan liczyć na mnie jak... na wujaszka z Ameryki — dodał pan de Sérisy z uśmiechem. — Ale pan jest za młody, aby mieć uczniów: czymż tedy jest Mistigris?

— Mego przyjaciela Schinnera, który mi go pożyczył — odparł Józef. — Mistigris nazywa się Leon de Lora. Ekszelencjo, jeżeli pan pamięta mego ojca, racz pomyśleć o tym jego synu, który jest w tej chwili oskarżony o spisek przeciw państwu i staje przed sądem parów...

— A, prawda! — rzekł hrabia. — Pomyślę o tym, niech mi pan wierzy. Co się tyczy księcia Czarnego Jerzego, przyjaciela Alego-paszy, adiutanta Miny... — rzekł hrabia, zbliżając się do Jerzego.

— On?... Mój dependent! — wykrzyknął Crottat.

— Myli się pan, panie Crottat — rzekł hrabia surowo. — Dependent, który chce być rejentem, nie zostawia ważnych dokumentów w dylizansie na łasce podróżnych! Dependent, który chce być rejentem, nie wydaje dwudziestu franków między Paryżem a Moisselles! Dependent, który chce być rejentem, nie naraża się na to, że go mogą przytrzymać jako zbiega...

— Ekszelencjo — rzekł Jerzy Marest — mogłem szukać zabawy w tym, aby zmystyfikować towarzyszyw podróży, ale...

— Dajże pan mówić jego ekszelencji — rzekł pryncypał, dając mu potężnego kuksa w bok.

— Rejent powinien mieć zawczasu dyskrecję, rozważę, spryt i nie brać ministra stanu za fabrykanta mydła...

— Ponoszę odpowiedzialność za moje winy, ale nie zostawiłem aktów na łasce... — rzekł Jerzy.

— Popelniasz pan w tej chwili ten błąd, że zadajesz fałsz Ministrowi Stanu, parowi Francji, szlachcicowi, starcowi, klientowi. Niech pan poszuka swego projektu sprzedaży!

Dependent porzucił wszystkie papiery w swojej tece.

— Niech pan nie gniecie papierów — rzekł minister, wydobywając akt z kieszeni — oto jest to, czego pan szuka.

Crottat obrócił papier trzy razy, tak bardzo był zdumiony, że go otrzymuje z rąk dostojnego klienta.

— Jak to! Panie?... — rzekł wreszcie rejent do Jerzego.

— Gdybym go nie był wziął — dodał hrabia — ojciec Léger, który nie jest głupcem, jak pan wnosisz z jego pytań o uprawę roli, bo dowiedział tym panu, że zawsze trzeba myśleć o swoim zawodzie, ojciec Léger mógł go wziąć i przejrzeć mój projekt... Zrobi mi pan również tę przyjemność, aby zjeść ze mną obiad, ale pod warunkiem, że nam pan opowie egzekucję *mucelim* w Smyrnie i dokończysz nam pamiętników jakiegoś klienta, którego zapewne przeczytał w rękopisie.

— Dostał byka za indyka — rzekł po cichu Leon de Lora do Józefa Bridau.

— Panowie — rzekł hrabia do rejenta z Beaumont, do pana Crottat, do panów Margueron i de Reybert — przejdźmy na drugą stronę, nie siądziemy do stołu, nie dobiwszy targu.

— No i cóż, to luby człowiek — rzekł Leon de Lora do Jerzego.

— Tak, ale mój pryncypał nie jest tak luby i poprosi mnie, abym poszedł sobie bujać ludzi gdzie indziej.

— Ba! Lubi pan podróżować — rzekł Bridau.

— Cóż za wcieranie czeka tego malca od państwa Moreau!... — wykrzyknął Leon de Lora.

— Głupi smarkacz — rzekł Jerzy. — Gdyby nie on, hrabia byłby się ubawił. Ano trudno, dobra była lekcja. Jeżeli mnie kiedy przyłapią na rozmawianiu w dylizansie!...

— Och, tak, to bardzo głupie — rzekł Józef Bridau.

— I pospolite — dodał Mistigris.

Podczas gdy się dobijało interesu między panem Margueron a hrabią de Sérisy przy udziale obu rejentów i w obecności pana de Reybert, eks-rządca udał się wolnym krokiem do siebie. Wszedł do domu nic nie widząc i usiadł na kanapie w salonie, gdzie młody Husson wsunął się w najciemniejszy kąt, gdyż blada twarz opiekuna matki przeraziła go.

— I cóż, mój drogi — rzekła Estella, wchodząc dosyć zmęczona wszystkim, co musiała zdziałać — co tobie?

— Moje dziecko, jesteśmy zgubieni i to bez ratunku. Nie jestem już rządcą Presles, straciłem zaufanie hrabiego.

— Dlaczego, skąd?!

— Ojciec Léger, który jechał w Pietrkowym dylizansie, objaśnił go o sprawie *Moulineaux*: ale nie to wydarło mi na zawsze jego łaskę...

— A co?

— Oskar wyrażał się źle o hrabinie, i wypaplał o chorobach hrabiego...

— Oskar!... — wykrzyknęła pani Moreau. — Jesteś ukarany, mój drogi, tym, czym grzeszyłeś. Warto było żywić tego węża na łonie?... Ile razy ci mówiłam...

— Dosyć! — rzekł Moreau zmienionym głosem.

W tej chwili Estella i jej mąż ujrzeli zaszytego w kąt Oskara. Moreau rzucił się na nieszczęsne dziecko jak sęp na swą ofiarę, chwycił go za kołnierz oliwkowej surducyny i przyciągnął go do okna.

— Mów! Coś ty powiedział jego ekscelencji w powozie? Co za bies rozplątał ci język, tobie, który stoisz zawsze jak tuman, ile razy pytam cię o co? Co tobie wpadło?... — mówił rządcą z niesłychaną gwałtownością.

Zbyt osłupiały, aby płakać, Oskar milczał nieruchomy jak posąg.

— Chodź błagać o przebaczenie jego ekscelencji! — rzekł Moreau.

— Czyż ekscelencja dba o takie ścierwo! — krzyknęła Estella wściekła.

— Dalej, chodź do zamku! — powtórzył Moreau.

Oskar osunął się jak bezwładna masa i padł na ziemię.

— Pójdiesz zaraz! — rzekł Moreau, którego gniew rósł z chwili na chwilę.

— Nie! Nie! Łaski! — krzyknął Oskar, który nie chciał się poddać kaźni gorszej dla niego niż śmierć.

Moreau wziął Oskara za kołnierz, powlókł go jak trupa przez dziedziniec, który dzieciak napełniał krzykiem i szlochem; powlókł go przez schody; po czym ręką silną od

wściekłości rzucił go, jęczącego i sztywnego jak kłodę, do salonu do stóp hrabiego, który właśnie dokończył kupna Moulineaux i miał przejść do jadalni wraz z całym towarzystwem.

— Na kolana! Na kolana, nędzniku! Błagaj o przebaczenie tego, który dał ci chleb duszy, uzyskując dla ciebie stypendium — krzyczał Moreau.

Oskar, z twarzą ku ziemi, pieniał się z wściekłości, nie mówiąc słowa. Wszyscy obecni drżeli. Moreau, nieprzytomny, toczył oczyma nabiegłymi krwią.

— W tym chłopcu nie ma nic, sama próżność — rzekł hrabia, daremnie wyczekawszy przeprosin Oskara. — Dumny człowiek umie się upokorzyć, może znaleźć wielkość w akcie skruchy. Boję się bardzo, że pan nigdy nie zrobi nic z tego chłopca.

I minister odszedł. Moreau chwycił Oskara i pociągnął go z powrotem do domu. Podczas gdy zaprzęgano do kolaski, rządcą napisał do pani Clapart następujący list:

„Moja droga, Oskar przywiódł mnie do ruiny. W czasie swojej podróży dziś rano, nagadał głupstw o pani hrabinie hrabiemu, który podróżował incognito, jemu zaś samemu wypaplał sekrety straszliwej choroby, jakiej nabył od tyłu przpracowanych nocy. Złożywszy mnie z urzędu, hrabia nakazał mi, abym nie pozwolił Oskarowi nocować w Presles i abym go odesłał. Toteż, chcąc być posłusznym, kazałem w tejże chwili zaprząć do kolaski mojej żony. Brochon, mój stajenny, odwiezie ci nieszczęsnego smarkacza. Jesteśmy z żoną w rozpacz, którą możesz sobie wyobrazić, ale której nie próbuję opisać. Niedługo będę u ciebie, odwiedzę cię, bo trzeba mi powziąć jakieś postanowienie. Mam troje dzieci, muszę myśleć o przyszłości, a nie wiem jeszcze, co postanowić, zamiarem moim bowiem jest pokazać hrabiemu, co warte jest siedemnaście lat życia człowieka takiego jak ja. Mając dziś dwieście sześćdziesiąt tysięcy franków, chcę dojść do majątku, który by mi pozwolił stać się kiedyś niemal równym jego ekscelencji. W tej chwili czuję się zdolnym podnieść góry, pokonać niezwykzone trudności. Podobne upokorzenie, cóż za dźwignia!... Co za krew ten Oskar ma w żyłach! Nie mogę ci go winszować, zachował się jak dureń: w chwili gdy piszę do ciebie, nie zdołał jeszcze wyrzec ani słowa, ani też odpowiedzieć na żadne pytanie żony ani moje... Czy on zostanie idiotą, czy już jest? Droga przyjaciółko, czyż nie dałaś mu żadnych ostrzeżeń, nim go wysłałaś? Ileż nieszczęść byłabyś mi oszczędziła, towarzysząc mu, jak cię o to prosiłem! Jeżeli Estella cię przerażała, mogłaś być w Moisselles. Zresztą stało się. Do widzenia, niedługo.

Twój oddany sługa i przyjaciel,
Moreau”.

O ósmej wieczór pani Clapart, wróciwszy ze spaceru z mężem, przy blasku jedynej świeczki robiła zimowe pończochy dla Oskara. Pan Clapart oczekiwał jednego z przyjaciół, pana Poiret, który zachodził doń czasami na partyjkę domina, nigdy bowiem Clapart nie ważył się iść wieczór do kawiarni. Mimo rozsądku, do którego go zmuszały skromne stosunki materialne, nie ręczyłby za swą wstrzemięźliwość w obliczu potraw i napojów i w obecności bywalców, których drwin się obawiał.

— Boję się, że Poiret już był — rzekł Clapart do żony.

— Ależ, mój drogi, odźwierna byłaby nam powiedziała — odparła pani Clapart.

— Mogła zapomnieć!

— Czemuż miałyby właśnie zapomnieć?

— Nie pierwszy to raz zapomniałaby czegoś, co się nas tyczy. Bóg wie, jak się traktuje ludzi, którzy nie mają powozu.

— Przynajmniej — rzekła biedna kobieta, aby zmienić bieg rozmowy i uniknąć wyrzekań Claparta — Oskar jest teraz w Presles; będzie mu dobrze w tej pięknej siedzibie, w tym ślicznym parku....

— Tak, spodziewaj się po nim ładnych rzeczy — odparł Clapart — narobi jakiegoś bigosu.

— Czy nigdy nie przestaniesz uprzedzać się do tego biednego dziecka? Co on ci zrobił? Mój Boże, jeżeli kiedy będziemy mieli dostatek, może dzięki niemu, bo on ma dobre serce...

— Kiedy ten chłopak dojdzie do czegoś, od dawna już nasze kości będą próchniały w ziemi. Musiały się bardzo zmienić! Ale ty nie znasz swego dziecka; jest samochwał, kłamca, leniwy, tęp...

— Może byś wyszedł naprzeciw pana Poiret — rzekła biedna matka zraniona w samo serce tą apostrofą, którą sama wywołała.

— Chłopak, który nigdy nie dostał nagrody w szkole! — wykrzyknął Clapart.

W oczach mieszczuchów zdobywać nagrody w szkole jest rękojmnią świetnej przyszłości dziecka.

— A ty dostałeś? — rzekła żona. — Oskar dostał czwartą wzmiankę.

Ten argument nakazał na jakiś czas milczenie panu Clapart.

— Do tego ta pani Moreau musi go kochać jak psy dziada w wąskiej ulicy. Będzie się starała zohydzić go przed mężem... Oskar rządcą Presles?... Ależ trzeba znać się na pomiarach, na gospodarstwie...

— Nauczy się.

— On? Właśnie! Założmy się, że, gdyby dostał nawet to miejsce, nie minąłby tydzień, a już strzeliłby jakiegoś bąka, za którego hrabia by go odprawił.

— Mój Boże, jak ty możesz tak się uprzedzać do biednego chłopca pełnego przymiotów, anielskiej słodyczy, niezdolnego uczynić nikomu nic złego?

W tej chwili trzask bicza, turkot szybko jadącej kolaski, parskanie koni, które zatrzymały się pod bramą, sprawiły poruszenie na ulicy de la Cerisaie. Clapart, który usłyszał, że wszystkie okna się otwierają, wyszedł na balkon.

— Odwożę ci Oskara pocztą! — wykrzyknął tonem, w którym zadowolenie przebijało się pod szczerym niepokojem.

— Och! Boże, co się stało? — rzekła biedna matka, trzęsąc się jak liść osiki.

Wszedł Brochon w towarzystwie Oskara i Poireta.

— Mój Boże, co mu się stało! — powtarzała matka, zwracając się do stajennego.

— Nie wiem, proszę pani, ale pan Moreau nie jest już rzondcą w Presles, powiedają, że to syn panin jest tego przyczyną, i jego wysokość kazał go państwu odesłać. Zresztą oto list od biednego pana Moreau, który jest zmieniony, proszę pani, że strach patrzeć...

— Clapart, dwie szklanki wina dla pocztyliona i dla tego człowieka — rzekła matka, która osunęła się na fotel, aby przeczytać nieszczęsny list. — Oskarze — rzekła, wlokąc się do łóżka — więc ty chcesz zabić matkę... Po wszystkim, co ci mówiłam dziś rano!...

Pani Clapart nie dokończyła, omdlała z bóleści.

Oskar stał osłupiały. Pani Clapart przyszła do siebie, słysząc, jak mąż mówi do Oskara, trzęsąc go za ramię:

— Będziesz odpowiadał?

— Idź się połóż do łóżka — rzekła do syna — a ty zostaw go w spokoju, nie doprowadzaj go do szaleństwa, bo zmieniony jest tak, że się można przerazić.

Oskar nie słyszał ostatnich słów matki, poszedł się położyć, skoro tylko otrzymał rozkaz.

Ci, którzy sobie przypominają własną młodość, nie zdziwią się, że, po dniu tak wypełnionym wzruszeniami i wypadkami, Oskar spał snem sprawiedliwego, mimo ogromu swoich błędów. Nazajutrz natura nie wydała mu się tak zmieniona, jak sądził; zdziwił się, że mu się chce jeść, jemu, który w wilię⁶³ czuł się niegodnym stąpać po ziemi. Cierpienia, jakich doznał, były tylko moralne. W tym wieku wrażenia moralne następują po sobie zbyt szybko, aby jedno nie osłabiało drugiego, choćby to pierwsze wryło się bardzo głęboko. Toteż system kar cielesnych, mimo że filantropi bardzo go atakowali w ostatnich czasach, potrzebny jest w pewnych wypadkach dla dzieci; jest zresztą najnaturalniejszy, gdyż natura nie postępuje inaczej, posługuje się bólem, aby dać trwałość swym naukom. Gdyby do wstydu, na nieszczęście przelotnego, jakiego zaznał Oskar w wilię, rządcą dołączył karę cielesną, może lekcja byłaby zupełna. Inteligencja, z jaką trzeba stosować kary, jest najważniejszym argumentem przeciwko nim; natura bowiem nie myli się nigdy, gdy wychowawca musi się mylić często.

Pani Clapart postarała się wyprawić męża z domu, aby się znaleźć rano sama z synem. Była w stanie godnym litości. Oczy czerwone od łez, twarz zmęczona bezsenną nocą, wątpli

⁶³w wilię (daw.) — poprzedniego dnia. [przypis edytorski]

głos, wszystko w niej błagało litości, świadcząc o nadmiernej boleści, której nie zniosłaby drugi raz. Widząc wchodzącego Oskara, dała mu znak, aby siadł koło niej, i przypomniawszy mu łagodnym, ale uroczystym głosem dobrodziejstwa rządu. Powiedziała Oskarowi, że, od sześciu lat zwłaszcza, żyje z delikatnej jałmużny pana Moreau. Posada pana Clapart, zarówno jak stypendium, dzięki któremu Oskar dokończył edukacji, skończą się wcześniej lub później. Clapart nie może spodziewać się emerytury, nie mając wymaganych lat służby ani w skarbie, ani w gminie. W dniu, w którym pan Clapart straci swoje miejsce, co stanie się z nimi wszystkimi?

— Ja — mówiła — choćbym miała zostać pielęgniarką albo posługaczką w bogatym domu, potrafię zarobić na chleb i wyżywić męża. Ale ty — rzekła do Oskara — co ty poczniesz? Nie masz majątku, a powinienes go zdobyć, bo trzeba żyć. Dla was, młodych ludzi, istnieją tylko cztery drogi: handel, urząd, wolne zawody i wojsko. Wszelki handel wymaga kapitału, a my nie możemy ci dać żadnego. W braku kapitału, młody człowiek wnosi swój zapal, swoje talenty, ale handel wymaga wielkiej zręczności, a twoje wczorajsze postępowanie nie budzi nadziei, aby ci się powiodło na tej drodze. W urzędzie trzeba długo służyć bezpłatnie, trzeba mieć protekcję, a ty zraziłeś sobie jedynego naszego protektora i najpotężniejszego ze wszystkich. Zresztą, przypuściwszy nawet, że miałbyś nadzwyczajne zdolności, przy których młody człowiek dochodzi szybko bądź w handlu, bądź w urzędzie, skąd wziąć pieniądze, aby cię wyżywić i ubrać przez czas potrzebny do wyuczenia się swego zawodu?

Tu matka rozwiodła się, jak wszystkie kobiety, w obfitych lamentach: co ona pocznie, pozbawiona zasiłków w naturze, jakich dzięki swej posiadce rządca mógł jej udzielać? Oskar zniweczył los swego opiekuna. Po handlu i urzędzie, karierach, o których nie mógł marzyć dla braku środków, przychodziły wolne zawody, jak notariat, adwokatura, kancelaria komornika. Ale trzeba skończyć prawo, studiować je trzy lata, słono opłacać wpisy, egzaminy, tezy i dyplomy; mnogość kandydatów sprawia, że trzeba się odznaczyć wybitnym talentem; słowem, kwestia utrzymania Oskara wysuwała się ciągle.

— Oskarze — rzekła w końcu matka — złożyłam w tobie całą moją dumę i całe życie. Godząc się na nieszczęśliwą starość, patrzyłam na ciebie, widziałam cię idącego chlubną drogą ku powodzeniu. Ta nadzieja dała mi siłę wyrzeczeń, które sobie nakładałam od sześciu lat, aby cię móc trzymać w kolegium, gdzie, mimo stypendium, kosztowałeś nas około ośmiuset franków rocznie. Teraz, kiedy moje nadzieje się rozwiały, twój los przeraża mnie! Nie mogę rozporządzić ani groszem z pensji pana Clapart na rzecz mego syna... Co ty poczniesz? Nie jesteś dość tęgą w matematyce, aby wstąpić na politechnikę, a potem skąd wezmę trzy tysiące franków pensji, których tam wymagają? Oto życie w swojej nagiej prawdzie, moje dziecko! Masz osiemnaście lat, jesteś silny, zaciągnij się do wojska, to jedyny sposób zarobienia na chleb...

Oskar nie miał pojęcia o życiu. Jak wszystkie dzieci, które wychowywano, skrywając przed nimi domową nędzę, nie znał konieczności zrobienia majątku: słowo *Handel* nie budziło w nim żadnych myśli, słowo *Urząd* też niewiele mu mówiło, nie widział ich rezultatów. Z potulną miną, której starał się nadać wyraz smutku, słuchał napomnień matki, ale gubiły się one w próżni. Mimo to, myśl o wojsku i lzy kręcące się w oczach matki, doprowadziły również dzieciaka do płaczu. Skoro tylko pani Clapart ujrzała lzy spływające po policzkach Oskara, uczuła się bez siły; jak wszystkie matki w takim położeniu, szukała zwrotu, który by zakończył krytyczną rozmowę, w której matka cierpi za siebie i za dziecko.

— Słuchaj, Oskarze, przyrzeknij mi, że będziesz ostrożny na przyszłość, że nie będziesz paplał na prawo i na lewo, że pohamujesz swoją głupią próżność, że... itd., itd.

Oskar przyrzekł wszystko, czego matka sobie życzyła, po czym, przyciągnąwszy go łagodnie do siebie, pani Clapart uścisnęła w końcu syna, aby go pocieszyć.

— Teraz — rzekła — będziesz słuchał matki, będziesz się trzymał jej wskazówek, bo matka może synowi dawać tylko dobre rady. Pojedziemy do wuja Cardot. To nasza ostatnia nadzieja. Cardot zawdzięcza wiele twemu ojcu, który, dając mu swoją siostrę, pannę Husson, z olbrzymim jak na owe czasy posagiem, ułatwił mu zrobienie majątku w jedwabiach. Mam nadzieję, że on cię umieści u pana Camusot, swego spadkobiercy i zięcia, przy ulicy de Bourdonnais... Ale, widzisz, wuj Cardot ma czworo dzieci. Oddał swój magazyn *pod złotym Kokonem* swojej najstarszej córce, pani Camusot. Camusot ma

miliony, ale ma także czworo dzieci z dwóch różnych małżeństw i zaledwie wie o naszym istnieniu. Cardot wydał drugą córkę, Mariannę, za pana Protez, firma „Protez i Chiffreville”. Kancelaria najstarszego syna, rejenta, kosztowała go czterysta tysięcy franków, a drugiego syna, Józefa Cardot, wypromował niedawno na wspólnika drogerii Matifata. Wuj Cardot ma tedy dość przyczyn, aby się nie interesować tobą, którego widzi cztery razy na rok. Nigdy tu nie był u mnie z wizytą; ale umiał mnie doskonale nachodzić u matki cesarza, aby wyjednać sobie dostawy dla ich cesarskich wysokości, dla cesarza i figur dworskich. Teraz, Camusotowie robią rojalistów! Camusot ożenił syna z pierwszego małżeństwa z córką woźnego królewskiego gabinetu! Są ludzie, którzy umieją się płaszczyć. Ale to sprytnie; dzięki temu *Złoty Kokon* obsługuje dwór za Burbonów jak za cesarza. Jutro pójdziemy do wuja Cardot; mam nadzieję, że potrafiś się tam zachować jak należy; powiadam ci, to nasza ostatnia nadzieja.

Jan Hieronim Seweryn Cardot pochował od sześciu lat swoją żonę, z domu Husson, której, za czasu swojej świetności, dostawca dał sto tysięcy franków posagu w gotowiznie. Cardot, pierwszy subiekt *Złotego Kokona*, jednej z najstarszych firm paryskich, kupił ten zakład w r. 1793, w chwili gdy pryncypała jego zrujnowała *maximum*. Posag panny Husson pozwolił mu zrobić w dziesięć lat majątek niemal olbrzymi. Aby zapewnić świetną przyszłość dzieciom, wpadł na szczęśliwą myśl: umieścił trzysta tysięcy franków na dożywocie na głowę żony i własną, co mu dało trzydzieści tysięcy franków renty. Co się tyczy kapitałów, podzielił je między swoje dzieci na trzy schedy, po czterysta tysięcy każda. *Złoty Kokon*, posag najstarszej córki, dostał się w tej sumie Camusotowi⁶⁴. Poczciwina, blisko siedemdziesięcioletni, mógł tedy wydawać (i wydawał), nie szkodząc interesom dzieci, swoich trzydzieści tysięcy franków. W ten sposób, przywiązanie dzieci, którym powodziło się zresztą znakomicie, nie było zmaćcone żadną interesowną myślą.

Stary Cardot mieszkał w Belleville, w jednym z pierwszych domów nad Courtille. Zajmował tam na pierwszym piętrze, skąd rozciągał się widok na dolinę Sekwany, mieszkanie za tysiąc franków rocznie, ze światłem od południa i z wyłącznym użytkowaniem ogrodu; toteż niewiele troszczył się o kilku lokatorów zamieszkałych w tej obszernej willi. Zapewniwszy sobie przy kontrakcie, że w domu tym pozostanie do śmierci, żył dosyć skąpo, mając do usługi starą kucharkę i dawną pokojówkę nieboszczki pani Cardot, które spodziewały się zgarnąć po jego śmierci jakieś sześćset franków renty i wskutek tego nie kradły. Obie służące dbały bardzo o swego pana i były doń przywiązane tym więcej, że nie był zrzędny ani drobiazgowy. Mieszkanie urządzone przez nieboszczkę przetrwało w tym stanie od sześciu lat; staremu to wystarczało. Razem wzięwszy, nie wydawał ani tysiąca talarów rocznie; jadał w Paryżu pięć razy na tydzień, i wracał co wieczór o północy uprzywilejowaną dorożką, która stała przy rogatece Courtille. Kucharka miała na głowie jedynie śniadanie. Poczciwiec śniadał o jedenastej, po czym ubierał się, perfumował i jechał do Paryża. Zazwyczaj mieszcuchy sprzedają, kiedy obiadują poza domem: stary Cardot uprzedzał, kiedy miał jeść w domu.

Staruszek ten, pulchny, świeży, barczysty, silny, był zawsze, jak to mówią, wystrojony na ostatni guzik; czarne jedwabne pończochy, atlasowe gołąbkowe spodnie, biała pikowa kamizelka, olśniewająca bielizna, błękitny fraczek, fioletowe jedwabne rękawiczki, złote sprzączki u trzewików i spodni, wreszcie odrobina pudru i harcap związany czarną wstążką. Twarz jego znaczyła się krzaczastymi brwiami, pod którymi błyszcząły szare oczy, oraz kwadratowym, grubym i długim nosem, który dawał mu wygląd starego proboszcza. Fizjonomia ta dotrzymywała słowa. Stary Cardot należał w istocie do owej rasy jurnych staruchów, która znika z dnia na dzień i którą chętnie pokazywały powieści i komedie osiemnastego wieku. Wujaszek Cardot mówił strzeliście: „*Piękna pani!*”, odwoził dorożką samotne kobiety, oddawał się — jak mówił — na ich rozkazy po rycersku. Pod stateczną miną, pod siwymi włosami, krył starość zaprzątniętą jedynie przyjemnościami. W męskim towarzystwie śmiało głosił zasady Epikura i pozwalał sobie na trefności wcale ostre. Nie krzywił się, że zięć jego Camusot zaleca się do uroczej aktorki Koralii, bo on sam po kryjomu finansował pannę Florentynę, primabalerinę teatru Gaité. Ale to życie i te zasady nie przebijaly ani w jego domu, ani w jego obejściu. Poważny i grzeczny,

⁶⁴*Złoty Kokon, posag najstarszej córki, dostał się w tej sumie Camusotowi (...)* — por. Balzac, *Stracone złudzenia*. [przypis tłumacza]

wujaszek Cardot wydawał się niemal chłodny, tak dalece dbał o pozory: nawet dewotka nazwałaby go obłudnikiem. Godny ten jegomość osobliwie nienawidził księży; należał do stada głupców abonujących „Constitutionnel” i interesował się wielce rzekomymi odmowami pogrzebu. Ubóstwiał Woltera, mimo że jego ludzie to byli raczej Piron, Vadé, Collé. Oczywiście podziwiał Bérangera, którego nazywał wielce dowcipnie *arcykapłanem wyznania Lizetki*. Córki jego, panie Camusot i Protez, oraz jego dwaj synowie spadliby, jak to mówią, z księżycą, gdyby im ktoś objaśnił, co ich ojciec rozumie pod: „*śpiewać Alleluja*”. Ten roztropny starzec nie wspominał o swoim dożywociu dzieciom, które, widząc jego skromny tryb życia, myślały, że on się wyrzekł wszystkiego dla nich i otaczały go podwójną tkliwością i względami. Toteż czasem mawiał do synów:

— Nie stracie majątku, bo nie mam wam co zostawić.

Camusot, w którym widział pokrewną duszę i którego lubił na tyle, że go dopuszczał do swoich hulank, był jedynym wtajemniczonym w jego trzydzieści tysięcy renty. Camusot pochwał filozofię starego, który, jego zdaniem, zapewniwszy szczęście dzieciom i chlubnie dopełniwszy swoich obowiązków, miał prawo wesoło dokończyć życia.

— Widzisz, chłopcze — powiadał mu eks-właściciel *Złotego Kokona* — mogłem się drugi raz ożenić nieprawdą? Młoda żona dałaby mi dzieci... I ot. Florentyna kosztuje mnie taniej niż żona, nie nudzi mnie, nie da mi dzieci i nie przeje waszego majątku.

Camusot uwielbiał w Cardocie subtelny zmysł rodzinny, uważał go za wzór teściów.

— Umie — powiadał — połączyć dobro swoich dzieci z przyjemnościami, których tak naturalnym jest chcieć zakosztować na starość, skoro się strawiło życie w zaduchu sklepowym.

Ani Cardot, ani Camusotowie, ani Protezowie nie mieli pojęcia o egzystencji swej dawnej ciotki, pani Clapart. Stosunki rodzinne ograniczały się do oficjalnych zawiadomień w razie śmierci lub małżeństwa oraz biletów w dzień Nowego Roku. Duma pani Clapart umiała przemóc swą naturę jedynie dla dobra Oskara i w stosunku do pana Moreau, jedynego człowieka, który pozostał jej wierny w nieszczęściu. Nie nużyła Cardota ani swą obecnością, ani swymi prośbami; ale uczepiła się go jak nadziei, odwiedzała go raz na kwartał, mówiła mu o Oskarze, bratanku nieboszczki Cardot, i woziła go doń trzy razy w czasie wakacji. Za każdą wizytą starowina brał Oskara na obiad do restauracji, wieczorem do Gaité i odwoził go na ulicę de la Cerisaie. Raz, ubrawszy go całkiem na nowo, dał mu kubek i srebrne nakrycie wymagane jako wyprawka w kolegium. Matka Oskara starała się wmówić w pocziwca, że Oskar jest doń bardzo przywiązany, wciąż mu mówiła o tym kubku, o tym nakryciu i o ślicznym ubraniu, z którego została już tylko kamizelka. Ale te spryciarstwa więcej szkodziły niż pomagały Oskarowi w oczach starego wygi tak szczwanego jak wujaszek Cardot. Stary Cardot nigdy zbyt nie miłował swojej nieboszczki, chudej i rudej gidii, znał zresztą okoliczności małżeństwa nieboszczyka Husson z matką Oskara; nie myśląc o niej bynajmniej nic złego, wiedział wszakże, że Oskar był pogrobowcem: toteż uważał tego siostrzeńca za zupełnie obcego plemieniu Cardotów. Nie przewidując nieszczęścia, matka Oskara nie postarała się zadzierzgnąć bliższych węzłów między Oskarem a wujem, co mogła uczynić, wszczepiając kupcowi przywiązanie do bratanka od pierwszego dzieciństwa. Jak kobiety, które skupiają wszystko w uczuciu macierzyństwa, pani Clapart nie stawiała się w położeniu wuja Cardot, była przekonana że on się musi niezmiernie interesować tak rozkosznym dzieckiem, które, koniec końców, nosi nazwisko nieboszczki.

— Proszę pana, przyszła matka Oskara, panowego bratanka — rzekła pokojówka do pana Cardot, który przechadzał się w ogrodzie, czekając na śniadanie, świeżo ogolony i upudrowany przez swego balwierza⁶⁵.

— Dzień dobry, piękna pani — rzekł eks-kupiec jedwabny, kłaniając się pani Clapart i zawijając się w biały pikowy szlafrok. — He, he! Pani malec rośnie — dodał biorąc Oskara za ucho.

— Skończył szkoły i żałował bardzo, że jego drogi wujaszek nie był obecny przy rozdawaniu nagród Henryka IV, bo i on zyskał tam wzmiankę. Nazwisko Hussonów, które, mam nadzieję, będzie nosił godnie, było wymienione...

⁶⁵balwierz (daw.) — osoba pełniąca funkcje fryzjera, kosmetyczki i pielęgniarza zarazem, zajmująca się goleniem zarostu, strzyżeniem włosów, przygotowywaniem kąpeli itp., jak również wykonująca pospolite zabiegi medyczne, takie jak wyrywanie zębów czy upuszczanie krwi; także: cyrulik. [przypis edytorski]

— Tam do licha! — rzekł staruszek przystając. Pani Clapart, Oskar i on przechadzali się po tarasie koło drzewek pomarańczowych, mirtów i granatów. — I cóż dostał?

— Promocję — odparła z dumą matka.

— Ba, chłopak musi wziąć się w kupę, aby nadrobić stracony czas — wykrzyknął wujaszek. — Skończyć z promocją to niewiele. Zjecie śniadanie ze mną? — dodał.

— Jesteśmy na pańskie rozkazy — odparła pani Clapart. — Ach, drogi panie Cardot, cóż to za radość dla rodziców, kiedy dzieci dobrze zaczynają życie! Pod tym względem, jak pod innymi zresztą — rzekła poprawiając się — jest pan jednym z najszczęśliwszych ojców, jakich znam... W rękach pańskiego zacnego zięcia i pańskiej uroczej córki, *Złoty Kokon* został wciąż pierwszym zakładem w Paryżu. Pański pierworodny stoi od dziesięciu lat na czele najpiękniejszej kancelarii rejentalnej w Paryżu i ożenił się bogato. Młodszy spokrewnił się z najbogatszą drogerią. Ma pan wreszcie zachwycające wnuczki. Jest pan głową czterech wielkich rodów... Zostaw nas, Oskarze, idź obejrzeć ogród, tylko nie ruszaj kwiatów.

— Ależ on ma osiemnaście lat — rzekł wuj Cardot, uśmiechając się z tej przestrogi, która robiła z Oskara dziecko.

— Ach, tak, drogi panie Cardot; otóż, doprowadziwszy go do tych lat, nie garbatym ani kaleką, zdrowym na duchu i ciele, poświęciwszy wszystko, aby jemu dać wychowanie, byłoby bardzo ciężko nie ujrzeć go na drodze do kariery.

— Ale ten pan Moreau, przez którego uzyskała pani stypendium, potrafi nim pokierować — rzekł Cardot z obłudną dobroduszością.

— Pan Moreau może umrzeć — rzekła — zresztą poróżnił się beznadziejnie ze swoim panem, hrabią de Sérisy.

— Tam do licha!... Hm, droga pani, widzę dokąd pani zmierza...

— Nie, panie Cardot — rzekła matka Oskara, przerywając w pół słowa starcowi, który, przez wzgląd na *piękną damę*, powstrzymywał odruch niehumoru, właściwy człowiekowi, któremu przerwa, gdy mówi. — Niestety! Nie wie pan nic o cierpieniach matki, która od siedmiu lat zmuszona jest czerpać dla syna sześćset franków z tysiąca ośmiuset mężowskiej pensyjki... Tak, proszę pana, oto cały nasz majątek. Toteż co ja mogę uczynić dla mego Oskara? Pan Clapart tak nienawidzi tego biednego chłopca, że niepodobna mi go trzymać w domu. Biedna kobieta, sama na świecie, czy nie powinna w tym położeniu przyjść się poradzić jedyne go krewnego, jakiego jej syn ma na ziemi?

— Ma pani słuszność — odparł Cardot. — Ale nigdy mi pani nic nie mówiła o tym wszystkim...

— Och, proszę pana — odparła dumnie pani Clapart — pan jest ostatnim, któremu bym odsłoniła rozmiary mej nędzy. Wszystko to moja wina, wzięłam męża, którego nieudolność przekracza wszelką miarę. Och! Jestem bardzo nieszczęśliwa...

— Pani — rzekł poważnie staruszek — niech pani nie płacze. Nie mogę patrzeć, jak piękna pani płacze... Ostatecznie, pani syn nazywa się Husson i gdyby moja droga nieboszczka żyła, zrobiłaby coś dla tego, który nosi nazwisko jej ojca i brata...

— Bardzo kochała brata — wykrzyknęła matka Oskara.

— Ale ja rozdałem cały mój majątek dzieciom, które nie mają już czego spodziewać się po mnie — ciągnął staruszek. — Podzieliłem między nie dwa miliony, które miałem, bo chciałem je widzieć szczęśliwe i cieszące się całym majątkiem jeszcze za mego życia. Zachowałem sobie jedynie dożywocie, a w moim wieku człowiek ma swoje przyzwyczajenia... Czy pani wie, na jaką drogę trzeba pchnąć tego chłopaka? — rzekł, przywołując Oskara i biorąc go za ramię. — Niech go pani pošle na prawo, zapłacę za niego wpisy i egzaminy. Niech go pani umieści w jakiej kancelarii, niech się tam wyuczy wszystkich kruczków; jeżeli się będzie dobrze prowadził, jeżeli się odznaczy, jeżeli będzie lubił swój zawód, jeżeli będzie żył jeszcze, każde z moich dzieci pożyczyci mu czwartą część ceny kupna kancelarii; ja mu pożyczę na kaucję. Do tego czasu potrzebuje pani tylko go wyżywić i ubrać; będzie musiał nieco przyciągać paska, ale nauczy się życia. A, ba! Ja wyruszyłem z Lyonu z dwoma ludwikami, które mi dała moja babka, przyszedłem pieszo do Paryża i oto jestem. Post to rzecz bardzo zdrowa. A więc, młodzieńcze, dyskrekcja, uczciwość, praca i dojdiesz do czegoś! To wielka satysfakcja zrobić samemu majątek; kiedy się zachowało zęby, można się najeść do syta na starość, śpiewając jak ja od czasu do czasu „Alleluja!”. Pamiętaj moje słowa: uczciwość, praca i dyskrekcja.

— Słyszysz, Oskarze? — rzekła matka. — Wuj streszcza ci w trzech słowach wszystkie moje rady; ostatnie zwłaszcza powinieneś sobie wyryć ognistymi głoskami.

— Och, już to uczyniłem — rzekł Oskar.

— A więc, podziękujże wujowi, czy nie słyszysz, że bierze na siebie twoją przyszłość? Możesz zostać adwokatem w Paryżu.

— Nie rozumie wielkości swoich losów — odparł staruszek, widząc ogłupiałą minę Oskara — ano cóż, wychodzi z kolegium. Słuchaj, ja nie jestem gaduła — dodał. — Pamiętaj, że w twoim wieku uczciwość zdobywa się jedynie, kiedy się umie opierać pokusom, w takim mieście zaś jak Paryż pokusy są na każdym kroku. Mieszkać u matki na poddaszu, chodź prosto na wykłady, stamtąd do biura, kuj cały wieczór i cały dzień, ucz się w domu: zostań w dwudziestu dwu latach drugim dependentem, a w dwudziestym czwartym roku pierwszym; zgryź prawo, a przyszłość masz w kieszeni. A, ba! Gdyby ci się to nie podobało, mógłbyś wstąpić do mego syna rejenta i zostać jego następcą... tak więc praca, cierpliwość, dyskrecja, uczciwość: oto twoje szczeble.

— I dałby Bóg, aby pan żył trzydzieści lat i oglądał swoje piąte dziecko, spełniające wszystko, czego się spodziewamy po nim — wykrzyknęła pani Clapart, biorąc pana Cardot za rękę i ściskając ją gestem godnym jej młodości.

— Chodźmy na śniadanie — odparł dobry staruszek, prowadząc Oskara za ucho.

Przy śniadaniu wuj Cardot przyglądał się swojemu bratankowi nieznacznie i zauważył, że nie ma pojęcia o życiu.

— Niech mi go pani przysyła od czasu do czasu — rzekł do pani Clapart na pożegnanie — ja go pani wychowam.

Ta wizyta ukoiliła zgryzoty biednej kobiety, która nie spodziewała się tak pomyślnego rezultatu. Przez dwa tygodnie prowadziła Oskara na spacer, nie odstępując go niemal na krok, i w ten sposób doczekała końca października. Pewnego rana Oskar ujrzał straszliwego rządcę, który zaszedł biedną rodzinę przy śniadaniu złożonym z salatkii śledziowej i szklanki mleka na deser.

— Mieszkamy w Paryżu i nie żyjemy tu tak jak w Presles — rzekł Moreau, który chciał w ten sposób oznajmić pani Clapart zmianę zaszłą w jego stosunkach z winy Oskara — ale mało będę siedział w mieście. Wszedłem w spółkę z ojcem Léger i Margueronem z Beaumont. Handlujemy majątkami ziemskimi, na początek kupiliśmy Persan. Jestem głową tej spółki, która zgromadziła milion, bo ja zaciągnąłem pożyczkę na mój kawałek ziemi. Kiedy wywącham jakiś interes, badamy go z Légerem; moi wspólnicy mają każdy po czwartej części, a ja połowę zysku, bo ja ponoszę wszystkie trudy, toteż będę w ciągłych rozjazdach. Żona mieszka w Paryżu, w dzielnicy du Roule, bardzo skromnie. Kiedy zrealizujemy jakieś interesy, kiedy będziemy już ryzykowali tylko nasze zyski, jeżeli będziemy zadowoleni z Oskara, może go zatrudnimy.

— Widzę, drogi przyjacielu, że katastrofa spowodowana przez moje nieszczęsne dziecko stanie się z pewnością początkiem twego świetnego losu, bo doprawdy energia twoja i zdolności marnowały się w Presles.

Następnie pani Clapart opowiedziała wizytę u wuja Cardot, aby pokazać panu Moreau, że ona i jej syn mogą nie być mu już ciężarem.

— Ma słuszność stary — odparł eks-rządca — trzeba trzymać Oskara żelazną ręką, a z pewnością zostanie rejentem lub adwokatem. Ale niech nie zbacza ani na krok z wytkniętej drogi. A, mam coś dla niego. Przy handlu majątkami ma się dużo spraw; mówiono mi o pewnym adwokacie, który kupił *nagi tytuł*, to znaczy kancelarię bez klienteli. To chłopak twardy jak sztaba żelazna, roboczy jak koń, piekielnej energii: nazywa się Desroches; oddam mu wszystkie nasze sprawy pod warunkiem, aby mi wziął krótko Oskara. Zaproponuję, aby go wziął do siebie za dziewięćset franków, ja dam trzysta, tak więc syn będzie panią kosztował tylko sześćset, i polecę go gorąco pryncypałowi. Jeżeli chłopak chce zostać człowiekiem, zostanie nim pod tą ręką; wyjdzie rejentem albo adwokatem.

— Oskarze, podziękujże panu Moreau, stoisz jak kołek! Nie każdy młody chłopak, który narobi głupstw, ma szczęście spotkać przyjaciół, którzy się nim interesują jeszcze, choć mieli przez niego przykrość...

— Najlepszy sposób pojednania się ze mną — rzekł Moreau, ściskając rękę Oskara — to pracować niezmordowanie i dobrze się prowadzić...

W dziesięć dni później, eks-rządca przedstawił Oskara panu Desroches, adwokatowi świeżo zamieszkałemu przy ulicy Bethisy, w obszernym mieszkaniu w głębi ciasnego dziedzińca, za skromną stosunkowo cenę. Desroches, człowiek lat dwudziestu sześciu, twarzo wychowany przez ojca, z biednej rodziny, ujrzał swój własny obraz w losie Oskara; zajął się nim tedy, ale tak jak on był zdolny zająć się kimkolwiek, z pozorami surowości, która była jego cechą. Widok tego suchego i chudego człowieka, z niezdrową cerą, z włosami na jeża, zwięzłego w mowie, z przenikliwym okiem, ponurego mimo swej żywości, zmroził biednego Oskara.

— Tu pracuje się noc i dzień — rzekł adwokat z głębi swego fotela i zza długiego stołu, gdzie papiery narosły w istne szczyty alpejskie. — Panie Moreau, nie ubijemy go panu, ale trzeba, aby trzymał krok. Godeschal! — krzyknął.

Mimo że była niedziela, pierwszy dependent ukazał się z piórem w ręku.

— Panie Godeschal, oto praktykant, o którym panu mówiłem i którym pan Moreau się bardzo interesuje. Będzie jadł z nami. Zajmie izdebkę przy pańskim pokoju. Odmierzy mu pan czas na drogę do uniwersytetu i na powrót, tak aby nie tracił ani pięciu minut. Będzie pan czuwał, aby się nauczył kodeksu i aby poznał swój przedmiot; to znaczy, kiedy skończy zajęcia w kancelarii, da mu pan autorów do czytania: słowem, ma być pod pańskim bezpośrednim kierunkiem, a ja będę miał nad tym oko. Chcę z niego zrobić to, czym pan się zrobiłeś sam: tegim szefem kancelarii w chwili, gdy mu przyjdzie złożyć adwokacką przysięgę. Idź z Godeschalem, młody przyjacielu, pokaże ci twoje legowisko, zadomowisz się.

— Widzi pan Godeschala?... — dodał Desroches, zwracając się do pana Moreau. — To chłopak, który tak jak ja nie ma nic: to brat Mariety, słynnej tancerki, która ciuła dla niego, aby miał za co traktować o kancelarię za dziesięć lat. Wszyscy moi dependenci to zuchy, które muszą liczyć tylko na swoich dziesięć palców. Toteż moich pięciu dependentów i ja pracujemy tyle co dwunastu innych! Za dziesięć lat będę miał najpiękniejszą klientelę w Paryżu. Tutaj żyje się dla spraw i dla klienteli! I to ludzie zaczynają wiedzieć. Wziąłem Godeschala od mego kolegi Dervilla: był tam tylko drugim dependentem i to od dwóch tygodni; ale poznaliśmy się tam, w tej wielkiej kancelarii. U mnie Godeschal ma tysiąc franków, stół i mieszkanie. Ten chłopak to drugi ja, jest niestrudzony! Lubię tego chłopca! On umiał żyć za sześćset franków, tak jak ja, kiedy byłem dependentem. Czego przede wszystkim żądam, to uczciwości bez plamki; kto umie jej dochować w ubóstwie, ten będzie człowiekiem. Za najmniejszym przekroczeniem tego rodzaju dependent wylatuje z mojej kancelarii.

— Widzę, że chłopak jest w dobrej szkole — rzekł Moreau.

Całe dwa lata Oskar żył przy ulicy Bethisy, w jaskini pieniactwa, bo jeśli to przestarałe wyrażenie nadawało się kiedy, to z pewnością dla kancelarii Desrocha. Drobiazgowy i inteligentny dozór trzymał go w ryzach pracy i godzin tak ściśle, że życie jego w Paryżu podobne było do życia mnicha.

O piątej rano, zimą czy latem, Godeschal budził się. Schodził z Oskarem do kancelarii dla oszczędzenia ognia w zimie; zastawali zawsze pryncypała na nogach, przy pracy. Oskar załatwiał ekspedycję i przygotowywał swoje kursy, ale przygotowywał je niesłychanie gruntownie. Godeschal, a często sam pryncypał, wskazywali swemu uczniowi autorów do przewertowania, podsuwali mu trudności. Oskar porzucał artykuł kodeksu, dopiero skoro go zgłębił do dna i skoro zadowolili kolejno Godeschala i pryncypała, którzy brali go na egzamin ściślejszy i obszerniejszy niż na uniwersytecie. Wróciwszy z kursów, gdzie bawił krótko, znów siadał do biurka w kancelarii, znów pracował, czasem szedł do sądu, był wreszcie na zawołanie straszliwego Godeschala, aż do obiadu. Obiad, zwłaszcza obiad pryncypała, składał się z wielkiego talerza mięsa, talerza jarzyny i sałaty. Na deser kawałek sera. Po obiedzie, Oskar i Godeschal wracali do kancelarii i pracowali do wieczora. Raz na miesiąc Oskar szedł na śniadanie do wuja Cardot, a niedziele spędzał u matki. Od czasu do czasu Moreau, kiedy zaszedł do kancelarii w interesach, brał Oskara na obiad do Palais-Royal i sprawiał mu bal, prowadząc go gdzieś do teatru. Desroches i Godeschal tak gruntownie tępił w Oskarze jego słabość do elegancji, że nie myślał już o stroju.

— Dobry dependent — powiadał Godeschal — powinien mieć dwa czarne fraki (jeden nowy, drugi stary) czarne spodnie, czarne pończochy i trzewiki. Buty są za drogie. Na buty jest czas, kiedy się jest adwokatem. Dependent nie powinien razem wydawać

więcej niż siedemset franków. Nosi się uczciwe koszule z grubego płótna. Ba! Kiedy się wychodzi z punktu *zero*, aby dojść do fortuny, trzeba umieć się ograniczyć. Patrz na pana Desroches! Żył, jak my żyjemy, i dziś jest czymś.

Godeschal świecił własnym przykładem. O ile głosił najściślejsze zasady honoru, dyskrecji, uczciwości, wykonywał je bez popisu, tak jak oddychał, jak chodził. To były naturalne funkcje jego duszy, jak chód i oddychanie są funkcjami organów. W półtora roku po nastaniu Oskara któryś dependent popełnił drugi raz drobną omyłkę w rachunkach podręcznej kasy. Godeschal rzekł doń przy całej kancelarii:

— Mój drogi Gaudet, zabierz się stąd dobrowolnie, iżby nie mówiono, że cię pryncypał oddalił. Jesteś albo roztargniony, albo nieścisły, a na najmniejszy błąd w tej mierze nie ma tu miejsca. Pryncypał nie dowie się o niczym, oto wszystko, co mogę dla ciebie zrobić jako kolega.

W dwudziestym roku Oskar był trzecim dependentem pana Desroches. Nie zarabiał jeszcze nic, ale miał życie i mieszkanie, bo pełnił czynności drugiego dependenta. Desroches miał dwóch szefów kancelarii, a drugi ugiął się pod brzemieniem pracy. Kończąc drugi rok prawa, Oskar już umiał więcej niż wielu licencjatów, orientował się w trybunale i stawał w drobnych sprawach. Desroches i Godeschal byli zeń zadowoleni. Jedynie — mimo że zrobił się niemal rozsądny — zdradzał popęd do zabawy i chętkę błyszczenia, którą powściągała surowa dyscyplina i wytężona praca. Moreau, zadowolony z postępów chłopca, sfołgował ze swej surowości. Kiedy w lipcu 1825 Oskar przeszedł jednogłośnie ostatnie egzaminy, Moreau dał mu pieniędzy na wykwinniejsze ubranie. Pani Clapart, szczęśliwa i dumna z syna, gotowała wspaniałą wyprawę dla przyszłego licencjata, dla przyszłego drugiego dependenta. W ubogich rodzinach podarki przybierają zawsze praktyczny charakter. Z początkiem kursów, w listopadzie, Oskar dostał pokój drugiego dependenta, którego wreszcie zajął miejsce, miał osiemset franków pensji, stół i mieszkanie. Toteż wuj Cardot, który zasięgał potajemnie informacji o swoim bratanku, przyrzekł pani Clapart umożliwić Oskarowi nabycie kancelarii, jeżeli pójdzie tak dalej.

Mimo tak statecznych pozorów, Oskar Husson staczał w głębi duszy ciężkie walki. Chciał chwilami rzucić życie tak sprzeczne z jego skłonnościami i charakterem. Uważał, że galernicy szczęśliwsi są od niego. Gnieciony tą żelazną obrożą, miał ochotę uciec, kiedy się porównywał na ulicy z dobrze ubranymi młodymi ludźmi. Trawił go szalony pęd do kobiet; rezygnował, ale popadał w głęboki wstręt do życia. Podtrzymywał go przykład Godeschala; raczej wleczono go, niż żeby sam był zdolny wytrwać na tak ciężkiej drodze. Godeschal, który obserwował Oskara, miał za zasadę nie narażać swego wychowanka na pokusy. Najczęściej Oskar był bez pieniędzy lub miał ich tak mało, że nie mógł sobie pozwolić na żaden wybryk. W ciągu tego ostatniego roku zacny Godeschal zabrał parę razy Oskara na hulankę, ponosząc koszt, rozumiał bowiem, że trzeba popuścić sznura tej biednej przywiązanej kózce. Te wybryki, jak je nazywał surowy szef kancelarii, pomagały Oskarowi znosić istnienie, bo nie było mowy o zabawie u wuja Cardot, a tym mniej u matki, która żyła jeszcze skromniej niż Desroches. Moreau nie mógł, jak Godeschal, spoufalić się z Oskarem; może ten szczerzy opiekun młodego Husson posługiwał się Godeschalem, aby wprowadzić biednego chłopca w tajniki życia. Oskar, który nabył cnoty dyskrecji, rozumiał, wchodząc w świat interesów, ogrom błędu popełnionego w owej nieszczęsnej podróży *kukulką*; ale bezmiar jego zdławionych zachcianek, nieopatrzność młodości, mogły go zawsze jeszcze pociągnąć. Bądź co bądź, w miarę jak poznawał świat i jego prawa, rozsądek jego krzepił się i byle tylko Godeschal nie stracił go z oczu, Moreau pochlebiał sobie, że wyprowadzi na ludzi syna pani Clapart.

— Jakże tam z chłopcem? — spytał handlarz ziemi, wróciwszy z jakiejś podróży, która go trzymała kilka miesięcy poza Paryżem.

— Wciąż nadto próżności — odparł Godeschal. — Daje mu pan ładne ubranie i ładną bieliznę, ma żaboty, toteż lalusz biega w niedziele do Tuileries szukać przygód. Cóż pan chce? Młodość. Dręczy mnie, abym go przedstawił mojej siostrze, gdzie by spotkał kapitalne towarzystwo: aktorki, tancerki, fircyków, ludzi, którzy przejadają swój majątek... On nie ma duszy adwokackiej, boję się tego. Ale mówi wcale nieźle, mógłby być obrońcą, mógłby bronić spraw porządnie przygotowanych...

W listopadzie r. 1825, w chwili gdy Oskar Husson objął stanowisko i przygotowywał swoją tezę, nastąpił do Desroches'a czwarty dependent, aby zapłacić próżnię spowodowaną awansem Oskara.

Ten czwarty dependent, nazwiskiem Fryderyk Marest, kierował się na drogę sądową i kończył trzeci rok prawa. Był to, wedle informacji zdobytych przez policję kancelarii, ładny chłopak dwudziestotrzyletni, posiadający dwanaście tysięcy funtów rocznie wskutek śmierci bezżennego wuja. Matka jego była wdową po bogatym handlarzu drzewa. Przyszły prokurator, ożywiony chwalebą żądzą poznania swego rzemiosła w najdrobniejszych szczegółach, wstąpił do Desroches'a z zamiarem studiowania procedury, tak aby móc zająć miejsce głównego dependenta w ciągu dwóch lat. Miał zamiar odbyć praktykę adwokacką w Paryżu, aby przebyć stopień do stanowiska, którego nie odmówiono by bogatemu chłopcu. Zostać gdziekolwiek prokuratorem w trzydziestym roku życia to była cała jego ambicja. Mimo że ów Fryderyk był stryjecznym bratem Jerzego Marest, ponieważ mistyfikator Pietrkowego dyliżansu zdradził swoje nazwisko jedynie panu Moreau, młody Husson znał go wyłącznie pod przydomkiem *Jerzego*, i to nazwisko Marest nie mogło mu niczego przypomnieć.

— Panowie — rzekł Godeschal przy śniadaniu, zwracając się do dependentów — oznajmiam wam przybycie nowego palestranta; że zaś jest bogaty jak Krezus, mam nadzieję, że go nabierzemy na wspaniałe oblewanie...

— Dawajcie księgę — rzekł Oskar, patrząc na pisarczyka — i bądźmy poważni.

Pisarczyk wdrapał się jak wiewiórka na półki, aby wziąć rejestr położony na najwyższej półce, iżby tam obrastał kurzem.

— Ma portki — rzekł pisarczyk, pokazując książkę.

Objaśnijmy ten wiekuisty koncept z Księgą, powszechnie wówczas uprawiany w kancelariach. *Nie ma jak śniadanie palestrantów, obiad poborców i wieczerza panów*, to stare porzekadło z XVIII wieku zostało dotąd prawdziwe, przynajmniej co się tyczy palestry, dla każdego, kto spędził parę lat życia na studiowaniu tajników procedury u adwokata lub hipoteki u rejenta. W świecie palestranckim, gdzie tyle się pracuje, lubią zabawę tym goręcej, iż jest rzadka, ale zwłaszcza lubią namiętnie rozkosz mistyfikacji. To tłumaczy do pewnego stopnia rolę Jerzego Marest w Pietrkowym dyliżansie. Najpośpniejszego dependenta wciąż nurtuje potrzeba kawałów i figlów. Instynkt, z jakim w świecie tych młodych gryzpiórków chwyta się i rozwija mistyfikację, żart, jest doprawdy zadziwiający; coś równego znalazłoby się chyba u malarzy. Pracownia i kancelaria biją pod tym względem aktorów.

Kupując „nagą” koncesję, Desroches zaczął niejako nową dynastię. Narodziny te przebrały ciąg tradycji tyjących nowicjuszy. Toteż, objąwszy apartament, w którym nigdy nie gryzmołono aktów, Desroches ustawił tam nowe stoły, białe kartony z niebieskim grzbietem, wszystko nowe. Kancelaria jego składała się z dependentów wziętych z rozmaitych innych kancelarii, nieznających się między sobą i jak gdyby zdziwionych, że się znaleźli razem. Godeschal, który odbył praktykę u Dervilla, nie był człowiekiem, który by pozwolił przepaść cennej tradycji *oblewania*. Oblewanie jest to śniadanie, jakie wszelki nowicjusz winien jest pracownikom kancelarii, do której wchodzi. Otóż w epoce, gdy młody Oskar nastąpił do kancelarii, w pierwszym półroczu instalacji Desroches'a, pewnego zimowego wieczora, gdy wcześniej uporano się z robotą, w chwili gdy dependenci grzali się przy kominku przed wyjściem, Godeschal poddał myśl, aby sporządzić rzekomy rejestr architrikino-palestrancki, wysoce starożytny, ocalony z burz Rewolucji, pochodzący od prokuratora z Châtelet Bordina, bezpośredniego poprzednika Sauvagnesta, adwokata, od którego Desroches kupił swój przywilej. Zaczęto od szukania u antykwarzy jakiegoś rejestru datującego z osiemnastego wieku, pięknie oprawnego w pergamin, na którym by widniało orzeczenie Wielkiej Rady. Znalazłszy taką książkę, wywłócono ją w kurzu, w piecu, w kominku, w kuchni; zostawiono ją nawet w ubikacji, którą dependenci nazywają *salą obrad*, i uzyskano patynę zdolną oczarować antykwarza, rysy piekielnie starożytne, rogi zjedzone tak, iż można by myśleć, że szczury urządziły z nich sobie biesiadę. Brzegi pobrudzone ze zdumiewającą dokładnością. Skoro raz książkę doprowadzono do należytego stanu, oto parę cytatów, które najtępszej głowie wytłumaczą cel, na jaki kancelaria Desroches'a przeznaczała tę księgę. Sześćdziesiąt pierwszych kart wypełnionych było zmyślnymi protokołami. Na pierwszej stronicy czytało się:

„W imię Ojca y Syna y Ducha Świętego. Tak niech się stanie. Dnia dzisiejszego, w święto naszej pani Świętej Genowefy, patronki miasta Paryża, pod którego wezwanie oddali się od roku 1525 kleryki tej kancelarii, my podpisani kleryki y podkleryki kancelarii mistrza Hieronima Sebastiana Bordin, sukcesora nieboszczyka Guerbet, za swego żywota prokuratora w Châtelet, uznaliśmy potrzebę, w iakiej znaleźliśmy się, zastąpienia regestrów y aktów installacji kleryków owej słynnej kancelarii, znamienitej członkini królestwa Palestry, który to regestr okazał się pełen wskutek wciągnięcia aktów naszych drogich y ukochanych poprzedników, y uprosiliśmy Pieczętarza Archiwów Sądowych, aby go dołączył do regestrów innych kancelarii y udaliśmy się wszyscy na mszę do parafii Św. Seweryna, aby uczcić inaugurację tego naszego nowego rejestru.

Dla stwierdzenia czego podpisaliśmy wszyscy: Malin, naczelny kleryk; Grevin, drugi kleryk; Atanazy Feret, kleryk; Jakób Huet, kleryk; Regnault de Saint-Jean-d'Angely, kleryk; Bedau, piszczyk, W roku Pańskim 1787.

Po wysłuchaniu mszy św., udaliśmy się do la Courtille, y wspólnym sumptem urządziliśmy tam grzeczne śniadanie, które skończyło się aż o siódmej rano”.

Było to cudownie wypisane. Nawet *biegły* przysięgłby, że to pismo datuje z osiemnastego wieku. Następowało potem dwadzieścia siedem aktów przyjęcia; ostatni z nieszczęsnego roku 1792. Po czternastoletniej luce, regestr zaczynał się w r. 1806, od nominacji Bordina na adwokata przy trybunale Sekwany pierwszej instancji. A oto tekst, który oznajmiał odbudowanie królestwa Palestry z przyległościami:

„Bóg w swojej łasce zechciał, aby mimo straszliwych burz, które srożyły się nad Francją, przeobrażoną w wielkie cesarstwo, szacowne archiwa wielce znamienitej kancelarii mistrza Bordin ocalały. My, podpisani dependenci bardzo godnego, bardzo cnotliwego mistrza Bordin, nie wahamy się przypisać tego niesłychanego ocalenia (gdy tyle aktów, dokumentów i przywilejów przepadło) opiece Świętej Genowefy, patronki tej kancelarii, jak również czci, jaką ostatni z dobrych prokuratorów dawnego czasu świadczył starym zwyczajom i obyczajom. Niezdolni rozstrzygnąć, jaki jest udział świętej Genowefy a mistrza Bordin w owym cudzie, postanowiliśmy udać się do świętego Szczepana z Góry, wysłuchać tam mszy, odprawionej przy ołtarzu tej świętej pasterki, która nam zsyła tyle dojnych krów, i ofiarować śniadanie naszemu pryncypałowi w nadziei, że pokryje jego koszta.

Podpisali: Oignard, pierwszy dependent, Poidevin, drugi dependent; Proust, dependent; Brignolet dependent; Derville, dependent, Augustyn Coret, piszczyk.

W kancelarii, 10 listopada 1806”.

„Nazajutrz o trzeciej popołudniu, podpisani dependenci stwierdzają tu swoją wdzięczność dla swego przezacnego patrona, który ich uraczył u imię Rolanda, traktiernika przy ulicy Husard, przedniemi winami z trzech krain Bordeaux, Szampanii i Burgundii, i potrawami osobliwie smakowitymi, od czwartej popołudniu aż do ósmej. Była kawa, lody, likiery w obfitości. Ale obecność patrona nie pozwoliła śpiewać *laudes* w pieśniach palestranckich. Żaden dependent nie przekroczył granic milej wesołości, albowiem godny, czcigodny i hojny patron przyrzekł zaprowadzić swoich dependentów

na Talmę w *Brytanikusie* do Komedii Francuskiej. Niech długo żyje mistrz Bordin!... Niech Bóg zsyła swoje łaski na jego czcigodną głowę! Oby mógł drogo sprzedać tak szacowną kancelarię! Oby bogaci klienci pchali mu się w ręce! Oby płacono mu rachunki bez zwłoki! Oby nasi patroni mogli mu być podobni! Oby był zawsze kochany przez dependentów nawet gdy go już nie będzie!”

Następowało trzydzieści sześć protokółów przyjęcia dependentów, rozmaitym pismem i atramentem, z wyrażeniami, podpisami i pochwałami jadła i napitku, które dowodziły wyraźnie, że protokoły sporządzało się i podpisywało na miejscu, *inter pocula*⁶⁶.

Wreszcie, pod datą czerwca 1822, w epoce złożenia przysięgi przez Desroches’a, znajdowało się, co następuje:

„Ja, podpisany, Franciszek Klaudiusz Maria Godeschal, powołany przez mistrza Desroches do spełniania trudnych funkcji szefa kancelarii, której klientelę trzeba było stworzyć, dowiedziawszy się od mistrza Derville, u którego pracowałem dotąd, o istnieniu słynnych archiwów architrikliny-palestranckich, słynnych w trybunale, prosiłem naszego łaskawego patrona, aby je wyprosił u swego poprzednika, zależało bowiem na tym, aby odnaleźć ten dokument noszący datę roku 1787, który się wiąże z innymi archiwami złożonymi w trybunale, których istnienie potwierdzili nam panowie Terrasse i Duclos, archiwiści, przy pomocy których to archiwów dochodzi się aż do roku 1525, znajdując co do obyczajów i kuchni palestranckiej wskazówki historyczne wysokiej wartości.

Dopełniwszy tego poszukiwania, kancelaria weszła w posiadanie owych świadectw czci, jaką nasi poprzednicy stale oddawali *boskiej* flaszki i dobrej kuchni.

Zaczem, dla zbudowania naszych następców i nawiązania łańcucha czasów i kubków, zaprosiłem panów Doublet, drugiego dependentę; Vassala, trzeciego dependentę; Herissona i Grandemain, dependentów, oraz Dumetsa, pisarczyka, na śniadanie w przyszłą niedzielę pod *Czerwonego Konia*, na wybrzeżu św. Bernarda, gdzie uświetymy zdobycz tej księgi zawierającej konstytucję naszych gardzieli.

Tejże niedzieli, 27 czerwca, wypito 12 butelek rozmaitych win, uznanych za przednie. Zauważono dwa melony, paszteciki z *ius romanum*⁶⁷, pieczeń wołową, kruche ciasto *cum grzybibus*⁶⁸. Ponieważ panna Marieta, znamienita siostra pierwszego dependentę i primaballerina królewskiej akademii muzyki i tańca, oddała do rozporządzenia kancelarii odpowiednią ilość foteli na ten wieczór, wciąga się ten akt hojności do protokołu. Co więcej, uchwalono, że dependentę udadzą się gremialnie do tejże damy, aby jej podziękować i oświadczyć, że, przy pierwszym swoim procesie, skoro diabeł ześle jej takowy, zapłaci tylko wyłożone koszta, co się stwierdza niniejszym aktem.

Godeschal został obwołany ozdobą palestry, a zwłaszcza dobrym chłopem. Oby człowiek, który wyprawia tak piękne traktamenty, mógł rychło traktować o kupno kancelarii”.

Były tam plamy z wina, z pasztetu oraz podpisy podobne do rac ognistych. Aby uprzytomnić cechy prawdy, jakie umiano dać temu rejestrowi, wystarczy przytoczyć protokół przyjęcia Oskara.

⁶⁶*inter pocula* (łac.) — dosł. między kubkami; w trakcie spotkania przy alkoholu. [przypis edytorski]

⁶⁷*ius romanum* (łac.) — prawo rzymskie. [przypis edytorski]

⁶⁸*cum grzybibus* (łac., żart.) — z grzybami. [przypis edytorski]

„Dziś w poniedziałek, 25 listopada 1822, po posiedzeniu, które się odbyło wczoraj przy ulicy de la Cerisaie, w dzielnicy Arsenалу, u pani Clapart, matki aspiranta do palestry, Oskara Husson, my podpisani oświadczamy, że uczta recepcyjna przeszła nasze oczekiwanie. Złożyły się na nią rzodkiewki, korniszony, śledziki, masło i oliwki na zakąskę, smakowita zupa ryżowa dobrze świadcząca o macierzyńskiej troskliwości, poznaliśmy w niej bowiem rozkoszny smak drobiu, z zeznań zaś podejmującego dowiedzieliśmy się, że istotnie dróbka pięknej gąski przyrządzonej staraniem pani Clapart zostały sprawiedliwie wmieszane do gospodarskiego rosółu, ze starannością, która jedynie w domowej kuchni spotykaną bywa.

*Item*⁶⁹, pieczone otoczone morzem galarety, splecionej przez matkę pomienionego.

Item, ozór wołowy z pomidorami, rodzący na licach pomidorowy rumieniec szczęścia.

Item, potrawka z gołąbków, o smaku pozwalającym mniemać, że anioły czuwały nad jej wykonaniem.

Item, ryńka makaronu w obliczu garnuszków kremu czekoladowego.

Item, deser składający się z jedenastu smakowitych dań, między którymi, mimo stanu pijaństwa, w jaki szesnaście butelek pierwszorzędnych win nas wprawilo, zauważyliśmy kompot z brzoskwiń, pełen dostojnej i szlachetnej delikatności.

Wina rusyłońskie i rodańskie pobiły na głowę szampana i burgunda. Butelka maraskino i kirszu pogrążyły nas, mimo znakomitej kawy, do reszty w stanie winnej ekstazy; takiej, że jeden z nas, imć Herisson, znalazł się w Lasku Bulońskim myśląc, że jest wciąż na bulwarze du Temple, a Jacquinaut, piszczyk czternastolatek, zwracał się do dam liczących po lat pięćdziesiąt siedem, biorąc je za kobiety lekkich obyczajów, co akt niniejszy stwierdza.

Istnieje w naszych statutach surowo przestrzegane prawo, mianowicie aby pozwalać aspirantom do palestry dostrajać wspaniałość swojej uczty recepcyjnej do swego majątku, wiadomo bowiem, że nikt nie poświęca się Temidzie, kapiąc od złota, i że wszelki dependent jest surowo trzymany przez swoich rodziców. Toteż stwierdzamy z najwyższą pochwałą postępek rzeczownej pani Clapart, wdowy *primo voto*⁷⁰ po panu Husson ojcu nowo przyjętego, i orzekamy, iż godzien jest wiwatów, które wzniesiono przy deserze. Podpisaliśmy wszyscy”.

Trzech dependentów wzięto już na tę mistyfikację i trzy rzeczywiste przyjęcia stwierdzono w tej imponującej księdze.

W dniu przybycia każdego neofity pisarczyk kładł na jego miejscu, na teczce, archiwa architrikino-palestranckie. Dependenci cieszyli się widokiem, jaki przedstawiała fizjonomia nowo przybyłego, gdy studiował te jowialne karty. *Inter pocula* nowo przyjęty dowiadywał się o sekrecie tej palestranckiej farsy, a ta wiadomość budziła w nim zrozumiałą chęć wzięcia na bas swoich następców.

Każdy może sobie tedy wyobrazić fizjonomię, jaką przybrali czterej dependenci na ten okrzyk Oskara, który z kolei stał się „nabierającym”.

— Dawać księgę!

W dziesięć minut potem piękny młodzieniec o zręcznej figurce i milej fizjonomii spytał o pana Desroches i przedstawił się bez wahania Godeschalowi.

— Jestem Fryderyk Marest — rzekł — i przychodzę objąć miejsce trzeciego dependenta.

— Panie Husson — rzekł Godeschal — niech pan wskaże panu jego miejsce i obznajmi go z obyczajami kancelarii.

⁶⁹*item* (łac.) — jak również; a także; tak samo; podobnie. [przypis edytorski]

⁷⁰*primo voto* (łac.) — pierwszego nazwiska (po pierwszym mężu). [przypis edytorski]

Nazajutrz dependent znalazł książkę położoną na swojej teczce; ale, przebiegłszy pierwsze strony, zaczął się śmiać, nie pokwapił się z zaproszeniem i odłożył książkę.

— Panowie — rzekł, dopiero wychodząc około piątej — mam kuzyna, szefa kancelarii u reagenta Leopolda Hannequin, poradzę się go, co mam uczynić z okazji przyjęcia.

— Źle — rzekł Godeschal — nie wygląda na nowicjusza ten przyszły sędownik.

— Weźmiemy się do niego — rzekł Oskar.

Nazajutrz, o drugiej, Oskar ujrzał wchodzącego szefa kancelarii rejentalnej i poznał w nim Jerzego Marest.

— Ho, ho! Toż to przyjaciel Alego Paszy — wykrzyknął swobodnie.

— O, pan tutaj, panie ambasadorze? — odparł Jerzy, przypominając sobie Oskara.

— Jak to, znacie się panowie? — zapytał Godeschal.

— Myślę! Narobiliśmy głupstw razem — rzekł Jerzy — już temu więcej niż dwa lata... Tak, opuściłem pana Crottat i przenieśliem się do Hannequina właśnie z przyczyny tej afery...

— Co za afery? — spytał Godeschal.

— Och, nic — odpowiedział Jerzy na znak Oskara. — Chcieliśmy zbujać jednego para Francji, a tymczasem on nas wystrychnął na dudków... A więc, wy chcecie naciągnąć mego kuzyna...

— My nie naciągamy — rzekł Oskar z godnością — oto nasza konstytucja.

I podał słynny rejestr, otwarty w miejscu, gdzie się znajdował wyrok wykluczenia wydany na opornego, który, za fakt karygodnego sknerstwa, musiał opuścić kancelarię w roku 1788.

— Myślę sobie, że to jest naciąganie, a oto postronek — odparł Jerzy, wskazując ucieszne archiwa. — Ale mój kuzyn i ja jesteśmy bogaci i wyróżniemy wam bibę, jakiej jeszcze nie widzieli⁷¹ i która pobudzi waszą imaginację protokółową. Jutro, w niedzielę, w *Rocher-de-Cancalle*, o drugiej. Potem zaprowadzę was wieczór do markizy las Florentinas y Cabirolas, gdzie sobie zagramy i gdzie spotkacie elitę dystygowanych kobiet. Zatem, panowie z Pierwszej Instancji — dodał z rejentalną uroczystością — głowa do góry i starajcie się doić jak dawni muszkietierowie...

— *Hurra!* — zakrzyknęła kancelaria jak jeden człowiek. — *Brawo!... Wery well!... Wiwat!...* Niech żyją Marestowie!...

— *Hurra!* — powtórzył pisarczyk.

— Co się tu dzieje? — spytał patron, wychodząc z gabinetu. — A, to ty, Jerzy — rzekł do pierwszego dependenta — domyślam się, przychodzisz rozpuszczać moich dependentów.

I wrócił do swego gabinetu, wołając Oskara.

— Masz, oto pięćset franków — rzekł, otwierając kasę — idź do trybunału i wykup z ekspedycji wyrok w sprawie Vandenessa przeciw Vandenessowi, trzeba go zalegalizować dziś wieczór, jeżeli możliwe. Przyrzekłem dwadzieścia franków *nagłości* Simonowi; zaczekaj na wyrok, jeśli nie gotowy, i nie daj się zbałamucić, bo Derville byłby zdolny w interesie swego klienta podstawić nam nogę. Hrabia Feliks de Vandenesse ma większe wpływy niż brat jego, ambasador, nasz klient⁷². Toteż miej oczy otwarte, i za najmniejszą trudnością przyjdź do mnie.

Oskar wyszedł z postanowieniem odznaczenia się w tej małej potyczce, pierwszej, jaka się nadarzyła od czasu jego instalacji.

Po wyjściu Jerzego i Oskara, Godeschal zaczął badać nowego dependenta o żart kryjący się, jego mniemaniem, w owej *markizie de Las Florentinas y Cabirolas*, ale Fryderyk z zimną krwią i powagą iście prokuratorską ciągnął dalej kawał swego kuzyna. Wmówił w całą kancelarię, że margrabina de Las Florentinas jest to wdowa po grandzie hiszpańskim, do której jego kuzyn się umizga. Urodzona w Meksyku, córka Kreolki, ta młoda i bogata wdowa odznacza się swobodą właściwą jej rodzinnemu klimatowi.

— Lubi się pośmiać, lubi popić, lubi śpiewać jak my! — rzekł z cicha, cytując sławną piosnkę Berangera. — Jerzy — dodał — jest bardzo bogaty, odziedziczył po ojcu, który

⁷¹*Jeszcze nie widzieli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jeszcze nie widzieliście. [przypis edytorski]

⁷²*Hrabia Feliks de Vandenesse ma większe wpływy niż brat jego, ambasador (...)* — por. Balzac, *Kobieta Trzydziestoletnia*. [przypis tłumacza]

był wdowcem. Zostawił mu osiemnaście tysięcy funtów renty, co plus dwanaście tysięcy, które wuj zostawił świeżo każdemu z nas, daje mu trzydzieści tysięcy rocznie. Ma nadzieję zostać margrabią de Las Florentinas, bo młoda wdowa jest margrabiną z rodu, i ma prawo udzielić tytułu swemu mężowi.

O ile dependenci pozostali mocno sceptyczni na punkcie margrabin, o tyle perspektywa śniadania w *Rocher-de-Cancalle* jak również tego dystyngowanego wieczoru wprowadziła ich w niezmierną radość. *Zgłosili wszystkie wątpliwości* odnośnie do Hiszpanki, aby ją oszczędzić w *ostatniej instancji*, kiedy staną przed jej obliczem.

Ta hrabina de Las Florentinas y Cabirollos, była to po prostu panna Agata Florentyna Cabirolle, primabalerina teatru Gaité, u której wujaszek Cardot śpiewywał swoje *Alleluja*. W rok po bardzo odżałowanej stracie nieboszczki pani Cardot, szczęśliwy przemysłowiec spotkał Florentynę wychodzącą z kursu u Coulona. Olśniony piękną tego kwiatu choreografii (Florentyna miała wówczas trzynaście lat), kupiec podążył za nią aż na ulicę Pastourelle, gdzie z przyjemnością dowiedział się, że przyszła ozdoba baletu zawdzięcza światło dzienne prostej odźwiernej. W dwa tygodnie matka, i córka, przeniesione na ulicę Crussol, poznały tam skromny dostatek. Temu to więc *protektorowi sztuk*, wedle uświęconego frazesu, teatr zawdzięczał ów młody talent. Szlachetny mecenas doprowadził obie istoty niemal do szalu szczęścia, sprawiając im mahoniowe meble, portiere, dywan i urządzenie kuchennej; pozwolił im przyjąć kucharkę, i dał im dwieście pięćdziesiąt franków na miesiąc. Stary Cardot, ze swymi „gołębimi skrzydełkami”, wydał im się wówczas aniołem i był kochany tak, jak się godziło kochać dobroczyńcę. Dla namiętności staruszka był to *wiek złoty*.

Przez trzy lata stary lampart miał tę głęboką dyplomację, aby trzymać pannę Cabirolle i jej matkę w małym mieszkanku o dwa kroki od teatru; następnie, przez miłość dla sztuki tanecznej, kazał ją uczyć Vestrisowi. Toteż około roku 1820, zaznał tego szczęścia, iż ujrzał Florentynę tańczącą swoje pierwsze *pas* w balecie pod tytułem *Ruiny Babilonu*. Florentyna liczyła wówczas szesnaście wiosen. W jakiś czas po tym debiucie, Cardot stał się dla swej pupilki *starym kutwą*; że jednak miał tę delikatność, aby zrozumieć, że tancerka z Gaité ma pewne obowiązki reprezentacji, i podwyższył jej subwencję miesięczną do pięćset franków, nie został wprawdzie z powrotem aniołem, ale został bodaj *przyjacielem na całe życie*, drugim ojcem. To był *wiek srebrny*.

Od roku 1820 do 1823 Florentyna nabyła doświadczenia, jakiego musi nabrać każda baletnica między dziewiętnastym a dwudziestym rokiem. Towarzystwo jej to były Marieta i Tulia, primabaleriny z Opery; Floryna, wreszcie biedna Koralia, która tak rychło osierociła sztukę, miłość i Camusota. Ponieważ pocziwemu Cardotowi przybyło tymczasem pięć lat, nabrał on owej na wpół ojcowskiej pobłażliwości, jaką mają starcy wobec młodych talentów, które wychowali i których sukcesy uważają za własne. Zresztą gdzie i jak człowiek sześćdziesięcioletni mógł znaleźć drugą edycję podobnego przywiązania? Gdzie znalazłby drugą Florentynę, która tak dobrze znała jego przyzwyczajenia i u której mógł śpiewać z przyjaciółmi *Alleluja*? Papa Cardot ujrzał się tedy w jarzmie na wpół małżeńskim i nieodwołalnym. Był to *wiek spiżowy*.

Przez pięć lat wieku złotego i srebrnego Cardot zaoszczędził dziewięćdziesiąt tysięcy franków. Ten doświadczony starzec przewidział, że, kiedy on dojdzie siedemdziesiątki, Florentyna będzie pełnoletnia; zadebiutuje może w Operze, z pewnością będzie chciała rozwinąć zbytek primabaleriny. Na kilka dni przed wieczorem, o którym mowa, papa Cardot wydał czterdzieści pięć tysięcy franków na to, aby postawić na przyzwoitej stopie swoją Florentynę. Wynajął dla niej dawny apartament, w którym nieboszczka Koralia była szczęściem Camusota. W Paryżu apartamenty i domy, tak samo jak ulice, mają swoje przeznaczenia. Otrzymałszy w darze wspaniałe srebra, primabalerina z Gaité dawała wystawne obiady, wydawała trzysta franków miesięcznie na toaletę, miała remizę, pokojówkę, kucharkę i lokajczyka. Marzyła o debiucie w Operze. *Złoty kokon* słał wówczas swemu dawnemu wodzowi najwspanialsze swoje produkty, aby się przypodobać pannie Cabirolle, rzeczonyj Florentynie, tak jak trzy lata wprzód spełniał marzenia Koralii, ale zawsze bez wiedzy córki starego Cardot; ojciec bowiem i zięć porozumiewali się doskonale, aby zachować *decorum* na łonie rodziny. Pani Camusot nie wiedziała nic o zbytkach męża ani też o obyczajach ojca. Tak więc, przepych, który błyszczał przy ulicy Vendôme u panny Florentyny, byłby zadowolili najambitniejszą baletniczkę. Cardot, który przez

siedem lat był panem, czuł, że go wlecze za sobą holownik o nieograniczonej sile kaprysu. Ale nieszczęśliwy starzec kocha!... Florentyna miała mu zamknąć oczy, zamierzał jej zapisać jakich sto tysięcy franków. Zaczął się *wiek żelazny!*

Jerzy Marest, posiadacz trzydziestu tysięcy franków renty, zalecał się do Florentyny. Wszystkie tancerki mają pretensję kochać, tak jak je kochają ich protektorowie; mieć młodego człowieka, który by je woził na spacer i urządzał im hulanki za miastem. Kaprys primabaleriny, nawet bezinteresowny, zawsze kosztuje coś niecoś szczęśliwego wybrańca: kolacyjki, łoże, spacer, przednie wina pochłaniane obficie, bo tancerki żyją tak, jak niegdyś żyli atleci! Jerzy bawił się tak, jak się bawią młodzi ludzie, którzy spod ręki ojcowskiej wyrwą się na wolność; śmierć zaś wuja, zdwajając jego majątek, odmieniła jego poglądy na życie. Póki miał tylko ojcowskich osiemnaście tysięcy renty, chciał zostać rejentem; ale, jak oświadczył jego kuzyn dependentom Desroches'a, trzeba by być głupcem, aby zaczynać karierę z majątkiem, jaki się ma, kiedy się ją porzuca. Zatem szef kancelarii obchodził dzień swojej wolności tym śniadaniem, które służyło równocześnie za wkupienie jego kuzyna. Rozsądniejszy od Jerzego Fryderyk trwał wciąż w swoich planach urzędniczych. Ponieważ piękny młodzieniec, zgrabny i obrotny jak Jerzy, łatwo mógł zaślubić bogatą kreolkę; ponieważ margrabia de Las Florentinas y Cabirolas łatwo mógł na stare lata, wedle tego co mówił Fryderyk, pojąć za żonę ładną dziewczynę choćby i nie szlachciankę, dependenci Desroches'a, wszystko biedaczyny nieznający wielkiego świata, wystroili się w godowe szaty, żądni oglądać meksykańską margrabinę de Las Florentinas y Cabirolas.

— Co za szczęście — mówił rano Oskar do Godeschala — że sobie zamówiłem nowy frak, pantalony, kamizelkę, buty, i że kochana mama sporządziła mi całą wyprawkę z powodu mojej promocji! Dostałem dwanaście koszul, z tych sześć z żabotami i z cienkiego płótna!... Pokażemy się! A, ba! Gdyby który z nas mógł zdmuchnąć tę margrabinę Jerzemu...

— Ładne zajęcie dla dependenta kancelarii pana Desroches!... — wykrzyknął Godeschal. — Nigdy nie pokonasz swojej próżności, smarkaczu?

— Ach, panie — rzekła pani Clapart, która przynosiła synowi krawatki i usłyszała słowa dependenta — dalby Bóg, aby Oskar usłuchał pana. Wciąż mu powtarzam: „Naśladuj pana Godeschal, słuchaj jego rad!”

— Jakoś to idzie, proszę pani — odparł Godeschal — ale nie trzeba by wiele takich wyspek jak wczorajsza, aby się zgubić w opinii patrona. Patron nie rozumie, aby coś mogło się nie udać. Jako pierwszą sprawę każe synowi pani przynaglic ekspedycję wyroku w sprawie spadkowej, gdzie dwaj wielcy panowie, dwaj bracia, procesują się z sobą, i Oskar dał się wykiwać... Patron był wściekły. Zaledwie mogłem naprawić to głupstwo, udając się o szóstej rano do pisarza, od którego uzyskałem, że będę miał wyrok na jutro o wpół do ósmej.

— Ach, Godeschal — wykrzyknął Oskar, podchodząc do kolegi i ściskając mu rękę — ty jesteś prawdziwy przyjaciel.

— Ach, panie — rzekła pani Clapart — matka jest bardzo szczęśliwa, wiedząc, że syn ma przyjaciela takiego jak pan. Może pan liczyć na wdzięczność, która nie wygaśnie aż z życia. Oskarze, strzeż się tego Jerzego Marest, już raz był przyczyną pierwszego twego nieszczęścia.

— W jaki sposób? — spytał Godeschal.

Nazbyt ufna matka opowiedziała szczegółowo przygodę, jaka zdarzyła się biednemu Oskarowi w dyliżansie.

— Jestem pewien — rzekł Godeschal — że ten *bujacz* przygotował nam znowu na wieczór jakiś kawał w tym rodzaju... Ja nie pójdę do margrabin de Las Florentinas, potrzebny jestem siostrze do ułożenia nowego kontraktu, pożegnam was tedy przy deserze; ale, Oskarze, trzymaj się. Może cię będą musieli do gry, nie trzeba, aby kancelaria Desroches'a stchórzyła. Będziesz grał na nas obu, masz sto franków — rzekł zacy chłopak, wręczając tę kwotę Oskarowi, którego sakiewkę mieli wypróżnić szewc i krawiec. — Bądź ostrożny, pamiętaj nie ryzykować poza nasze sto franków; nie daj się spoić ani grą, ani kieliszkiem. Tam do kata! Drugi dependent musi mieć już statek, nie może ani grać na słowo, ani przekroczyć w czymkolwiek granic. Skoro jest się drugim dependentem, trzeba myśleć o tym, aby zostać adwokatem. Zatem ani zanadto pić, ani zanadto grać, za-

chować się przyzwoicie, ot co. Zwłaszcza nie zapomnij wrócić o północy, bo jutro musisz być w sądzie po wyrok. Nie jest zbrodnią się zabawić, ale interesy przede wszystkim.

— Słyszysz, Oskarze? — rzekła pani Clapart. — Widzisz, jaki pan Godeschal jest pobłażliwy i jak umie pogodzić uciechy młodości z obowiązkami stanu.

Widząc krawca i szewca, którzy pytali o Oskara, pani Clapart została chwilę sama z pierwszym dependentem, aby mu oddać sto franków, które dał Oskarowi.

— Ach, panie, błogosławieństwa matki będą panu towarzyszyły wszędzie, we wszystkich pańskich przedsięwzięciach.

Matka doznała wówczas najwyższego szczęścia, widząc swego syna dobrze ubranym: przyniosła mu złoty łańcuszek kupiony ze swych oszczędności, aby go wynagrodzić za jego sprawowanie.

— Ciągniesz los do wojska za tydzień — rzekła — że zaś trzeba było przewidywać, iż możesz wyciągnąć zły numer, byłam u wuja Cardot. Jest bardzo zadowolony z ciebie. Rad, że cię widzi w dwudziestym roku drugim dependentem, rad z twoich sukcesów przy egzaminach, przyrzekł pieniądze potrzebne na kupno zastępcy. Czy nie doznajesz miłego uczucia, widząc, jak dobre sprawowanie spotyka się z nagrodą? Jeżeli męczysz się teraz, pomyśl o tym szczęściu, że za jakieś pięć lat będziesz mógł kupić kancelarię. Pomyśl wreszcie, mój kotusiu, jaka twoja matka jest szczęśliwa...

Twarz Oskara, nieco wychudła od pracy, przybrała wyraz, któremu poczucie odpowiedzialności dawało piętno powagi. Wyrósł, puściła mu się broda. Z wyrostka stawał się mężczyzną. Matka z podziwem patrzyła na syna; uściśliła go czule, mówiąc:

— Baw się, ale pamiętaj o radach tego zacnego pana Godeschal. A, prawda, zapomniałam, masz tu podarek od naszego kochanego Moreau, ładny pugilares.

— Przyda mi się tym bardziej, iż pryncypał wręczył mi pięćset franków na wykupienie tego przekłętogo wyroku, a nie chcę ich zostawiać w pokoju.

— Będziesz je nosił przy sobie — rzekła matka przestraszona. — A gdybyś zgubił taką sumę! Czy nie lepiej byłoby powierzyć ją panu Godeschal?

— Godeschal! — wykrzyknął Oskar, któremu myśl matki trafiła do przekonania.

Godeschal, jak wszyscy dependenci w niedzielę, zajęty był od dziesiątej do drugiej w południe, i już wyszedł.

Rozstawszy się z matką, Oskar poszedł wałęsać się po bulwarach, oczekując godziny śniadania. Jak nie pospacerować w tym pięknym ubraniu, noszonym z dumą i rozkoszą zrozumiałą dla wszystkich młodych ludzi, którzy spędzili zaranie życia, jak on, w niedostatku? Ładna kaszmirowa kamizelka o błękitnym tle, szalowym krojem, czarne kaźmirkowe spodnie, dobrze skrojony czarny fraczek, laska ze złoconą gałką kupiona z własnych oszczędności, sprawiała dość naturalną radość biednemu chłopcu, który przypominał sobie swój strój w dniu podróży do Presles oraz wrażenie, jakie sprawił na nim Jerzy. Oskar miał w perspektywie cały dzień rozkoszy; wieczór miał ujrzeć po raz pierwszy wykwiintny świat! Przynajmniej, że u dependenta, pozbawionego wszelkich uciech i od tak dawna już wzdychającego do jakiegoś wybryczku, rozpetane zmysły łatwo mogły puścić w niepamięć roztropne przestrogi Godeschala i matki. Ku zawstydzeniu młodości nigdy nie brak jest rad i przestroóg! Poza tymi upomnieniami, Oskar sam czuł w głębi duszy odruch niechęci do Jerzego; upokarzał go widok tego świadka sceny w Presles, kiedy Moreau rzucił go do nóg hrabiego de Sérisy. Porządek moralny ma swoje nieubłagane prawa; kto je przekroczy, zawsze jest ukarany. Jest zwłaszcza jedno, któremu nawet zwierzę posłuszne jest bez dyskusji, zawsze: prawo, które nakazuje nam uciekać przed kimś, kto nam zaszkodził pierwszy raz, z intencją lub bez, dobrowolnie czy mimowolnie. Istota, od której doznaliśmy szkody lub przykrości, będzie dla nas zawsze zgubna. Jakie bądź byłoby jej stanowisko, jakiegokolwiek łączyłyby nas z nią węzły, trzeba z nią zerwać: zesłana jest przez naszego złego ducha. Mimo że uczucie chrześcijańskie sprzeciwia się temu, posłuch dla tego żelaznego prawa jest ze wszech miar społeczny i zachowawczy. Córka Jakuba II, która zasiadła na tronie swego ojca, musiała mu zadać niejedną ranę przed uzurpacją. Judasz z pewnością zadał Jezusowi jakiś bolesny cios, nim go zdradził. Istnieje w nas pewien wewnętrzny wzrok, oko duszy, które przeczuwa katastrofy; odraza, jaką czujemy do tej złowrogiej istoty, jest wynikiem owego przeczucia: o ile religia nakazuje nam je zwyciężyć, pozostaje nam nieufność, której głosu powinniśmy wciąż słuchać. Czy Oskar mógł, w dwudziestym roku, mieć tyle rozumu? Niestety! Kiedy o wpół do

trzeciej Oskar wszedł do *Rocher-de-Cancale*, gdzie znajdowali się, oprócz dependentów, trzej goście, a mianowicie: stary rotmistrz dragonów Giroudeau, dziennikarz Finot, który mógł zapewnić Florentynie debiut w Operze, du Bruel komediopisarz żyjący z Tulią, jedną z rywalek Mariety, uczył, że jego tajemna niechęć gaśnie przy pierwszych uściskach dłoni, w pierwszym ogniu rozmowy, przy stole wspaniale nakrytym na dwanaście osób. Jerzy był zresztą niezmiernie uprzejmy dla Oskara.

— Obrał pan — rzekł — drogę dyplomacji prywatnej, jakąż bowiem jest różnica między adwokatem a ambasadorem? Jedynie ta, która dzieli naród od jednostki. Ambasadorowie są adwokatami narodów! Jeżeli mogę kiedy być panu użytecznym, niech pan przychodzi do mnie jak w dym.

— Na honor — rzekł Oskar — mogę się panu przyznać dzisiaj, był pan dla mnie przyczyną wielkiego nieszczęścia.

— Ba! — rzekł Jerzy, wysłuchawszy opowiadania o nieszczęściach chłopca — ależ to pan de Sérisy był nie w porządku. Jego żona?... Gwiżdżę na nią. A pan hrabia może sobie być ministrem stanu, parem Francji, nie chciałbym być w jego czerwonej skórce. To mały człowiek, kpię sobie z niego teraz.

Oskar słuchał z prawdziwą przyjemnością żarcików Jerzego na temat hrabiego de Sérisy, zmniejszały poniekąd doniosłość jego winy. Dostroił się do nienawistnego tonu gryziopórka, z rozkoszą wróżącego szlachcie kłęski, o których mieszczaństwo marzyło wówczas, a które rok 1830 miał ziścić. O wpół do czwartej zaczęła się ceremonia. Deser pojawił się dopiero o ósmej, każde danie wymagało dwóch godzin. Jedynie dependenti umieją tak jeść! Osiemnasto- i dwudziestoletnie żołądki kryją tajemnice niepojęte dla medycyny. Wina były godne Borrela, który zastąpił w owej epoce znamienitego Balaine'a, twórcę pierwszej restauracji paryskiej co do delikatności i wykwintu, to znaczy pierwszej w całym świecie.

Sporządzono przy deserze protokół tej uczty Baltazara, zaczynając od: *Inter pocula aurea restauranti, qui vulgo dicitur Rupes Cancali*⁷³. Z tego początku każdy może sobie wyobrazić piękną kartę, jaką przyczyniono do tej Złotej Księgi palestranckich śniadań.

Godeschal znikł, podpisawszy, zostawiając jedenastu biesiadników, prowadzonych przez eks-rotmistrza cesarskiej gwardii do ataku na wina i likiery, przy deserze, który piramidy owoców i nowalii czyniły podobnym tebańskiemu obeliskom. O wpół do jedenastej mały pisarczyk był w stanie, który nie pozwalał mu zostać dłużej. Jerzy zapakował go do dorożki, podając adres jego matki i płacąc za kurs. Dziesięciu biesiadników, wszyscy pijani jak Pitt i Dundas, postanowiło iść bulwarem, przy pięknej pogodzie, do margrabin de Las Florentinas y Cabirolas, gdzie około północy mieli zastać najświetniejsze towarzystwo. Wszyscy łaknęli powietrza, ale, z wyjątkiem Jerzego, rotmistrza, du Bruela i Finota, przywykłych do orgii paryskich, nikt nie mógł iść. Jerzy posłał po trzy wehikuły i woził gości przez godzinę od Montmartre aż do rogatki du Trône. Wrócili przez Bercy, przez wybrzeża i bulwary na ulicę Vendôme.

Dependenci bujali jeszcze w niebie marzeń, w które pijaństwo wznosi młodych ludzi, kiedy amfitrion wprowadził ich do salonów Florentyny. Błyszczały tam księżniczki teatralne, które, uprzedzone z pewnością o koncepcie Fryderyka, bawiły się udawaniem dam. Towarzystwo było przy lodach. Świece jarzyły się w kandelabrach. Lokaje Tulii, pani du Val-Noble i Floryny, wszyscy w paradnej liberii, podawali łakocie na srebrnych tacach. Obicia, arcydzieło lyońskiego przemysłu, podpięte złotymi sznurami, zdumiewały oko. Wzorzyste kwiaty na dywanie robiły wrażenie klombu. Bogate cacka, osobliwości, migotały dokoła. W pierwszej chwili, w stanie, do którego Jerzy ich doprowadził, dependenti, a zwłaszcza Oskar, uwierzyli w margrabinę de Las Florentinas y Cabirolas. Złoto błyszczowało na czterech stołach do gry ustawionych w sypialni. W salonie kobiety grały w *dwadzieścia jeden*: bank trzymał sławny pisarz Natan. Nabłdziwszy się po pijanemu, wpół śpiąc, po ponurych przedmieściach, dependenti obudzili się tedy w istnym pałacu Armidy. Oskar, którego Jerzy przedstawił rzekomej margrabinie, stał ogłupiały, nie zgadując tancerki z Gaité w tej arystokratycznie wydekoltowanej, strojnej w koron-

⁷³*Inter pocula aurea restauranti, qui vulgo dicitur Rupes Cancali* (żart., łac.) — pośród złotych pucharów w [restauracji], zwanej potocznie Skalą Cancali; Cancale: miejscowość i gmina we Francji, w regionie Bretanii. [przypis edytorski]

ki kobiecie, która go przywitała z wytwornym wdziękiem. Było to zjawisko bez analogii we wspomnieniach ani w wyobraźni krótko trzymanego piszczyka. Skoro objął zachwycenymi oczyma przepychy apartamentu, piękne kobiety, które tam promieniały i które stoczyły istny turniej na toalety na tę inaugurację, Florentyna ujęła Oskara za rękę i zaprowadziła do stolika.

— Przedstawię pana margrabinie d'Anglade mojej przyjaciółce...

I podeszła z Oskarem do ładnej Fanny Beaupré, która zastępowała od dwóch lat nieboszczkę Koralie w sercu Camusota. Ta młoda aktorka wybiła się świeżo w roli margrabininy w Porte-Saint-Martin w melodramacie *Rodzina d'Anglade*, mającym ogromne powodzenie.

— Pozwolisz, droga — rzekła Florentyna — że ci przedstawię to miłe dziecię, które weźmiesz może do spółki.

— Ślicznie — odpowiedziała z czarującym uśmiechem aktorka, mierząc Oskara spojrzeniem — przegrywam, będziemy graли do połowy, prawda?

— Pani margrabinino, jestem na pani rozkazy — rzekł Oskar, siadając przy aktorce.

— Niech pan da pieniądze, ja będę grała, przyniesie mi pan szczęście! O, oto moje ostatnie sto franków...

I fałszywa margrabina wyjęła pięć sztuk złota z sakiewki, której rogi zdobne były brylantami. Oskar wydobyl swoich sto franków w samych pięciofrankówkach, już zawstydzony, że miesza te nędzne talary między złoto. W dziesięć obrotów aktorka przegrała dwieście franków.

— Nie, to za głupie — wykrzyknęła — ja dam sama bank. Trzymamy razem, prawda? — rzekła do Oskara.

Fanny Beaupré wstała, a młody dependent, który wraz z nią uczul się przedmiotem uwagi całego stołu, nie śmiał się cofnąć, powiadając, że jego sakiewka świeci dnem. Nie mógł wydobyć głosu, zdrętwiały język przylepił się do podniebienia.

— Pożycz mi pięćset franków — rzekła aktorka do tancerki.

Florentyna przyniosła pięćset franków, wzięwszy je od Jerzego, który osiem razy z rzędu przeciągnął w *écarté*.

— Natan wygrał tysiąc dwieście franków — rzekła aktorka do dependenta — bankier wygrywa zawsze, nie dajmy się *kiwać* — szepnęła mu do ucha.

Ludzie, którzy mają serce, wyobraźnię i temperament, rozumieją, że biedny Oskar wyjął pugilares i dobył zeń banknot pięćsetfrankowy. Patrzył na Natana, sławnego pisarza, który zaczął z Floryną grubo stawiać przeciw bankowi.

— No, mały, zgarniaj — krzyknęła doń Fanny Beaupré, dając znak Oskarowi, aby zgarnął dwieście franków postawionych przez Florynę i Natana.

Aktorka nie szczydziła żartów i drwin tym, co przegrywali. Podsycala grę konceptami, które Oskarowi wydały się dość osobliwe; ale radość zdławiła te refleksje, bo pierwsze dwa rozdania dały bankowi dwa tysiące franków. Oskar miał ochotę udać, że zasłabł i uciec, porzucając partnerkę, ale honor przykuł go do miejsca. Trzy następne rozdania wydarły ten zysk. Oskar uczul zimny pot na grzbiecie, wytrzeźwiał zupełnie. Dwa ostatnie rozdania zabrały tysiąc franków wspólnej stawki; Oskar uczul pragnienie i wypił duszkiem trzy szklanki mrożonego ponczu. Aktorka pociągnęła go do sypialni, szczebiocząc coś do niego. Ale poczucie winy tak żarło Oskara, który widział jak we śnie twarz Desroches'a, że usiadł na wspaniałej otomanie, w ciemnym kącie, przyłożył chustkę do oczu: płakał! Florentyna spostrzegła tę rozpaczliwą pozę, która miała charakter szczeroci i musiała uderzyć aktorkę; podbiegła do Oskara, odjęła mu chustkę, spostrzegła lzy i pociągnęła go do buduaru.

— Co, tobie, mały? — spytała.

Na ten głos, na to słowo, na ten akcent, w którym Oskar uczul macierzyńską dobroć dziewczyny, odparł:

— Przegrałem pięćset franków, które patron mi dał, aby jutro wykupić wyrok; nie pozostaje mi nic, jak rzucić się do wody, jestem zhańbiony...

— Czyś ty zwariował? — rzekła Florentyna. — Zaczekaj tutaj, ja ci przyniosę tysiąc franków, spróbujesz się odegrać, ale nie ryzykuj więcej niż pięćset, aby zachować pieniądze patrona. Jerzy gra byczo w *écarté*, trzymaj za nim...

W rozpaczliwym położeniu Oskar przyjął propozycję.

„A — pomyślał sobie — więc są margrabiny zdolne do podobnych uczynków... Piękna, szlachetna i bogata, szczęśliwy ten Jerzy!”

Wziął od Florentyny tysiąc franków w złocie i poszedł się zakładać za swoim mistyfikatorem, Jerzy przeciągnął już cztery razy, kiedy Oskar stanął przy nim. Gracze ujrzeni z przyjemnością nowego partnera, gdyż wszyscy z instynktem graczy stanęli po stronie starego napoleończyka Giroudeau.

— Panowie — rzekł Jerzy — będziecie ukarani za waszą niewierność, czuję wenę. Dalej, Oskarze, do ataku.

Jerzy i jego partner przegrali pięć partii z rzędu. Strwoniwszy swoich tysiąc franków, Oskar, którym owładnął szal gry, chciał wziąć karty. Trafem dosyć częstym u tych, którzy grają pierwszy raz, wygrał, ale Jerzy obalamucił go swymi radami, kazał mu zrzucić karty i często wydierał mu je z rąk, tak iż ta walka dwóch woli, dwóch natchnień, zaszkodziła weni. Toteż około wpół do czwartej rano, po niespodzianych obrotach fortuny i zyskach, Oskar, który wciąż pił poncz, doszedł do tego, że miał już tylko sto franków. Wstał z ciężką głową, wółpryjomny, odszedł kilka kroków i padł w buduarze na sofę, z oczyma zamkniętymi ołowianym snem.

— Marieto — rzekła Fanny Beaupré do siostry Godeschala, która przyszła o drugiej po północy — czy przyjdiesz na obiad jutro, mój Camusot będzie tutaj ze starym Cardot, będziemy ich nabierać!

— Jak to! — wykrzyknęła Florentyna. — Ależ mój szympans nie uprzedził mnie.

— Ma przyjść dziś rano, aby cię uprzedzić, że chce dziś śpiewać swoje *Alleluja* — odparła Fanny Beaupré. — Tyle należy się choć nieborakowi, aby oblał swoje mieszkanie.

— Niech go diabli porwą z jego orgiami! — wykrzyknęła Florentyna. — On i jego zięć, to gorsze niż sędownicy albo dyrektorowie teatru. Ostatecznie jada się tu bardzo przyzwoicie, Marieto — rzekła do primabaleriny — Cardot zamawia zawsze obiad u Cheveta, przyjdź ze swoim księciem de Maufrigneuse, pośmiejemy się, każemy im tańczyć taniec trytonów.

Słyszając nazwiska Cardot i Camusot, Oskar uczynił wysiłek, aby pokonać sen, ale zdołał wybąkać tylko kilka słów, których nikt nie zrozumiał, i padł z powrotem na jedwabne poduszki.

— O, ty masz, widzę, zapasy na noc — rzekła śmiejąc się Fanny Beaupré do Florentyny.

— Och, biedny chłopak, pijany jest ponczem i rozpaczą. To drugi dependent z kancelarii, gdzie pracuje twój brat — rzekła Florentyna do Mariety — przegrał pieniądze, które patron mu powierzył na sprawy kancelarii. Chciał się zabić, pożyczylam mu tysiąc franków, które ci bandyci Finot i Giroudeau mu wydarli. Biedne niewiniątko!

— Ależ trzeba go obudzić — rzekła Marieta — mój brat nie żartuje, ani jego patron też.

— Obudź go, jeśli możesz, i zabierz go — rzekła Florentyna, wracając do salonu pożegnać odchodzących.

Zaczęto tańczyć tańce tak zwane ekscentryczne, o świcie Florentyna położyła się zmęczona, zapominając o Oskarze, o którym nie myślał już nikt, a który wciąż spał głębokim snem.

Około jedenastej rano straszliwy głos obudził dependenta, który, poznając wuja Cardot, sądził, że się ocali z kłopotu udając, że śpi, i topiąc twarz w bogatych aksamitnych poduszkach, na których spędził noc.

— Doprawdy, moja Florentynko — mówił czcigodny starzec — to nie jest ani rozsądnie, ani ładnie; wczoraj tańczyłaś w *Ruinach* i hulalaś całą noc? Ty chyba zupełnie chcesz sobie cerę zniszczyć, nie mówiąc, że to jest doprawdy niewdzięcznie oblewać te wspaniałe salony beze mnie, z obcymi ludźmi, bez mojej wiedzy!... Kto wie, co się tu działo?

— Stary potworze! — wykrzyknęła Florentyna. — Czyż nie masz klucza, aby wchodzić do mnie o każdej porze i o każdej chwili? Bał skończył się o wpół do szóstej, a ty masz okrucieństwo budzić mnie o jedenastej!...

— Wpół do dwunastej, Tytyńciu — zauważył pokornie Cardot. — Wstałem wczesnie, aby zamówić u Cheveta obiadek godny prałata... Ależ oni zniszczyli dywany, coś ty za ludzi tu przyjmowała?...

— Nie powinieś się żalić, bo Fanny Beaupré powiedziała mi, że przyjdiesz z Camusotem i, aby ci zrobić przyjemność, zaprosiłam Tulię, du Bruela, Marietę, księcia de Maufrigneuse, Florynę i Natana. Tak więc, będziesz miał pięć najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek oglądano przy świetle rampy! I zatańczą ci taniec Zefirów.

— Ależ to samobójstwo podobne życie! — wykrzyknął stary. — I co kieliszków potłuczonych! Co za zniszczenie! Przedpokój wygląda strasznie...

W tej chwili miły staruszek stanął osłupiały i jakby oczarowany, podobny ptakowi urzeczonemu przez węża. Spozrzegł profil młodego ciała odzianego w czarne sukno.

— A, panno Cabirolle!... — rzekł w końcu.

— No co? — odparła.

Oko tancerki pobiegło w kierunku spojrzeń starowiny; kiedy poznała dependenta, chwycił ją szalony śmiech, który nie tylko zdumiał starca, ale zarazem zmusił Oskara do pokazania twarzy, Florentyna bowiem wzięła go za ramię i parsknęła śmiechem, widząc zakłopotane miny wuja i bratanka.

— Ty tu, mój bratanku?...

— A, to twój bratank? — wykrzyknęła Florentyna, na nowo wybuchając szalonym śmiechem. — Nigdy mi nie mówiłeś o tym bratanku. Więc Marieta nie wzięła cię z sobą? — rzekła do Oskara, który stał skamieniały. — Co on pocnie, ten biedny chłopiec?

— Co zechce — odparł sucho stary Cardot, który skierował się ku drzwiom.

— Chwileczkę, papuśku, musisz wydobyć bratanka z nieszczęścia, w które popadł z mojej winy. Grał pieniędzmi swego pryncypała i przegrał, nie licząc tysiąca franków, które mu dałam, aby się odegrał.

— Nieszczęśliwy, przegrałeś tysiąc pięćset franków? W twoim wieku!

— Och! Wuju, wuju! — wykrzyknął biedny Oskar, którego te słowa zepchnęły na samo dno rozpaczliwego położenia. Rzucił się przed wujem na kolana ze złożonymi rękami. — Jest południe, jestem zgubiony, zhańbiony... Pan Desroches będzie bez litości! Chodzi o ważną sprawę, o honor kancelarii. Miałem dziś rano iść do sądu wykupić wyrok Vandessów! Co się stało?... Co ja pocznę?... Ratuj mnie przez pamięć mego ojca i mojej ciotki!... Chodź ze mną do pana Desroches, wytłumacz mu to, znajdź jakąś wymówkę!...

Zdania te były zmieszane z płaczem i szlochem, które byłyby wzruszyły sfinksa z pustyni Luksoru.

— I co, stary sknero — wykrzyknęła tancerka, która płakała — czy pozwolisz zhańbić własnego bratanka, syna człowieka, któremu zawdzięczasz majątek, bo on się nazywa Oskar Husson! Ratuj go albo Titina nie chce cię za milorda!

— Ale skąd on się tu wziął? — spytał stary.

— Ech! Czyż nie widzisz, że się upił i że padł tutaj ze snu i zmęczenia? Jerzy i jego kuzyn Fryderyk podejmowali dependentów Desroches'a wczoraj w *Rocher-de-Cancalle*.

Stary Cardot patrzył na tancerkę z wahaniem.

— Ech, ty stara małpo, czyż nie byłabym go lepiej ukryła, gdyby było inaczej? — wykrzyknęła.

— Masz tutaj swoich pięćset franków, nicponiu! — rzekł Cardot do bratanka. — Ale to wszystko, co dostaniesz kiedy ode mnie! Idź załatwić się z pryncypałem, jeżeli zdołasz. Oddam tysiąc franków, które pani ci pożyczyła; ale nie chcę już słyszeć o tobie.

Oskar wybiegł, nie chcąc słyszeć więcej, ale raz znalazłszy się na ulicy, nie wiedział, gdzie iść.

Przypadek, który gubi ludzi, i przypadek, który ich ocala, zmagają się z sobą za Oskarem i przeciw niemu w ciągu tego strasznego ranka: ale musiał ulec wobec pryncypała, który nie znał co to pardon. Wróciwszy do domu, Marieta, przerażona tym, co się może zdarzyć pupilowi brata, napisała do Godeschala słówko, do którego dołączyła banknot pięćsetfrankowy, uprzedzając brata o pijaństwie i nieszczęściach Oskara. Poczciwa dziewczyna usnęła, zalecając pokojówce, aby zaniosiła list do Desroches'a przed siódmą. Ze swej strony Godeschal, wstawszy o szóstej, nie zastał Oskara. Odgadł wszystko. Wziął pięćset franków ze swoich oszczędności i pobiegł do pisarza po wyrok, aby o ósmej przedłożyć akt notyfikacji do podpisu Desroches'owi. Desroches, który zawsze wstawał o czwartej,

wszedł do kancelarii. Pokojówka Mariety, nie zastawszy brata swojej pani w jego izdebce, zeszła do kancelarii, gdzie ją przyjął Desroches. Oczywiście oddała mu przesyłkę. „Czy to w sprawie kancelarii? — spytał adwokat — ja jestem Desroches”. „Niech pan zobaczy” — odrzekła pokojówka. Desroches otworzył list. Widząc banknot pięćsetfrankowy, wrócił do gabinetu wściekły na Oskara. Usłyszał o wpół do ósmej Godeschala, który dyktował notyfikację wyroku swemu zastępcy; w kilka chwil później poczciwy Godeschal wszedł tryumfalnie do pryncypała.

— Czy to Oskar Husson był dziś rano u Simona? — spytał Desroches.

— Tak, proszę pana — odparł Godeschal.

— A któż mu dał pieniądze? — rzekł adwokat.

— Pan sam — rzekł Godeschal — w sobotę.

— Więc tu z nieba spadają pięćsetfrankówki? — wykrzyknął Desroches. — Słuchaj, Godeschal, ty jesteś dobry chłopiec, ale ten smarkacz Husson nie wart jest tyle. Nienawidzę głupców, ale bardziej jeszcze nienawidzę ludzi, którzy popełniają błędy, mimo ojcowskich starań, jakimi się ich otacza.

Podał Godeschalowi list Mariety i banknot w nim zawarty.

— Darujesz, że otwarłem — dodał — ale pokojówka siostry powiedziała mi, że to w sprawie tyczącej kancelarii. Odprawisz Oskara.

— Nieszczęsny chłopak kosztował mnie dużo trudu! — rzekł Godeschal. — Ten wałkoń Jerzy Marest jest jego złym duchem, powinien go unikać jak zarazy, bo nie wiem, co by się stało za trzecim spotkaniem.

— Jak to? — spytał Desroches.

Godeschal odpowiedział w krótkości mistyfikację w czasie podróży do Presles.

— A — rzekł adwokat — swojego czasu, Józef Bridau opowiadał mi o tym kawale, to temu spotkaniu zawdzięczaliśmy łaskę, jaką hrabia de Sérisy okazał jego bratu⁷⁴.

W tej chwili zjawił się Moreau, miał bowiem ważny interes w sprawie spadku Vandenessów. Margrabia chciał rozparcelować dobra Vandenesse, brat jego, hrabia, sprzeciwiał się temu. Handlarz majątków zniósł tedy pierwszy ogień słusznych skarg, złowrogich przepowiedni, jakie Desroches wytrząsnął na Oskara. Wytworzyło to w najgorliwszym opiekunie nieszczęsnego chłopca przekonanie, że próżność jego jest nieuleczalna.

— Zrób pan zeń obrońcę, ma tylko jeden egzamin przed sobą, w tym zawodzie wady jego staną się może zaletą, bo miłość własna dodaje wymowy połowie obrońców.

W tej chwili Clapart był chory, a żona musiała go pielęgnować: ciężkie zadanie, obowiązek bez żadnej nagrody. Urzędniczna dręczył tę biedną istotę, która aż dotąd nie знаła jeszcze okrutnej nudy i jadowitej dokuczliwości, na jaką sobie pozwala w całodziennym sam na sam człowiek na wpół zidiociał, którego nędza zatręła tajonym jadem. Uszczęśliwiony, że może wbijać szpileczki w tkliwy punkt matczyne go serca, odgadł poniekąd obawy, jakie przyszłość, prowadzenie i wady Oskara budziły w biednej kobiecie. W istocie, kiedy matka otrzymała od swego dziecka cios taki, jak sprawa w Presles, żyje w nieustannej obawie; z samego sposobu, w jaki żona jego chwaliła Oskara, ilekroć odniósł jaki sukces, Clapart zgadywał ogrom tajemnych obaw matki i podsycał je przy każdej sposobności.

— Wreszcie z Oskarem wszystko idzie lepiej niż się spodziewałam; mówiłam sobie, że ta podróż do Presles, to tylko nieopatrność młodości. Któryż młody chłopiec nie robił głupstw! Biedny chłopak znosi mężnie braki, których nie byłby zaznał, gdyby żył jego biedny ojciec. Dałby Bóg, aby umiał powściągnąć swoje skłonności!... etc., etc.

Otóż, podczas gdy tyle katastrof działo się przy ulicy Vendôme i przy ulicy Bethisy, Clapart, siedząc przy kominku w lichym szlafroku, patrzył na żonę, która przyrządzała na kominku w sypialni równocześnie bulion i ziółka dla Claparta, i śniadanie dla siebie.

— Mój Boże, chciałabym wiedzieć, jak się skończył wczorajszy dzień? Oskar miał być na śniadaniu w *Rocher-du-Cancale*, a wieczór u pewnej margrabiny...

— Och, bądź spokojna — odparł mąż — wcześniej, czy później pasztet się odkryje — rzekł mąż. — Ty wierzysz w tę margrabinę? Ech! Młody chłopak, który, ostatecznie, ma zmysły i słabość do wydatków, jak Oskar, znajduje hiszpańskie margrabiny kapiące złotem? Spadnie ci pewnego dnia na kark z długami...

⁷⁴łaskę, jaką hrabia de Sérisy okazał jego bratu — por. Balzac, *Kawalerskie gospodarstwo*. [przypis tłumacza]

— Sam nie wiesz już, co wymyślić, aby mnie dręczyć! — wykrzyknęła pani Clapart. — Skarzyłeś się, że mój syn zjada twoją pensję, a nigdy cię nic nie kosztował. Oto dwa lata, jak nie masz żadnego pozoru wygadywania na Oskara; jest drugim dependentem, wuj jego i pan Moreau pokrywają wszystko, ma zresztą osiemset franków pensji. Jeżeli będziemy mieli chleb na stare lata, będziemy to zawdzięczali drogiemu chłopcu. Doprawdy, jesteś tak niesprawiedliwy...

— Nazywasz moje przewidywania niesprawiedliwością — odparł cierpko chory.

W tej chwili ktoś zadzwonił żywo. Pani Clapart pobiegła otworzyć i została w pierwszym pokoju z panem Moreau, który przyszedł złagodzić cios, jaki nowa lekkomyślność Oskara miała zadać biednej matce.

— Jak to, przegrał pieniądze kancelarii! — wykrzyknęła pani Clapart ze łzami.

— A co, nie mówiłem! — wykrzyknął Clapart, który zjawił się jak duch w drzwiach salonu, dokąd ściągnęła go ciekawość.

— Ale co my z nim pocznjemy? — spytała pani Clapart, której ból nie dozwolił odczuć tego ułknięcia.

— Gdyby nosił moje nazwisko — odparł Moreau — pozwoliłbym mu spokojnie ciągnąć los do wojska; gdyby zaś wyciągnął zły numer, nie zapłaciłbym mu zastępcy. Oto już drugi raz syn pani robi głupstwo przez próżność. Ano cóż, próżność popchnie go może do świetnych czynów, które go wyróżnią w tym zawodzie. Zresztą, sześć lat służby wojskowej doda mu statku, że zaś ma przed sobą tylko jeden egzamin, nie będzie dlań nieszczęściem, gdy zostanie obrońcą w dwudziestym szóstym roku, o ile zechce zostać w palestrze, spłaciwszy, jak to się mówi, podatek krwi. Tym razem przynajmniej będzie surowo ukarany, nabędzie doświadczenia i przywyknie do subordynacji. Zanim odbędzie praktykę w sądzie, przejdzie praktykę w życiu.

— Jeżeli to jest pański wyrok na syna — rzekła pani Clapart — widzę, że serce ojca w niczym nie jest podobne do serca matki. Mój biedny Oskar żołnierzem?...

— Czy pani woli, aby się kiedyś rzucił do Sekwany, dopuściwszy się hańbiącego czynu? Nie może być już adwokatem, czy pani go uważa za dosyć rozsądnego, aby zostać obrońcą?... W oczekiwaniu aż przyjdzie wiek rozsądku, co z niego będzie? Ladaco; a tak przynajmniej dyscyplina go ocali...

— Czy nie może wstąpić do innej kancelarii? Wuj Cardot zapłaci mu z pewnością zastępcę, Oskar zadedykuje mu swoją tezę.

W tej chwili turkot dorożki, w której znajdowały się wszystkie rzeczy Oskara, oznajmił młodego człowieka, który ukazał się niebawem.

— A jesteś, mój amorku? — wykrzyknął Clapart.

— Słuchaj mnie pan, panie Clapart — rzekł dzieciak, który zmienił się w mężczyznę — nudzisz pan diabelnie moją biedną matkę, to pańskie prawo; jest, na swoje nieszczęście, pańską żoną. Ale ze mną inna sprawa! Jestem za kilka miesięcy pełnoletni; otóż nade mną nie masz pan żadnych praw, nawet gdybym był małoletni. Nigdy nikt pana o nic nie prosił. Dzięki tu obecnemu panu Moreau, nie kosztowałem pana nigdy ani szeląga, nie jestem panu winien żadnej wdzięczności, niech mnie pan zatem zostawi w spokoju.

Słyszając tę apostrofę, Clapart wrócił na swoją berżerkę do kominka. Rozumowanie Oskara i tłumiona wściekłość młodego chłopca, który właśnie otrzymał lekcję od swego przyjaciela Godeschala, nakazały na zawsze milczenie niedołądze.

— Szał, któremu pan byś uległ z pewnością jak ja, kiedy byłeś w moim wieku — rzekł Oskar do pana Moreau — przywiodła mnie do błędu, który Desroches uważa za coś wielkiego, a który jest drobnostką. Więcej mam do siebie pretensji o to, że wziąłem Florentynę z Gaité za margrabinę, a aktorki za damy, niż żem przegrał tysiąc franków w czasie hulanki, gdzie wszyscy, nawet Godeschal, mieli w czubie. Tym razem przynajmniej zaszkodziłem tylko sobie. Już jestem wyleczony. Jeżeli pan mi zechce pomóc, panie Moreau, przysięgam panu, że tych sześć lat, przez które muszę zostać dependentem, zanim będę mógł otworzyć kancelarię, upłyną bez...

— Hola — rzekł Moreau — ja mam troje dzieci, nie mogę się zobowiązywać do niczego...

— Dobrze, dobrze — rzekła do syna pani Clapart, rzucając przyjacielowi spojrzenie pełne wyrzutu — wuj Cardot...

— Nie ma już wuja Cardot — odparł Oskar i opowiedział scenę z ulicy Vendôme.

Pani Clapart, która czuła, że nogi uginają się pod nią, usunęła się na krzesło.

— Wszystkie nieszczęścia naraz... — rzekła mdlejąc.

Moreau wziął biedną matkę na ręce i zaniósł ją na łóżko. Oskar stał nieruchomy, jakby rażony gromem.

— Nie pozostaje ci nic jak zostać żołnierzem — rzekł handlarz majątków wracając.

— Ten cymbał Clapart nie pociągnie ani kwartału, matka zostanie bez grosza, czyż nie muszę dla niej zachować tych trochę pieniędzy, którymi mogę rozrządzać? Nie mogłem ci tego powiedzieć przy matce. Jako żołnierz, będziesz miał co jeść i zastanowisz się nad życiem, takim jakie ono jest dla chłopca bez majątku.

— Mogę wyciągnąć dobry numer — rzekł Oskar.

— No i co? Twoja matka spełniła swoje obowiązki wobec ciebie, dała ci wykształcenie, skierowała cię na dobrą drogę, zboczyłeś z niej, czegoś chcesz próbować? Bez pieniędzy nie można nic począć, wiesz to dzisiaj, a nie jesteś człowiekiem zdolnym zacząć karierę, zrzucając surdut i kładąc bluzę robotnika. Zresztą matka kocha cię, czy chcesz ją zabić? Umarłaby, widząc, żeś spadł tak nisko.

Oskar usiadł i nie mógł powstrzymać łez, które płynęły obficie. Rozumiał dziś ten język, tak zupełnie obcy dlań w chwili pierwszego błędu.

— Ludzie bez majątku muszą być doskonali! — rzekł Moreau, nie domyślając się głębi tej okrutnej sentencji.

— Mój los nie długo będzie w zawieszaniu, ciągnę jutro — odparł Oskar. — Do tej pory postanowię o przyszłości.

Moreau, zgnębiony mimo pozorów srogości, opuścił mieszkanie przy ulicy de la Cerisaie pogrążony w rozpacz. W trzy dni później Oskar wyciągnął numer dwudziesty siódmy. W interesie biednego chłopca były rządca Presles miał odwagę udać się do hrabiego de Sérisy o protekcję, aby pomieszczono Oskara w kawalerii. Otóż syn ministra Stanu, otrzymawszy jedną z ostatnich lokacji przy egzaminie ze szkoły politechnicznej, dostał się przez stosunki jako podporucznik do pułku kawalerii księcia de Maufrigneuse. Oskar miał tedy w swoim nieszczęściu to drobne szczęście, że, na polecenie hrabiego de Sérisy, wcielono go do tego pięknego pułku, z przyrzeczeniem, że zostanie furierem⁷⁵ po roku. Tak więc przypadek pomieścił eks-dependenta pod rozkazami syna pana de Sérisy.

Przechorowawszy kilka dni, tak bardzo ją złamały te katastrofy, pani Clapart zaczęła gryźć się wyrzutami, jakimi trapią się matki, których prowadzenie było niegdyś lekkie, a które na starość skłaniają się ku pokucie. Zaczęła się uważać za istotę przeklętą. Przypisywała niedole swego drugiego małżeństwa oraz nieszczęścia syna gniewowi Boga, który każe jej odpokutować błędy i uciechy młodości. Mniemanie to stało się rychło pewnością. Biedna matka poszła się wyspowiadać, po raz pierwszy od czterdziestu lat, do wikariusza przy kościele św. Pawła, księdza Gaudron, który pchnął ją w dewocję. Ale dusza tak znękana i tak kochająca jak pani Clapart miała stać się po prostu pobożna. Dawna Aspażja Dyrektoriatu chciała odkupić swoje grzechy, aby ściągnąć błogosławieństwo boże na głowę biednego Oskara; utonęła tedy niebawem w praktyce i dziełach najżarliwszej pobożności. Sądziła, iż zwróciła na siebie uwagę niebios, ocalając życie panu Clapart, który, dzięki jej staraniom, żył, aby ją dręczyć; ale ona w tyranii tego niedołęgi widziała próby nałożone przez rękę, która pieści, gdy karze. Oskar zresztą prowadził się tak dobrze, że w roku 1830 był kwatermistrzem w kompanii wicehrabiego de Sérisy, co mu dawało stopień podporucznika w linii, jako że pułk księcia de Maufrigneuse należał do Gwardii. Oskar Husson miał wówczas dwadzieścia pięć lat. Ponieważ gwardia królewska stała zawsze załogą w Paryżu albo w promieniu trzydziestu mil od stolicy, odwiedzał od czasu do czasu matkę i zwierzał jej swoje bóle, był bowiem na tyle inteligentny, aby rozumieć, że nigdy nie zostanie oficerem. W tej epoce stopnie w kawalerii były prawie wyłącznie przeznaczone dla szlacheckich synów, a ludzie bez herbu awansowali jedynie z trudem. Całą ambicją Oskara było opuścić gwardię i zostać podporucznikiem kawalerii w linii. W lutym r. 1830 pani Clapart uzyskała przez księdza Gaudron, który został proboszczem św. Pawła, protekcję następczyni tronu i Oskar został podporucznikiem.

⁷⁵furier — kwatermistrz; podoficer zajmujący się zakwaterowaniem i dostarczaniem żywności dla wojska. [przypis edytorski]

Mimo iż na pozór ambitny Oskar zdawał się oddany Burbonom, w głębi serca eks-dependent był liberałem. Toteż w bitwie w roku 1830 przeszedł na stronę ludu. Odstępstwo to, które miało swoje znaczenie dzięki punktowi, na którym się odbyło, zwróciło nań uwagę. W upojeniu tryumfu, w sierpniu, Oskar, mianowany porucznikiem, otrzymał krzyż Legii, i uzyskał to, że go przydzielono jako adiutanta do La Fayette'a, który go promował na kapitana w r. 1832. Kiedy amatora najlepszej z republik usunięto z naczelnego dowództwa gwardii narodowej, Oskar Husson, którego oddanie nowej dynastii graniczyło z fanatyzmem, znalazł się jako major w pułku wysłanym do Afryki w pierwszej wyprawie. Wicehrabia de Sérisy był w tym pułku podpułkownikiem. W bitwie pod Macta, gdzie trzeba było ustąpić pola Arabom, pan de Sérisy padł ranny pod ubitym koniem. Oskar rzekł wówczas do swego szwadronu:

— Panowie, czeka nas śmierć, ale nie możemy opuścić naszego pułkownika...

Rzucił się pierwszy na Arabów, a jego ludzie, porwani, poszli za nim. W pierwszym zdumieniu, w jakie wprawił ich ten wściekły atak, Arabowie pozwolili Oskarowi unieść wicehrabiego, którego wziął na swego konia, uciekając galopem, mimo że w zamęcie straszliwej walki otrzymał dwa ciosy jatagana w lewe ramię. Piękny postępek Oskara otrzymał nagrodę w postaci krzyża oficerskiego Legii i stopnia podpułkownika. Otoczył najtkliwszymi staraniami wicehrabiego de Sérisy, którego matka przyjechała i który, jak wiadomo, zmarł z otrzymanych ran w Tulonie. Hrabina de Sérisy nie rozdzieliła swego syna z człowiekiem, który, wydarłszy go Arabom, pielęgnował go z takim poświęceniem. Hrabia de Sérisy przebaczył tedy Oskarowi jego dawne głupstwo i uważał się nawet za jego dłużnika, pochowawszy swego jedynaka w kaplicy w Presles.

W długi czas po bitwie pod Macta, czarno ubrana starsza dama, idąc pod rękę z trzydziestoletnim mężczyzną, w którym przechodnie łatwo mogli poznać spensjonowanego oficera, ile że brak mu było ręki, a miał rozetkę Legii w klapie, stała o ósmej rano, w maju, pod bramą hotelu pod *Srebrnym Lwem*, przy ulicy Faubourg-Saint-Denis, czekając widocznie na odjazd dylizansu. To pewna, iż Pietrek, przedsiębiorca komunikacji w dolinie Oise, który obsługiwał okolicę przez Saint-Leu-Taverny i Isle-Adam aż do Beaumont, niełatwo byłby poznał w tym spalonym od słońca oficerze małego Oskara, którego wioził niegdyś do Presles. Pani Clapart, nareszcie wdowa, również zmieniła się do niepoznania. Clapart, jedna z ofiar zamachu Fieschiego, więcej przysłużył się żonie swoją śmiercią niż życiem. Oczywiście próżniak i włóczykij Clapart wystawał na *swaim* bulwarze du Temple, przyglądając się rewii *swojego* legionu. Biedna dewotka otrzymała tedy tysiąc pięćset franków dożywotniej pensji, którą prawo przyznało ofiarom *piekielnej maszyny*.

Powóz, zaprzężony w cztery jabłkowite konie, które przyniosłyby zaszczyt samej poczcie królewskiej, podzielony był na karetę, rotundę i imperialkę. Podobny był zupełnie do owych dylizansów nazwanych *gondolami*, które wytrzymują dziś na drodze do Wersalu konkurencję z dwiema liniami kolei żelaznej. Lekka i mocna zarazem, ładnie pomalowana i dobrze utrzymana, wyścielona cienkim niebieskim sukniem, opatrzona storami i poduszkami z czerwonego safianu, *Jaskółka Oise* mieściła dziewiętnastu pasażerów. Mimo swoich pięćdziesięciu lat, Pietrek niewiele się zmienił. Wciąż ubrany w swoją bluzę, pod którą miał czarne ubranie, palił fajeczkę, dozorując dwóch służących w liberii, którzy ładowali liczne pakunki na obszerną imperialkę.

— Czy państwo zatrzymali⁷⁶ miejsca? — rzekł do pani Clapart i do Oskara, przyglądając się im jak człowiek, który skupia swoją pamięć.

— Tak, dwa miejsca wewnątrz, na nazwisko mego służącego Belle-Jambe — odparł Oskar — musiał je zamówić, wyjeżdżając wczoraj wieczór.

— A, to pan jest nowy poborca w Beaumont — rzekł Pietrek — pan obejmuje miejsce po bratanku pana Margueron...

— Tak — rzekł Oskar, ściskając za ramię matkę, która chciała coś mówić.

Tym razem pragnął zostać nieznany jakiś czas.

W tej chwili Oskar zadrżał, słysząc głos Jerzego Marest, który krzyknął z ulicy:

— Pietrek, czy masz tam jeszcze miejsce?

— Zdaje mi się, że mógłby pan powiedzieć: *panie Pietrze*, a gęba by panu nie spuchła — odparł żywo przedsiębiorca.

⁷⁶zatrzymać — tu: zamówić, zarezerwować. [przypis edytorski]

Gdyby nie głos, Oskar nie poznałby kawalarza, który dwa razy przyniósł mu nieszczęście. Jerzy, prawie лыs, miał ledwie nad uszami parę kosmyków, starannie nastrzępionych, aby ukryć nagość czaszki. Wysklepiony brzuszek zepsuł tak zręczne niegdyś kształty eks-ladnego chłopca. W wyglądzie i zachowaniu było coś plugawego, co świadczyło o nieszczęściach miłosnych i o życiu w rozpuście. Mówiła o tym twarz nastrzykana krwią, cera nalana i jakby obrzękła winem. Oczy straciły ów blask, ową młodzieńczą żywość, którą statek i praca myśli zdolne są zachować. Ubrany był niedbale, spodnie były wprawdzie ze strzemiączkami, ale zniszczone, krój zaś ich wymagałby lakierowanych bucików. Buty z grubymi podeszwami, źle oczyszczone, liczyły więcej niż trzy kwartały, co w Paryżu znaczy tyle, co gdzie indziej trzy lata. Spłowiła kamizelka, krawat zawiązany pretensjonalnie, mimo że był to stary fular, świadczyły o ukrytej nędzy byłego eleganta. Wreszcie Jerzy miał na sobie, mimo rannej godziny, frak zamiast surduta, nieomylny znak prawdziwej nędzy! Ten frak, który musiał widzieć niejeden bal, przeszedł, jak jego pan, z dawnego zbytku do codziennej pracy. Szwy były wytarte, kołnierz zatłuszczony, rękawy obstrzępione. I Jerzy ośmielał się ściągać uwagę żółtymi rękawiczkami, brudnymi co prawda, na których palcu rysował się czarną linią pierścionek. Na krawacie, przewleczonym przez złotą pretensjonalną obrączkę, zwisał jedwabny niby to włosiany łańcuszek, na którym był z pewnością zegarek. Kapelusz, mimo że włożony dość chwacko, zdradzał, bardziej jeszcze niż wszystkie te objawy, nędzę człowieka niezdolnego zdobyć się na szesnaście franków na kapelusznika, będąc zmuszony żyć z dnia na dzień. Eks-kochanek od serca Florentyny wywijał laseczką o galce złoconej, ale straszliwie wytartej. Błękitne spodnie, kamizelka tzw. szkocka, błękitny jedwabny krawat, perkalowa koszula w czerwone prążki wyrażały, wśród tyłu nieszczęść, taką żądzę błyszczenia, że kontrast ten był nie tylko obrazem, ale i nauką.

„I to jest Jerzy!... — rzekł sobie w duchu Oskar. — Człowiek, któregom zostawił z trzydziestoma tysiącami franków renty”.

— Czy pan Piotrowski ma jeszcze miejsce w powozie? — spytał ironicznie Jerzy.

— Nie, powóz jest zajęty przez pewnego para Francji, zięcia pana Moreau, barona de Canalis, jego żonę i teściową. Zostało mi już tylko jedno miejsce w środku.

— Tam do licha, zdaje mi się, że pod każdym rządem parowie Francji jeżdżą Pietrkową budą. Biorę miejsce w środku — odparł Jerzy, który przypomniał sobie zajście z panem de Sérisy.

Przyjrzał się badawczo Oskarowi i jego matce, ale nie poznał ani jego, ani jej. Oskar miał cerę spaloną afrykańskim słońcem, miał gęste wąsy i duże faworyty; ściągnęła jego twarz i wydatne rysy harmonizowały z wojskową postawą. Rozetka oficera Legii, brak jednej ręki, prostota stroju, wszystko to zmyliłoby wspomnienia Jerzego, gdyby pamiętał jeszcze o dawnej swej ofierze. Co się tyczy pani Clapart, którą Jerzy zaledwie niegdyś widział, dziesięć lat dewocji przeobraziło ją całkowicie. Nikomu nie przyszłoby na myśl, że ta niemal szarytka kryje Aspazję z roku 1797.

Ogromny starzec ubrany z prosta, ale zamożnie, w którym Oskar poznał ojca Léger, przybył z wolna i ciężko; pozdrowił poufale Pietrka, odnoszącego się doń z owym szacunkiem, jaki w każdym kraju należą się milionerom.

— Ech! Ależ to ojciec Léger! Coraz bardziej odpowiedzialny — wykrzyknął Jerzy.

— Z kim mam zaszczyt? — spytał sucho ojciec Léger.

— Jak to, nie poznaje pan pułkownika Jerzego, przyjaciela Alego-paszy? Podróżowaliśmy razem pewnego dnia, wraz z hrabią de Sérisy, który zachował *incognito*.

Jednym z najpospolitszych głupstw ludzi wykolejonych jest to, że chcą poznawać ludzi i chcą, aby ich poznawano.

— Bardzo się pan zmienił — odparł stary handlarz majątków, który stał się dubeltowym milionerem.

— Wszystko się zmienia — rzekł Jerzy. — Spójrz pan, czy gospoda pod *Srebrnym Lwem* i dylizans Pietrkowy podobne są do tego, czym były przed czternastu laty.

— Pietrek ma teraz sam całą komunikację w dolinie Oise i wozownię pełną pięknych pojazdów. To obywatel z Beaumont, ma tam hotel, gdzie zatrzymują się dylizanse, ma żonę i córkę, które umieją się krzątać...

Starzec blisko siedemdziesięcioletni wyszedł z hotelu i przyłączył się do podróżnych, którzy czekali chwili odjazdu.

— Ano, ojczulku Reybert — rzekł Léger — czekamy już tylko pańskiego wielkiego człowieka.

— Oto jest — rzekł intendent hrabiego de Sérisy, pokazując Józefa Bridau.

Ani Jerzy ani Oskar nie poznali znakomitego malarza, w tej tak sławnej pooranej twarzy, nacechowanej ową pewnością siebie, która płynie z powodzenia. W kłapie czarnego surduta lśniła czerwona wstążeczka Legii, strój zaś, bardzo wyszukany, świadczył o zaproszeniu na jakąś wiejską fetę.

W tej chwili urzędnik trzymający w ręce kartkę papieru wyszedł z biura, urządzonego w dawnej kuchni *Srebrnego Lwa*, i podszedł do pustego dylizansu.

— Państwo de Canalis, trzy miejsca! — krzyknął. Wszedł do środka i wymienił kolejno:

— Pan Bellejambe, dwa miejsca. Pan de Reybert, trzy miejsca. Pan... pańskie nazwisko? — rzekł do Jerzego.

— Jerzy Marest — odparł cicho podupadły człowiek.

Urzędnik udał się w stronę placyku, gdzie się skupiły niańki, wieśniacy i drobni sklepikarze wymieniający pożegnania; stłoczywszy sześcioro pasażerów, urzędnik wywołał po nazwisku czterech młodych ludzi, którzy wdrapali się na imperialkę, i rzekł: „Jazda!”

Pietrek usadowił się koło swego woźnicy, młodego człowieka w bluzie, który znowuż krzyknął: „Wio!”

Pojazd, ciągniony przez cztery konie kupione w Roye ruszył truchtem przedmieściem Saint-Denis, ale raz wdrapawszy się nad Saint-Laurent, pomknął jak ekstrapocztka aż do Saint-Denis, dokąd przybył w czterdzieści minut. Nie zatrzymywał się wcale przy gospodzie z placuszkami i skręcił na lewo od Saint-Denis na gościniec do Montmorency.

Na tym zakręcie Jerzy przerwał milczenie, jakie podróżni zachowali dotąd, przyglądając się sobie wzajem.

— Lepiej się trochę jedzie niż przed piętnastu laty — rzekł, dobywając srebrny zegarek — ojciec Léger, co?

— Zazwyczaj ludzie są tak uprzejmi, że nazywają mnie panem Léger — odparł milioner.

— Ależ to nasz *bujacz* z mojej pierwszej podróży do Presles! — wykrzyknął Józef Bridau. — No i co, robił pan nowe wyprawy do Azji, Afryki, Ameryki? — rzekł wielki malarz.

— Tam do kata, robiłem rewolucję lipcową, to zupełnie dosyć, bo zrujnowała mnie...

— A, pan robił rewolucję lipcową — rzekł malarz. — To mnie nie dziwi, bo ja nigdy nie chciałem uwierzyć, jak mi mówiono, że ona się zrobiła sama.

— Jak wszyscy się spotykają — rzekł Léger, spoglądając na pana Reybert. — Ot, ojczulku Reybert, oto dependent rejenta, któremu pan z pewnością zawdzięcza posadę intendenta domu Sérisy...

— Brakuje nam Mistigrisa, dziś sławnego pod nazwiskiem Leona de Lora, i tego młodego głuptaska dość naiwnego, aby opowiadać hrabiemu o jego chorobach, z których się wreszcie wyleczył, i o jego żonie, którą opuścił w końcu, aby umrzeć w spokoju — rzekł Józef Bridau.

— Brakuje też hrabiego — rzekł Reybert.

— Och, myślę — rzekł smutnie Józef Bridau — że ostatnia podróż, którą odbędzie, to będzie podróż z Presles do Isle-Adam na moje wesele.

— Jeździ jeszcze powozem po parku — rzekł pan Reybert.

— Żona odwiedza go często? — spytał Léger.

— Raz na miesiąc — odparł Reybert. — Zawsze lubi Paryż, wydała we wrześniu za mąż swoją bratanicę, pannę du Rouvre, na którą przelała wszystkie swoje uczucia. Wyszła za młodego Polaka, bardzo bogatego: hrabia Łągiński...

— A na kogo — pytała pani Clapart — przejdzie majątek hrabiego de Sérisy?

— Na jego żonę, która go pochowa — odparł Jerzy. — Hrabina jest jeszcze wcale wcale, jak na kobietę pięćdziesięcioletnią, jest zawsze bardzo wykwintna i na odległość robi jeszcze efekt...

— Na panu jeszcze długo będzie robiła efekt — rzekł ojciec Léger, który chciał się pomścić na kawalarzu.

— Szanuję ją — odparł Jerzy. — Ale, ale, co się stało z tym rządcą, którego swojego czasu odprawiono?

— Moreau? — spytał Léger. — Ależ jest posłem z departamentu Oise.

— A, to jest ów sławny *centrowiec* Moreau z Oise — rzekł Jerzy.

— Tak — odparł Léger — *pan* Moreau z Oise. Pracował trochę więcej niż pan przy rewolucji lipcowej i kupił w rezultacie wspaniały majątek Pointel, między Presles a Beaumont.

— Och, tuż koło tego, którym zarządzał, pod nosem swego dawnego pana, to bardzo niedelikatnie — rzekł Jerzy.

— Niech pan nie mówi tak głośno — rzekł pan de Reybert — bo pani Moreau i baronowa de Canalis, jej córka, znajdują się, zarówno jak jej zięć, były minister, w drugim przedziale.

— Ileż on dał posagu, aby wydać córkę za naszego wielkiego mówcę?

— Ba, coś niby dwa miliony — rzekł ojciec Léger.

— Zawsze miał gust do milionów — rzekł Jerzy z cicha, uśmiechając się — zaczął sobie nabijać kieskę w Presles.

— Niech pan nic nie mówi o panu Moreau — krzyknął żywo Oskar. — Zdaje mi się, że powinien by się pan nauczyć milczeć w publicznym dyliżansie.

Józef Bridau przyjrzał się chwilę oficerowi bez ręki i zawołał:

— Nie został pan ambasadorem, ale ta rozetka mówi, że pan zrobił ładną karierę, i to szlachetną, bo mój brat i generał Giroudeau cytowali pana często w raportach...

— Oskar Husson! — wykrzyknął Jerzy. — Dalibóg, gdyby nie głos, nigdy bym pana nie poznał.

— A, to pan, który tak mężnie wydarł młodego de Sérisy Arabom? — spytał Reybert. — I któremu hrabia wyrobił urząd poborcy w Beaumont, w oczekiwaniu posady w Pontoise?...

— Tak, panie — odparł Oskar.

— A więc — rzekł wielki malarz — zechce mi pan zrobić tę przyjemność, aby być obecnym na moim ślubie w Isle-Adam.

— Z kim się pan żeni? — spytał Oskar.

— Z panną Léger — odparł malarz — wnuczką pana de Reybert. To hrabia de Sérisy był tak dobry, że zapewnił mi to małżeństwo; zawdzięczałem mu już dużo jako artysta, przed śmiercią zechciał się zająć moim losem, o którym nie myślałem sam...

— Więc ojciec Léger ożenił się... — rzekł Jerzy.

— Z moją córką — odparł pan de Reybert — i to bez posagu.

— I miał dzieci?

— Córkę. To zupełnie dosyć na człowieka, który był wdowcem i to bezdzietnym — odparł stary Léger. — Tak samo jak mój wspólnik Moreau, będę miał za zięcia sławnego człowieka.

— I — rzekł Jerzy, zwracając się do ojca Léger niemal z uszanowaniem — mieszka pan zawsze w Isle-Adam?

— Tak, kupiłem Cassan.

— Brawo, w takim razie rad jestem, że obrałem dzisiejszy dzień na obrobienie doliny Oise — rzekł Jerzy. — Możecie mi panowie dopomóc.

— W czym? — spytał pan Léger.

— Oto jak — odparł Jerzy. — Jestem urzędnikiem *Nadziei*, towarzystwa, które niedawno powstało, a którego statuty będą zatwierdzone królewskim dekretem. Instytucja ta daje po dziesięciu latach posagi młodym pannom, dożywotnią rentę starcom, opłaca wychowanie dzieci; daje wreszcie majątek całemu światu...

— Bardzo wierzę — rzekł ojciec Léger z uśmiechem. — Słowem, jest pan agentem ubezpieczeń.

— Nie, panie, jestem inspektorem generalnym, powołanym do rozesłania korespondentów i agentów po całej Francji. Operuję sam jedynie w oczekiwaniu, aż sobie dobieżemy agentów, bo znaleźć uczciwych agentów to rzecz równie trudna jak delikatna...

— Ale w jaki sposób stracił pan swoich trzydzieści tysięcy franków renty? — rzekł Oskar do Jerzego.

— Tak jak pan stracił swoją rękę — odparł sucho eks-dependent rejenta eks-dependentowi adwokata.

— Podjął pan tedy jaką szlachetną akcję? — rzekł Oskar z ironią.

— Do kata! Na nieszczęście za wiele akcji, mam je na sprzedaż.

Przybyli do Saint-Leu-Tavernay, gdzie wszyscy podróżni wysiedli w czasie, gdy przepręgano. Oskar podziwiał chyżość, z jaką Pietrek wraz z woźnicą zdejmowali uprzęż koniom.

„Ten biedny Pietrek — pomyślał — tak samo jak ja niedaleko zaszedł. Jerzy osunął się w nędzę. Wszyscy inni, dzięki spekulacji i talentom, zrobili los...” — Czy tutaj jemy śniadanie, Piotrusiu? — rzekł głośno Oskar, klepiąc właściciela dyliżansu po ramieniu.

— Nie jestem woźnicą — odparł Pietrek.

— A czymże jesteście? — spytał pułkownik Husson.

— Przedsiębiorcą — odparł Pietrek.

— No, nie dąsaj się na starych znajomych — rzekł Oskar, wskazując swoją matkę.

— Nie poznajesz pani Clapart?

Było to tym piękniej ze strony Oskara, że przedstawił matkę Piotrusiowi, iż w tej chwili pani Moreau z Oise, wysiadłszy z powozu, spojrziała wzgardliwie na Oskara i jego matkę, usłyszawszy to nazwisko.

— Dalibóg, paniusiu, nie byłbym pani nigdy poznał, ani i pana także. Zdaje się, że tam dobrze przypieka, w tej Afryce?...

Odcień politowania, jakie Pietrek obudził w Oskarze, był ostatnim błędem, jakim próżność natchnęła bohatera tego opowiadania. Jeszcze i tym razem otrzymał karę, ale dość łagodną. Oto jak.

W dwa miesiące po instalacji w Beaumont-sur-Oise, Oskar zaczął się starać o córkę Pietrka, pannę Żorzetę, która miała sto pięćdziesiąt tysięcy franków posagu, i ożenił się z końcem zimy r. 1838 z jedynaczką przedsiębiorcy dyliżansów.

Przygoda w podróży do Presles dała Oskarowi dyskrecję, wieczór u Florentyny umocnił jego rzetelność, trudy wojskowej kariery nauczyły go hierarchii oraz poddania się losowi. Zdobywszy rozsądek i inteligencję, żył szczęśliwie. Przed śmiercią hrabia de Sérisy wyrobił Oskarowi urząd poborcy w Pontoise. Protekcja pana Moreau z Oise, hrabiny de Sérisy i barona de Canalis, który wcześniej lub później znów zostanie ministrem, gwarantują przyszłość generalnego poborcy panu Husson, z którym rodzina Camusot przyznaje się obecnie do pokrewieństwa.

Oskar jest człowiekiem przeciętnym, łagodnym, bez pretensji, skromnym i trzymającym się zawsze, jak jego rząd, *złotego środka*. Nie budzi ani zazdrości, ani nienawiści. Jest to, słowem, nowoczesny mieszczuch.

Paryż, w lutym 1842 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-pierwsze-kroki>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, Komedia ludzka, Pierwsze kroki, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Przekłady Boy'a, t. 89, wyd. Drukarnia Krajowa, Warszawa 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5325-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.